

Agnieszka Krawczyk

Magiczne miejsce

Imię moje: Izmael. Przed kilku laty – mniejsza o ścisłość jak dawno temu – mając niewiele czy też nie mając wcale pieniędzy w sakiewce, a nie widząc nic szczególnego, co by mnie interesowało na lądzie, pomyślałem sobie, że pożegluję nieco po morzach i obejrzę wodną część świata.

Herman Melville, *Moby Dick***[H. Melville, *Moby Dick*, tłum. B. Zieliński, Szczecin 1987, s. 25; wszystkie cytaty wg tego wydania.]

„Najokrutniejszy miesiąc – kwiecień”. Ten, kto wypowiedział te słowa, na pewno miał rację, choć nie był autorem niniejszej opowieści.

Kwiecień jest okrutnym miesiącem, zwłaszcza w naszym gościnnym klimacie, który ostatnio obfituje w same anomalie: burze, susze, gradobicia i podtopienia, jak kraj długi i szeroki. W taki właśnie deszczowy, błotnisty i zimny dzień kwietniowy nasz bohater przemierzał swoim eleganckim terenowym samochodem polne drogi niezwykle malowniczej krainy. Bohater nie miał jednak czasu zachwycać się osobliwością swej sytuacji, bo był bardzo zdenerwowany, jak to bywa w przypadku wyższego urzędnika państwowego, który w dodatku podejrzewa, że popełnił właśnie życiowy błąd i łatwo się zeń nie wywinie.

Witold Mossakowski – bo o nim traktuje ta opowieść – miał trzydzieści pięć lat i naturę hazardzisty. Nie tylko sprawował ważną funkcję w ministerstwie na trzy litery (pierwsza M, ostatnia Z), ale też życie osiadłe nigdy nie było jego powołaniem. Przez te kilkanaście lat od ukończenia studiów, a nawet jeszcze wcześniej, bo w ich trakcie, przemierzył świat wzdłuż i wszerz. Nie potrafił zapuszczać korzeni, ponieważ to zawsze oznaczało kłopoty. Wielkie. Z sąsiadami, władzami, namolnymi znajomymi, upierdliwymi dozorcami itepe, itede. A Witold to był wolny duch, który, że się tak poetycko wyrażę, „tchnął, kędy chciał”.

Tym razem jednak wybrał się na wycieczkę nie w celach odkrywczych, turystycznych ani tym bardziej – zawodowych. Odwiedzał tę zapomnianą przez Boga i jego szanownych świętych krainę, ponieważ parę miesięcy wcześniej nabył w tej okolicy (gdzie zupełnie niedaleko, tylko chwilowo nie wiadomo gdzie) zabytkową posiadłość – postpegeerowski kawał ziemi z pałacem, malowniczym parkiem (wszystko w stanie daleko posuniętej ruiny) i przyległościami.

Teraz, z wysiłkiem meandrując przez prapolskie błota, zastanawiał się, co, u licha, go podkusiło, żeby to zrobić. Utopił znaczną część swego sporego, co prawda, majątku w kupno zakłętogo dworu na końcu świata, i właściwie trudno było dociec, jakie motywy nim kierowały.

Pamiętał jedno. Kiedyś, zupełnie niebacznie, zwierzył się koledze – też prawnikowi, ale specjaliście od nieruchomości – ze swego romantycznego marzenia. Gdy znudzi mu się już zgiełk wielkiego miasta, ministrowanie od 6. 30 do 22. 00, z małą przerwą na kawę, to chciałby uciec gdzieś daleko, gdzie naprawdę, jak w piosence Urszuli Sipińskiej, „zatrzymał się w polu czas”, czy jakoś tak, bo Witold nigdy nie był dobry w zapamiętywaniu słów popularnych (niegdyś) szlagierów.

Kolega pokiwał głową i wydawało się, że jest to kolejna rozmowa przy wódce i słonych paluszkach, z której nie wynika nic poza kacem i strasznym pragnieniem (sól z paluszków), ale okazało się inaczej.

Parę miesięcy później, gdy dyskusja o urokach dworu, „gdzie wschodzi słońce i kędy zapada” – bo nawet i czcigodny Czesław Miłosz pojawił się w tej rozmowie – wydawała się dawno zapomniana, niespodziewanie odezwał się telefon Witolda.

Zadzwoił nagle i w krytycznym po prostu momencie. Mossakowski wraz z całą ekipą rządową był właśnie w Kopenhadze, uczestnicząc w szczycie finalizującym przystąpienie Polski

do Unii Europejskiej.

Marek (prawnik od nieruchomości) zatelefonował, gdy w stolicy Danii zaczynał się przedpołudniowy ruch, a Witold, śmiertelnie zmęczony nerwową atmosferą całonocnych negocjacji, nadaktywnością duńskiego premiera Andersa Fogha Rasmussena (który starał się być we wszystkich miejscach naraz, co stwarzało niepokojące wrażenie, że ma dar bilokacji, charakterystyczny raczej dla włoskich stygmatyków niż skandynawskich liberałów), usiłował odespać stres.

Nie odespał. Gdy rozległ się sygnał telefonu, całkowicie przytomny zerknął na wyświetlacz i zobaczywszy, że nie dzwoni żaden z szefów, warknął mało zachęcająco „Czego?”, bo nie miał ochoty na rozmowę z jakimś dawnym kumplem czy nie daj Boże dziennikarzem, który otrzymał jego numer dzięki dawnemu kumplowi (niech ich obu piekło pochłonie, niech im kurczaki obsypią wszystkie kończyny, a zwłaszcza górne, którymi wystukują cyfry na klawiaturze, niech im języki skołowacieją).

– Witek? – odezwał się przytłumiony głos z oddali, znajomy, ale nie do końca, bo chwilę musiał się zastanawiać, zanim rozpoznał Marka Wilczyńskiego i poczuł ulgę, że to nie żaden namolny pismak.

– Cześć, Marek, co tam? – zapytał słabiutkim głosem, bo tuż po zakończeniu wieczornej tury rozmów niezwykle sympatyczny przedstawiciel Słowenii poczęstował go swoją narodową przekąską, czyli suszoną szynką o dźwięcznej nazwie kraski prsut oraz – i to było znacznie gorsze – słynnym winem, malvazją. Po kilku butelkach przyjaźń polskosłoweńska kwitła, a jako że wszyscy znajdowali się w Kopenhadze, głównie naśmiewano się z jedyne go znanego w całej Europie duńskiego filmu, czyli *Gangu Olsena* (jak widać, Lars von Trier i Dogma 95 nie cieszyli się popularnością wśród międzynarodowych polityków). W tej sytuacji Witold naprawdę nie miał siły na prowadzenie rozmowy, ale Marek nie rezygnował i naciskał pytaniami o powodzenie szczytu.

– Obejrzyj sobie w telewizji... – powiedział zrezygnowany Witold, który był pewny, że kanały informacyjne prowadzą transmisję na bieżąco.

– Od dziecka mnie uczono, że telewizja kłamie, wolę informacje z pierwszej ręki! Dzięki kontaktowi z tobą poczułem się bardziej europejsko. Zaraz skoczę do „Biedronki” po paczkę ciastek paryskich! – Marek zaśmiał się i rzuciwszy jeszcze kilka podobnych żartów, przystąpił wreszcie do rzeczy.

– Pamiętasz, stary, tę naszą rozmowę o nieruchomościach? – Witold pamiętał, ale jakoś nie miał zdrowia o tym rozmawiać. W obecnym stanie ducha i umysłu – obawiał się – łatwo byłoby mu wcisnąć Inflanty wraz z Klajpedą lub czymkolwiek innym. Próbował zatem szybko zakończyć rozmowę, obiecując koledze przełożenie jej na bardziej sprzyjającą porę. Nic z tego. Agent od nieruchomości jest jak rekin w tropikalnym morzu – gdy poczuje krew, nie popuści. A Marek nie zamierzał wypuścić takiej okazji z ręki.

– Słuchaj. To niebywały interes. Znalazłem dla ciebie fantastyczną posiadłość. Stary dwór,

zabytkowy park i spory kawałek ziemi...

– Jak spory? – zapytał niespodziewanie Witold, zaskakując tym samego siebie.

– Ze 100 hektarów, ale okolica przepiękna, cicho, lasy, góry... – zachwalał Marek z namolnością zdesperowanego telemarketera usiłującego sprzedać supergarnki z kosmicznej stali lub pościel z szynszyla.

Witold przez chwilę myślał, że się przesłyszał, ale chyba jednak nie. Popatrzył bezradnie w okno, potem równie nieprzytomnie rozejrzał się po minimalistycznym wystroju swego hotelowego pokoju i wreszcie spytał:

– Co ja, twoim zdaniem, mam zrobić ze 100 hektarami ziemi?

– Nie wiem, może zaczniesz coś uprawiać, na przykład rzepak lub wierzbę energetyczną... to chyba będzie dosyć opłacalne w niedługim czasie... , albo krowy zaczniesz osobiście wypasać, to by ci dobrze zrobiło na zszargane dyplomacją nerwy.

– Daj spokój... Nie widzę się raczej w malowniczej roli pastuszka... – Po drugiej stronie zaległa cisza, jakby Marek Wilczyński przez chwilę naprawdę rozważał pomysł, że jego szkolny kolega, obecnie wiceminister, w niedługim czasie zostanie bosonogim sierotką (w nieco podeszłym wieku) i z witką z wierzby energetycznej zacznie nadzorować stado jakiegoś bydła, trzody lub nawet ptactwa.

– Hm – powiedział, gdy już uporał się z tym obrazkiem. – Witek, wiem, że nie masz czasu, więc wyślę ci zdjęcia mejlem wraz z wyceną. Cena jest po prostu śmieszna, nie sprzedali tego na trzech kolejnych licytacjach, decyduj się szybko, bo mam jeszcze kilku chętnych, ale ja dbam o ciebie, mój przyjacielu, i tobie zaproponowałem jako pierwszemu...

Witold miał pewne wątpliwości, czy powinien odczuwać wdzięczność. W każdym razie, chwilowo czuł się zwolniony od podejmowania jakiegokolwiek decyzji; cieszył się wręcz, że kolega dał mu wreszcie spokój i może spokojnie położyć się do łóżka.

Wieczorem przed bankietem, zawodowym nawykiem, sprawdził jeszcze pocztę mejlową. Dokumentacja przesłana przez Marka była interesująca. Gdy zobaczył zdjęcia dworu, nie mógł uwierzyć własnym oczom, bo podobnej architektury w życiu nie widział. Był to chyba najbardziej eklektyczny i najdziwniejszy budynek na świecie, co dało się zauważyć mimo daleko posuniętej dewastacji. Ogród, a właściwie park, też był niezwykle – pełen niesamowitych rzeźb ogrodowych i oczek wodnych.

„Cudaczne” – pomyślał i przejrzał wycenę oraz sugerowany koszt remontu. Tak się akurat składało, że nie przekraczało to jego możliwości finansowych. Posiadłość budziła zainteresowanie, a dom z bezrękim posągami nad wejściem – sympatię. W Witoldzie drgnęła wspomniana już żyłka hazardzisty. Nie namyślając się dłużej, wybrał numer telefonu Marka i zaakceptował ofertę. To była prawdziwa przygoda, odczuwał dreszcz radości podobny do tego, jaki towarzyszył mu podczas nurkowania w rafie koralowej czy wędrówek po pustyni.

Właśnie w efekcie tych wszystkich wydarzeń jego terenowe auto prawie zakopało się w błocie. Wczesna wiosna znakomicie nadawała się na tego typu wędrówki ludów, ale w innym

okresie roku po prostu nie mógł pozwolić sobie na urlop.

Westchnął ciężko i po raz kolejny wyciągnął mapę, która nie przydawała się naprawdę do niczego (może wojskowa byłaby lepsza?). Zresztą – pocieszył się, myśląc o mapie – „prawdziwie znaczne miejscowości nigdy nie są na nich umieszczane”* [H. Melville, s. 80.]. Z powodu niskiej gęstości zaludnienia nie było nawet kogo zapytać o drogę. Trudno się zatem dziwić, że zapadał już zmrok, gdy dotarł do Idy, miejscowości na końcu świata, gdzie nabył posiadłość rodziny Tyczyńskich.

„Sołtys Idy nazywa się Bielak” – poinformował go przed wyjazdem Marek. „Ma dla ciebie klucze, moi ludzie już kończą remont dworu, będziesz mógł dopilnować ostatniego etapu prac”.

Ida była wioską z dziecięcej bajeczki, rozrzuconą w malowniczy sposób na kilku pagórkach. Parę drewnianych chałup majaczyło w półmroku, niezbyt wyraźnie widać było płoty, małe ogródki i zarysy sylwetek wiosennych kwiatów. Witold z wysiłkiem odszukał dom z tabliczką „Sołtys”, który, jak się okazało, wyróżniał się zdecydowanie z otoczenia. Bynajmniej nie dzięki ciekawemu designowi (na przykład potłuczone talerze na elewacji) bądź odważnej koncepcji projektanta („gargamel” z kolumną dorycką i architrawem). Rzucił się w oczy ze względu na swoją nietypowość. Przedstawiał obraz dość szalonych eksperymentów architektonicznych – właściwie składał się z samych dobudówek, choć wydaje się to zupełnie niemożliwe. Witold nie potrafił jednak odpowiedzieć na pytanie, która część domu powstała jako pierwsza – finezyjna kompozycja z pustaków wydawała się stanowić jakąś pierwotną formę, lecz z kolei czworokątna nibystodoła z drewna była na pewno starsza. Nad gankiem domek miał dodatkowo coś w rodzaju koślawej wieżyczki, która nie wiedzieć czemu służyła.

Zapukał do drzwi, bez większej nadziei, bo we wszystkich oknach panowała ciemność. Sołtys i jego rodzina najwyraźniej preferowali spędzanie kwietniowych wieczorów poza domem. Witold westchnął, zapalił papierosa i usiadł na ganku. Cisza, przerywana od czasu do czasu szczekaniem psa, lekko go przerażała. Nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Nad głową rozpościerało się rozgwieżdżone niebo. Spokój...

Od strony drogi dały się słyszeć kroki. Wstał i zobaczył młodą kobietę o długich kręconych włosach. Miała około trzydziestu lat, a jej wygląd zupełnie nie pasował do obrazu wieśniaczki z zapomnianej przez Boga osady. Myśląc o mieszkańcach Idy, Witold wyobrażał ich sobie jako typy rodem ze skansenu wsi polskiej w strojach z epoki wczesnego Gierka (gumofilce i kraciaste chusteczki nachalnie dominowały w tym obrazie). Nadchodząca dziewczyna była ubrana w długi płaszcz i spodnie w stylu hippie. Oczywiście o chusteczce i walonkach nie było mowy.

– Dzień dobry. Szukam sołtysa Bielaka – powiedział, gdy tylko zbliżyła się do niego na odległość strzału z procy. Wyciągnęła zza pazuchy małego kota i postawiła go na ganku.

– Dzień dobry, a właściwie dobry wieczór – odparła i wskazując na kota, dodała: – Właśnie dostałam go od naszych nauczycieli. Oni hodują koty, może i pan weźmie jednego...

– Raczej nie, nie przepadam za tymi zwierzakami... – powiedział Witold niezupełnie zgodnie z prawdą. Miał raczej ambiwalentny stosunek do zwierząt: psów, kotów i rybek akwariowych.

Nie żeby ich jakoś specjalnie nie lubił, ale kochać też nie miał za co. Dziewczyna tymczasem kontynuowała wywód o kotach, mocując się z zamkiem w drzwiach:

– Niesłusznie. Koty są bardzo mądre i zazwyczaj same wybierają sobie właścicieli.

– I ten panią wybrał? – zainteresował się Witold, obserwując małe stworzenie, które z powagą zabrało się do wieczornej toalety.

– A żeby pan wiedział – roześmiała się, zapraszając go ruchem ręki do środka. – Wszedł mi po nodze na kolana, gdy graliśmy w karty. Musiałam go zabrać.

– Jestem Witold Mossakowski... – przedstawił się, choć wąski i ciemny przedpokój przybudówki należący do starej stodoły niezbyt sprzyjał eleganckim prezentacjom.

– Domyśliłam się. Pan Wilczyński mówił, że posiadłość Tyczyńskich kupuje minister, ale myślałam, że każdy minister jest łysy i stary...

– Formalnie, wcale nie jestem ministrem – sprostował, pomijając milczeniem uwagę o brakach w uwłosieniu, której zresztą zupełnie nie brał do siebie. Czego jak czego, ale włosów Bozia mu nie poskapiła. – Jestem sekretarzem stanu w randze wiceministra, co zresztą chyba nie ma większego znaczenia. – Ciągnął niezrażony dalej.

– Czy pani ojciec jest w domu?

– A czego pan chce od mojego ojca? – zdziwiła się młoda kobieta, zapalając światło w pokoju, do którego weszli. Był ogromny i prawie całkowicie wypełniony książkami i innymi szpargałami. W kącie znajdowały się kręcone schody prowadzące, jak się domyślił Witold, na ową koślawą wieżyczkę.

– Miałem się zgłosić do pana sołtysa po klucze... – starał się wyjaśnić Witold.

– Zaraz je panu dam. – Dziewczyna odwróciła się do niego z uśmiechem i wyciągnęła rękę – Mila Bielak, ja jestem sołtysem Idy.

– Przepraszam, głupio wyszło... – zdetonował się Witold. – Marek nic mi nie mówił...

– To się właściwie ciągle zdarza – machnęła ręką sołtys Mila. – Napije się pan kawy?

– Chętnie herbaty, jeżeli można.

Przenieśli się do kuchni, która, jak ocenił Witold, znajdowała się w budynku z pustaka. Jej centralnym urządzeniem był duży piec obudowany pięknymi kafłami w kolorze kobaltowego błękitu. Mila fachowo roznieciła ogień i postawiła na nim czajnik.

– Pański dom jest już prawie gotowy. Myślę, że może pan tam spokojnie przenocować. Jeżeli nie będzie panu odpowiadał nocleg w niewykończonych komnatach, to proszę wrócić do wsi. Ksiądz pana przyjmie, już się zadeklarował...

– Bardzo dziękuję, ale chyba to nie będzie konieczne... – szybko zaprotestował Witold, przestraszony nieco ewentualnością noclegu na plebanii. Nie wiadomo, jakie tam panują zwyczaje, może trzeba odleżeć krzyżem przed snem dwie godziny albo śpiewać w chórze na nieszpory.

– Na długo pan przyjechał? – Woda zabulgotała i pani sołtys zdjęła czajnik z ognia, nalewając wrzątku do fajansowego dzbanka, a po całym pomieszczeniu rozszedł się apetyczny

zapach ziół.

– Nie wiem, na pewno na kilka tygodni, muszę wykorzystać zaległy urlop.

– Niezbyt dobra pora na wakacje... – oceniła, stawiając dzbanek na dużym sosnowym stole, odgarnawszy najpierw kilka książek i małą stertkę papierów. – Na pewno będzie pan potrzebował kogoś do pomocy w domu... Już rozmawiałam z panią Kowalowa, która gotowała dla robotników remontujących dwór. To świetna gospodyni, będzie pan zadowolony.

Witold był poruszony tempem załatwiania tu spraw: zawsze mu się wydawało, że na wsiach każda rzecz musi się najpierw odleżeć i nabrać mocy urzędowej. Podzielił się tym spostrzeżeniem z dziewczyną. Miła uśmiechnęła się, podając mu filiżankę.

– Niech się pan nie dziwi. Jest pan najznamienitszym mieszkańcem Idy, wszyscy się panem interesują i plotkują od kilku miesięcy. – Witold, dosyć mocno przerażony, poprawił sobie na nosie drucziane okulary i próbował skierować rozmowę na tematy neutralne.

– Proszę mi lepiej powiedzieć, czego się tu mogę spodziewać, interesują mnie zwłaszcza miejscowe atrakcje.

– Właściwie nie ma żadnych – stwierdziła, mieszając herbatę. – Nawet gorzej niż w tym starym dowcipie: „macie tu jakieś życie nocne? Mamy, mamy, ale dzisiaj jest chora”.

Oboje roześmiali się i Witold trochę się odprężył, zaczął nawet mieć nadzieję, że może nie popełnił aż tak strasznego błędu, w końcu „dzisiaj żyjesz, jutro gnijesz”, jak mawiał ksiądz Robak, a to przecież uznany klasyk. Miła tymczasem kontynuowała, popijając herbatę.

– Sklep objazdowy raz w tygodniu, mogą panu przywieźć gazety z sześciu dni, poza tym asortyment dla niewybrednych. Chleba nie sprzedają, tutaj każdy sam piecze, musi pan złożyć specjalne zamówienie, w razie czego. Lekarza nie ma – jest tylko pani Tekla Tyczyńska, która leczy ziołami, ale bardzo skutecznie...

– Tyczyńska? – zdziwił się Witold. – Właścicielka majątku?

– Była właścicielka. Pomijając fakt, że obecnie to pan jest właścicielem, Ida została rozparcelowana po wojnie i był tu nawet PGR. Pani Tekla mieszka w małym domku myśliwskim na skraju lasu. Obawiam się, że kupił ją pan razem z majątkiem, podobnie zresztą jak kościół...

– Słucham?! – Kolejny raz Witold nie dowierzał własnym uszom.

– No tak! Kościół, a właściwie kaplica, znajduje się na pańskim terenie, jest częścią dworu. Korzystaliśmy z niego do tej pory, ale teraz decyzja należy do pana...

– Miła wzruszyła ramionami, najwyraźniej dystansując się od całej sprawy.

– A ksiądz? Jest zadowolony z tej sytuacji? – zainteresował się Witold, który zaczął teraz widzieć propozycję noclegu na plebanii w zupełnie innym (groźniejszym?) świetle. Mógł to być początek morderczych negocjacji, albo i czegoś gorszego.

– W Idzie nie ma księdza katolickiego. Jest prawosławny, ojciec Witalis, ale odprawia msze dla wszystkich. Ksiądz Prochor przyjeżdża dwa razy do roku – stary jest, a do Brzózek Wielkich daleko. Prawie 40 kilometrów, ale pański samochód nawet w zimie przejedzie... Witalis umówił się z księdzem, że zaopiekuje się paraną – tu prawosławnych i katolików jest po połowie.

Witold pokręcił z niedowierzaniem głową, takie rzeczy się po prostu nie zdarzały w znanym mu świecie. No, ale ten nie należał do znanych, najwyraźniej był to jakiś rodzaj społeczeństwa alternatywnego, o którym co prawda wielokrotnie słyszał, ale nigdy go nie widział.

– Oprócz tego jest szkoła, tak? – zapytał, bo autentycznie zaczęło go to fascynować.

– Owszem. Mamy piętnaścioro dzieci. Jestem przewodniczącą komitetu szkolnego i członkiem rady parafialnej. Mieszka tu para nauczycieli, która uczy wszystkich przedmiotów. Ja, pani Tekla i Witalis uczymy przedmiotów dodatkowych.

– Czego pani uczy? – zaciekał się Witold.

– Hiszpańskiego i astronomii – powiedziała niezbyt chętnie, bo – jak Witold zdążył już zauważyć – nie była osobą szczególnie wylewną. Przez moment zastanawiał się nawet, jak kogoś tak małowównego mogli wybrać na sołtysa. Głupio było jednak zapytać, więc zamiast tego Witold wyraził zdumienie organizacją nauki szkolnej w Idzie.

Mila ponownie wzruszyła ramionami i wydobyła duży pęk kluczy z kredensu.

– To pańskie klucze. Dom jest na wzgórzu, dobrze go widać z drogi.

Witold podziękował za herbatę i pożegnał się. Odprowadziła go na ganek.

Wsiadając do samochodu, popatrzył jeszcze raz na niesamowity dom.

– Przepraszam bardzo... Intryguje mnie ta wieżyczka...

– Dostyc koślawa, prawda? – uśmiechnęła się, ale bynajmniej nie z zakłopotaniem, raczej z dumą, najwyraźniej uważała, że jej dom prezentuje się atrakcyjnie i okazale.

– No cóż, cud architektoniczny to nie jest – powiedział szczerze, choć tak po prawdzie cały szereg dziwnych dobudówek wydawał mu się sympatyczny. Widać było wysiłek, jaki ktoś (kto?) włożył w upiększenie siedziby, nawet jeśli wyniki były niewspółmierne do chęci.

– Dzieci pomogły mi ją zbudować. To obserwatorium astronomiczne – dodała, znowu robiąc nieokreślony ruch ręką. Przypatrywała mu się przy tym badawczo spod grzywy kręconych włosów.

– Ma pani lunetę?! – zdziwił się niepomierne, choć właściwie wzmianka, iż dziewczyna uczy astronomii, winna mu dać do myślenia.

– Teleskop – poprawiła go. – Nazywa się „poszukiwacz komet”, mamy zupełnie niezłe wyniki.

– W kometach? – niezrażony, drążył zagadnienie, choć pani sołtys nie wykazywała chęci do dalszej pogawędki.

– Tak, ale nie tylko! – gestem dłoni zakończyła temat. – Jak będzie pan miał jakieś pytania, to proszę podjechać do mnie albo do szkoły.

Witold zrozumiał. Audiencja u Mili była zakończona. Czas wycofać się na z góry upatrzone pozycje. Pożegnał się krótko i bez wylewności (ostatecznie został potraktowany dość szorstko) i wskoczył do samochodu.

Już pierwsze spojrzenie na posiadłość objawiło mu prawdę w całej przerażającej okazałości – to, co kupił jako „dwór z przyległymi zabudowaniami”, było naprawdę eklektycznym pałacem z początku XX wieku. Budynek był piętrowy, zbudowany z czerwonej cegły i jasnego kamienia, ozdobiony niezliczonymi wieżyczkami, loggiami oraz werandkami. Nad ryzalitem w głównej elewacji wznosiła się kolumna zwieńczona bezgłowym i bezrękim posągami.

– Boże święty! – jęknął Witold, przyglądając się ze zdumieniem swej nowej siedzibie, którą wcześniej widział tylko na zdjęciach. – A cóż to jest?

– Pan Mossakowski? – Rozległo się wołanie z ganku. Witold wysilił wzrok w zapadającym szybko mroku i dostrzegł krępa kobietę wycierającą dłonie w ścierkę.

– Tak, to ja – przyznał się od razu, bo nie widział powodów, by kłamać, a na ucieczkę było już za późno.

– Witam pana! Jestem Gertruda Kowal, gotowałam dla robotników, którzy remontowali dwór.

– Pałac... – sprostował nieśmiało, przyglądając się po raz kolejny budynkowi.

– Mam nadzieję, że nie robi to panu różnicy – dwór, pałac, wszystko jedno! Przygotowałam dla pana kolację, bo wiedziałam, że będzie pan wolał zatrzymać się u siebie, a nie u księdza... Iwana okropnie gotuje i dobrze pan zrobił, że pan tam nie zanocewał.

Witold, wciąż jeszcze oszołomiony, wszedł do środka. Pachniało gipsem i świeżą farbą. Wnętrze domu było równie niesamowite: z hallu wchodziło się do otoczonego drewnianym gankiem westybulu. Ganek obiegał oba piętra domu i prowadziły z niego drzwi do wszystkich pomieszczeń. Te na parterze były w większości niewykończone – stały w nich drabiny i poniewierały się pędzle. Obok werandy znajdowały się drzwi do kuchni, z której dochodziły smakowite zapachy.

Witold wszedł tam, nie ociągając się. W kuchni – zwyczajem przyjętym najwyraźniej w tej okolicy – królował ogromny piec z zielonymi kaflami. Na dużym drewnianym stole stały ciasta i wędliny. Pomiędzy półmiskami życzliwa ręka gospodyni ustawiła suchy bukiet z wrzosów. Było swojsko, ciepło i przytulnie.

– Niech pan siada – zachęciła go Kowalowa, mieszająca energicznie w garnku. – A to mój syn – wskazała na siedzącego w kącie chłopaka, którego Witold nawet nie zauważył z powodu mroku. – Mireczku, przywitaj się!

Mireczek był wysokim i chudym młodzieńcem lat około dwudziestu. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i radośnie pomachał Witoldowi ręką.

– Mamusiu, ale fajny! – zwrócił się do matki. – I samochód też fajny.

– Mirek, uspokój się – huknęła na niego kobieta, nalewając zupę. – Niech pan wybaczy, on już taki jest. Zabieram go wszędzie ze sobą, bo boję się go zostawić w domu, żeby się czymś nie zatruł albo palucha nie wsadził w gniazdko.

– Nie ma problemu – uspokoił ją Witold, patrząc, jak Mireczek bawi się resztkami ciasta, wylepiając z niego rozmaite kształty. Chłopak przypominał mu przerośniętego Oskara

Matzeratha.

– A wie pan, że tu straszy? – spytał Mirek, zauważywszy zainteresowanie Witolda.

– Nie opowiadałbyś bzdur! – skarciła go matka. – Proszę na to nie zwracać uwagi, on ma takie swoje obsesje: a to że straszy, a to że diabły pokazują się na łąkach...

– Zamachnęła się na syna ścierką. – Utrapienie z nim tylko, skąd to się u niego bierze?

Mireczek wybuchnął śmiechem i porzuciwszy ciasto, wybiegł z kuchni, być może w pogoni za zjawą lub innym „diabelskim pomiotem”. Witold chętnie dowiedziałby się więcej o nadprzyrodzonych zjawiskach w Idzie, ale gospodyni postawiła przed nim aromatyczną zupę, która, jak się okazało, smakowała równie dobrze, jak pachniała. Pani Kowalowa okazała się prawdziwą mistrzynią kucharskiego fachu, nie mógł pozwolić, by tak wykwalifikowana siła wymknęła mu się z rąk.

– Mam nadzieję, że zostanie pani moją gospodynią?

– spytał więc z obawą, że sąsiadka rozmyśli się i nie przyjmie propozycji.

– I ja na to liczę – zaśmiała się pani Gertruda.

– Obiad jest bardzo dobry – pochwalił szczerze Witold. Gospodyni wzruszyła ramionami. – Nie jadł pan jeszcze drugiego dania...

– Niektórzy uważają, że już po zupie można poznać kunszt szefa kuchni – próbował się wytłumaczyć. – Czy codziennie można się spodziewać takich frykasów? – zapytał po chwili, widząc schab ze śliwkami.

– To zależy wyłącznie od tego, jaki budżet przeznaczy pan na gospodarstwo domowe. Ja preferuję kuchnię baskijską i francuską...

Witold popatrzył na nią znad schabu z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia. Miał nawet wrażenie, że się przesłyszał.

– No tak – stwierdziła gospodyni. – Ja, proszę pana, byłam szefową kuchni w ośrodku w Arłamowie!

– Ach tak! – zrozumiał Witold. – To wiele wyjaśnia. Zamyślił się nad historią „państwa arłamowskiego”, tajnego ośrodka rządowego z czasów PRL-u. W tamtych latach opowiadano o nim cuda na kiju – że w pokojach zainstalowano złote klamki i bursztynowe armatury w łazienkach, że na specjalnym pasie lądowały wojskowe samoloty z wódką i kawiozem z bielugi. Że odbywały się tam bale, polowania i orgie. Bywali w Arłamowie i Josif Broz Tito, i towarzysz Gierek, strzelali do specjalnie zwabionej zwierzyny, a potem ucztowali bez końca. Ośrodek o kryptonimie W2, luksus *ancien regime'u*, wrzód na zdrowym ciele klasy pracującej... Obecnie stacja narciarska dostępna dla wszystkich, którzy mają wystarczająco grube portfele. Urząd Rady Ministrów zatrzymał sobie tylko kilka idiotycznych domków w stylu góralskim, pasujących do Bieszczad jak pięść do nosa...

Pani Gertruda też chyba myślała o czymś podobnym, bo odłożyła ścierkę, którą wycierała naczynia, i usiadła przy stole:

– Żeby pan wiedział, jak oni jedli! Pierwszy sekretarz Gierek to preferował kuchnię

francuską...

– A myślałem, że raczej pyzy śląskie i ruskie... – wtrącił się Witold.

– Co za herezje pan opowiada? – zgorszyła się gospodyni. – Ruskie się zresztą wtedy nazywały „pierogi legnickie”. A kuchnia rosyjska nie była popularna... Te kołduny i solanki... Kuchnia polska i francuska.

– A co jadał rzecznik Urban? – zapytał Witold, którego zagadnienia historyczno-kulinarne wielce interesowały.

– On w ogóle mało jadł... Raczej pił, jeżeli pan wie, co mam na myśli... – uśmiechnęła się, podając ciasto.

– A propos, napije się pan herbaty?

– Może tym razem kawy... Herbatę piłem już u pani sołtys...

– A... Poznał już pan naszą Miłę? – rozpromieniła się pani Kowalowa, a Witold pokiwał głową.

– To prawdziwe szczęście, że ją mamy! Zanim tu przyjechała, to mój mąż był sołtysem... Ale teraz jest dużo lepiej... – zapewniła gorąco, a Witold chciał zapytać, jak owo „lepiej” się objawia, ale nie zdążył, bo w drzwiach pojawił się przerażony Mireczek.

– Mamusiu, proszę pana!!! Pojawiło się!!!! – wrzasnęła bez tchu, aż w oknach zatrzęsły się szyby („miałem rację z tym Oskarem Matzerathem” – pomyślał Witold).

– Co się znowu pojawiło? – z niezmaconym spokojem zapytała jego matka, zabierając się do układania naczyń.

– Zjawa... Straszna, bladezielona... Wychodziła z Upiornej Kapliczki...

– To jest tu także Upiorna Kapliczka? – zapytał rozbawiony Witold, którego już nic nie było w stanie zaskoczyć.

– Oczywiście – wyjaśniła pani Gertruda. – Upiorna Kapliczka znajduje się tuż za bramą parku, pewnie nawet jej pan nie zauważył... Jest związana z jakimś wypadkiem czy samobójstwem w rodzinie Tyczyńskich... O to musiałby już pan zapytać panią Teklę... Mój syn uważa, że w księżycowe noce pojawia się przy niej duch...

– Bo się pojawia – zaprotestował Mireczek, znowu usadowiony w kącie i pożerający podany przez matkę kawałek ciasta.

Gospodyni westchnęła.

– Wstydzilibyś się, synu, takie brednie opowiadać! Pan minister pomyśli, że ty jakiś głupol jesteś! Pewnie mgła się podniosła albo jakiś dym...

– Żaden dym – przekonywał solennie Mireczek.

– To była zjawa we własnej osobie.

– Oj, synu, synu... Zjawa to nie osoba, ile razy mam ci to tłumaczyć...

Witold powziął podejrzenie, że taka rozmowa pomiędzy matką a synem odbywa się już nie po raz pierwszy. Nie miał jednak siły zastanawiać się nad tym, był bardzo zmęczony i marzył o położeniu się do łóżka. Nie wiedział tylko, czy którykolwiek pokój nadaje się do zamieszkania.

Zapytał o to gospodynię. Ona – jak to leżało w jej naturze – rozpromieniła się błyskawicznie.

– Oczywiście! Na górze ma pan całkowicie wykończoną sypialnię. Mirek pana tam zaprowadzi i pomoże z bagażami...

– Sam sobie z nimi poradzę, właściwie to mam tylko jedną torbę...

Mireczek jednak, przejęty swą ważną funkcją, dopadł już auta i zaczął grzebać w bagażniku. Najwyraźniej terenówka Witolda bardzo mu się spodobała.

– Czy zabierze mnie pan kiedyś ze sobą? – zapytał z nadzieją.

– Ale dokąd? – nie zrozumiał Witold, wyciągając z samochodu pudło z ulubionymi książkami i szpargałami, które zawsze zabierał ze sobą.

– Dokądkolwiek – uściślił Mireczek. – Nawet do wsi albo do bramy parku, tylko kawałeczek bym się przejechał...

– Dobrze, ale teraz pokaż mi pokój. – Chłopak chwycił torbę i wbiegł do domu. Witold nawet nie próbował za nim nadażyć. Wszedł schodami na górę i idąc dalej drewnianym gankiem, okrążającym całe piętro, kierował się hałasem. Mireczka znalazł w drugim pokoju po lewej stronie.

Była to obszerna komnata z pięknym, wykuszowym oknem, leżąca w bezpośrednim sąsiedztwie wieży, ponad bezrękim posągami. Z okna rozpościerał się widok na park i położoną niżej wieś. W niektórych domkach paliło się światło. Również w domu pani sołtys, który rozpoznał po owej koślawej wieżyczce. Przez sekundę zastanowiła go myśl, czy Mila prowadzi w tym momencie obserwacje przez swoją lunetę („teleskop” – poprawił się natychmiast w myślach). Nie doszedł jednak do żadnych wniosków, gdyż uroczy zbiór dobudówek należący do pani sołtys był trochę za daleko. Mireczek przestrzegł go jeszcze przed duchami (Upiornej Kapliczki nie było widać z okna) i zniknął. Po chwili słychać już było tupot jego nóg na schodach.

Witold sięgnął po filiżankę z kawą, w którą zaopatrzyła go gospodyni, i zaczął wyciągać z pudła swoje skarby – przede wszystkim XVII-wieczną mapę Morza Karaibskiego i hiszpański galeon w butelce. Na dnie pudła znalazł wreszcie to, czego szukał – ukochaną książkę Rafaela Sabatiniego *Sokół morski*. Położył się wygodnie na łóżku, owinął kocem i zatopił w lekturze, po raz co najmniej tysięczny. Księżyc zaglądał przez okno, wszędzie wokół dźwięczała niesamowita cisza, przerywana od czasu do czasu szczekaniem jakiegoś wiejskiego kundla. Po kilku stronach lektury oczy mu się same zamknęły, a książka wypadła z ręki.

Po śniadaniu Witold postanowił wybrać się do wsi. Uznał, że powinien porozmawiać z panią Tyczyńską i księdzem Witalisem w sprawie kościoła. Zamierzał spotkać się z Milą i namówić ją, by poszła razem z nim do byłej właścicielki. Sam czuł się dość niezręcznie.

W domu pani sołtys nie zastał. Rozejrzał się bezradnie dookoła po budynkach. Ze zdziwieniem zauważył, że wioska nie wygląda wcale biednie. Wręcz przeciwnie – uliczka

drewnianych domków była zachęcająco zadbana i wesoła. Żadna tam Polska B czy C!!! Ida w słońcu wydawała się zadowolona z siebie i dość zamożną miejscowością.

Postanowił odnaleźć budynek szkoły. Mimo najszczerszych wysiłków nie mógł się jednak zorientować, gdzie mieści się wiejska uczelnia stopnia podstawowego – nigdzie nie dostrzegł charakterystycznych i znanych mu z wczesnego dzieciństwa dużych, podzielonych na kilka części, okien i równie charakterystycznej czerwonej tablicy z godłem państwowym.

Rozejrzał się niepewnie. Na szczęście kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł małą dziewczynkę. Ubrana była jak przedwojenna pensjonarka – w granatową sukienkę i biały fartuszek z falbankami. Dwa jasne mysie ogonki miała związane wstążkami i bawiła się sękatym patykiem. Gdy zbliżył się do niej, osobiwa pensjonarka zaczęła wykonywać swoim kijkiem ekwilibrystyczne sztuczki: zakręciła nim młynka, po czym wymierzyła w Witolda i niezwykle grubym głosem krzyknęła: – *Per aspera ad astra** [*Per aspera ad astra* (łac.) – Przez ciemnie do gwiazd.]

Milczał osłupiały. Dziewuszka, najwyraźniej niezbyt zadowolona z efektów swego działania, pokręciła z niezadowoleniem głową, opisała patyczkiem koło w powietrzu i równie grubym głosem zawołała:

– Lasciate ogni speranza.

– *Voi ch'entrate** [*Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate* – porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić – napis nad bramą piekła w *Boskiej komedii* Dantego.] – dokończył zdumiony Witold, bo dziwne dziecko najwyraźniej domagało się jakiejś reakcji.

– Właśnie – stwierdziła dziewczynka i zaprezentowała mu swój patyczek. – Proszę bardzo: kasztanowiec, dziewięć i pół cala – bardzo finezyjna, doskonała do rzucania uroków.

– Do rzucania uroków? – nie mógł zrozumieć Witold.

– Oczywiście! Wygląda na to, że niewiele pan wie o różdżkach? – Z niesmakiem pokręciła głową i przyjrzała mu się uważnie.

– Raczej nic, *madame* – stwierdził rozbawiony całą tą sytuacją Witold.

– To widać – oceniło go krytycznie dziecko. – A mimo to wygląda pan w tych swoich okularkach jak Harry Potter, tylko strasznie stary!

Witoldowi wreszcie rozjaśniło się w głowie – miał przed sobą lokalną wielbicielkę Harry'ego Pottera! A więc mania czarnoksięstwa, którą ze zdumieniem obserwował w Europie i Stanach Zjednoczonych, dotarła także tutaj!

Poczuł się jednak głęboko dotknięty insynuacją na temat swojego wieku, chrząknął więc niezadowolony. Miał oczywiście pełną świadomość tego, że dla dziesięcioletniej dziewczynki musi być czymś na kształt cmentarnej paproci, ale bez przesady – był stary i zmurszały, lecz tylko do pewnego stopnia!

– Za pozwoleniem, *madame*, nie stoję jeszcze nad grobem. Może najlepsze lata mam już za sobą, ale do emerytury mi daleko. Umówmy się, że jestem jęgomościem w średnim wieku!

Dziewczynka przyzwalająco kiwnęła głową, nie przestając mu się uważnie przyglądać.

– Wiem, kim pan jest! Tym ministrem z Warszawy! – wykrzyknęła triumfalnie, a on po raz

kolejny westchnął ciężko. Sława wyraźnie go wyprzedziła i – co tu kryć – zaczynała mu nieco ciążyć.

– Chciałem porozmawiać z panią sołtys – powiedział więc tylko, postanawiając niczemu się tu nie dziwić i niczego już nie tłumaczyć.

Dziewczynka schowała różdżkę za pasek fartuszka i wyciągnęła z pobliskiego rowu swój tornister.

– Pani Mila jest w szkole – stwierdziła. – Jeśli pan chce, mogę pana zaprowadzić.

– Bardzo chętnie – postanowił zaskarbić sobie sympatię cudacznej dziewczynki i z wysiłkiem przypomniał sobie imię przyjaciółki Harr’ego – Hermiono!

Podskoczyła z radości. – Pan naprawdę jest jak Harry Potter! Skąd pan wiedział, że najbardziej lubię Hermionę Granger?

Witold zrobił nieokreślony ruch ręką. – Jak wszyscy czarodzieje posiadam zdolność telepatii...

– Szkoda, że biblioteka szkolna ma tylko jedną książkę o Harrym – stwierdziła dziewczynka po chwili milczenia.

– Dlaczego?

– Pani Mila mówi, że nie było pieniędzy. Bo wie pan, szkoła musi kupować podręczniki, różne lektury i na Harry’ego już nie starczyło – westchnęła ze smutkiem. – Ale pani Mila obiecała, że przed wakacjami kupi wszystkie pozostałe części. Ja bym chciała tę grubą książkę, *Harry Potter i czara ognia*...

– Szkoła kupuje wam podręczniki? – zaciekał się Witold.

– Tak. Pani Mila uważa, że podręczniki powinny być za darmo rozdawane w szkole. To znaczy pożyczane, bo na koniec roku trzeba je oddać... Każdy musi dbać o książkę i nie zniszczyć, bo brat albo siostra nie będą się mieli z czego uczyć...

– Ja, jak byłem mały, to dorysowywałem królom i królowym w podręczniku do historii wąsy... – przypomniał sobie dawne czasy.

Dziewczynka ożywiła się. – Mój brat też tak robił! Ale pani Tekla go oduczyla.

– W jaki sposób? – zainteresował się Witold.

– Kazała mi przynieść z domu zdjęcia Andca i wszyscy w klasie dorysowywali mu wąsy, czarne zęby i piegi. Antek się popłakał od tego...

– Bardzo ciekawe metody – roześmiał się Witold. – Czego uczy was pani Tekla?

– Botaniki. – Dziewczynka znowu podskoczyła. – A wie pan, że u nas w szkole jest tak samo jak w Hogwarcie? Pani Tekla jest jak profesor Sprout, która uczy Harry’go zielarstwa, tylko ona jest fajniejsza...

– A pani Mila?

– Ona jest trochę jak profesor Dumbledore, tylko nie taka stara, i trochę jak profesor McGonagall...

Witold pożałował, że nigdy nie przeczytał tych książek, które kupował przecież dla dzieci

znajomych.

– To znaczy? – zapytał, bo te nazwiska niewiele mu mówiły.

– No wie pan – pani Mila jest bardzo mądra: czytała wszystkie książki, wie tyle o kosmosie, i to same ciekawe rzeczy, nie takie nudne, a poza tym ma te koty – profesor McGonagall zamieniała się przecież w kota...

Tak rozmawiając, doszli do szkoły. Witold od razu zrozumiał, dlaczego nie mógł jej wcześniej zlokalizować. Szkoła zajmowała piętrowy podłużny budynek ukryty w gąszczu drzew i krzewów. W lecie musiało być tutaj pięknie. Z boku widać było wąskie schodki prowadzące na wysokie poddasze. Obok schodków przyczepiono tabliczkę z napisem „Biblioteka”. Poza tym szkoła mogła poszczycić się boiskiem i placem zabaw, pełnym drewnianych huśtawek i zjeżdżalni. Czerwona tablica obok ganku głosiła: „Szkoła Podstawowa w Brzózkach Wielkich, Oddział Filialny w Idzie”.

Weszli do środka.

Pierwszą osobą, na którą się natknęli, była Mila. Stała w wąskim korytarzyku, przeglądając trzymane w ręce papiery i książki. Ogromny *Atlas nieba gwiazdowego* wyraźnie jej zawadzał.

– Pani pozwoli, że ja go potrzynam – zaoferował swą pomoc Witold bez żadnych niepotrzebnych wstępów. Pani sołtys oddała mu atlas z wdzięcznością.

– Bardzo dziękuję. Ze mną jest tak jak w tej piosence: „Gdybym ja miał cztery nogi, dwie długie nogi, dwie krótkie nogi”, tylko u mnie przydałyby się raczej ręce w tej samej ilości.

W tym momencie przeniosła uwagę na lokalną Hermionę Granger, która w zdenerwowaniu przestępowała z nogi na nogę, jakby zastanawiając się, co ma robić.

– Alinka, czemu ty nie jesteś jeszcze w klasie? Hermiona z niepokojem skubała falbankę swego fartuszka. – Noo... – zaczęła niepewnie.

– Pewnie znowu bawiłaś się w transmutację i zaklęcia, co?

– Ja tylko... – Płatała się dziewczynka, a Mila pokręciła głową.

– Biegnij do klasy... Utrapienie z tym dzieciakiem! – zwróciła się do Witolda. – Jest zupełnie zwariowana na punkcie Harr’wego Pottera...

– Zauważyłem – roześmiał się. – Gdy ją poznałem, najwyraźniej chciała rzucić na mnie urok.

– Niech się pan cieszy, że pan przeżył – uśmiechnęła się Mila. – Ale co pana sprowadza do szkoły?

– Chciałem panią prosić, żeby zaprowadziła mnie pani do księdza Witalisa i pani Tekli – powiedział, licząc, że mu nie odmówi.

– Oczywiście, tylko że teraz mam lekcję. Może pan zaczekać? – zmarszczyła zabawnie nos, co dodało uroku jej zazwyczaj bardzo poważnej twarzy.

– Czemu nie. Gdzie mam poczekać? – rozejrzał się po pustym korytarzu i zdecydował, że posiedzi na placu zabaw.

– Najlepiej, gdyby poszedł pan ze mną do klasy. Mamy lekcję astronomii, mógłby mi pan pomóc.

Witold zaprotestował – Raczej nie, zupełnie nie znam się na tym. Nie odróżniam planet od siebie, a z gwiazdozbiorów znam dwa: Wielki Wóz i Krzyż Południa.

Nie chciał się przyznać, że wizyta w klasie napelnia go nieokreślonym lękiem, przypominając klasówki, kartkówki, kontrolę czystości chusteczki do nosa (w jego szkolnych czasach nie znano chusteczek papierowych) oraz zniechęcającą fluoryzację zębów. Choć raczej nie podejrzewał, żeby w szkole podstawowej w Idzie zmuszali do czyszczenia zębów wstrętnie pachnącą chemiczną substancją lub badali głowy pod kątem robactwa, nie uśmiechał mu się powrót do szkolnej ławki, nawet w roli widza. Jego wspomnienia z tego etapu edukacji, zakończonego w heroicznym latach 80., raczej heroiczne nie były. Wagary i mecze piłki nożnej toczony na śmierć i życie z uczniami sąsiedniej szkoły – takie miał wspomnienia. Raczej był słabą reklamą szkoły made in PRL i wciąż z dreszczem wspominał nauczycielkę historii, która kazała przed każdą lekcją skandować: „Trud naszych rąk i żar naszych serc oddamy Partii i socjalistycznej ojczyźnie”. Przypomnienie „żaru serc oddanego Partii” było tak traumatyczne, że aż się wzdrygnął. Mila zauważyła najwyraźniej jego minę, bo próbowała go jakoś pocieszyć i odwrócić uwagę od niewesołych myśli.

– Ale uprawiał pan kiedyś sporty ekstremalne? – Witold zdziwił się, bo w obecnej sytuacji było to pytanie zupełnie – jak to mawia młodzież – „od czapy”. Był jednak ciekaw, co z tego wyniknie, więc odpowiedział:

– Owszem – bungee jumping, nurkowanie bezdechowe, narciarstwo ekstremalne... Uważa pani, że astronomia to także niebezpieczny sport? – spytał bezradnie, bo w żaden sposób jedno nie kojarzyło mu się z drugim, a najwidoczniej jakiś związek musiał być.

– Niezupełnie. Czy zgodziłby się pan opowiedzieć o swoich przygodach w klasie?

– Bardzo chętnie, choć nie wiem, czy potrafię zrobić wykład dla dziesięciolatków. W każdym razie spróbuję – obiecał solennie, a Mila wyglądała na bardzo usatysfakcjonowaną.

– Wspaniale! Dzwonek. Idziemy – popchnęła go w kierunku otwartych drzwi klasy, z których wyglądały główki zaciekawionych dzieci.

Na korytarzu pojawiła się drobna, niewysoka kobieta z dzwonkiem w ręce. Ostatni raz Witold widział taki dzwonek we wczesnych latach 80., podczas notorycznych wyłączeń prądu w szkole związanych z 20. stopniem zasilania. W jego podstawówce dzwonił gruby woźny, którego nazywali Kartofel i zawsze robili mu na złość. On zresztą nie pozostawał im dłużny.

W klasie siedziało dziesięcioro dzieci. Wszystkie wpatrywały się w niego z ciekawością, która lekko go skonfundowała. Z przedostatniej ławki ktoś się uśmiechał. Była to Alinka-Hermiona, która machała w jego kierunku swoją funkcjonalną różdżką – miał tylko nadzieję, że było to pozdrowienie, a nie próba rzucenia uroku.

– Moi drodzy – powiedziała Mila. – To jest pan Witold Mossakowski, który kupił posiadłość pani Tekli i mieszka teraz w naszej wiosce. Pan Mossakowski na pewno wiele nam jeszcze opowie o Unii Europejskiej, bo uczestniczył w przygotowaniu traktatu...

Witold jej przerwał. – Niezupełnie tak. Uczestniczyłem tylko w zamykającym negocjacje

szczycie w Kopenhadze, a to jednak zupełnie co innego...

Mila uśmiechnęła się przeprasząco i dodała:

– Ale dzisiaj pan Mossakowski opowie nam o czymś zupełnie innym, choć na pewno równie ciekawym. Najpierw jednak mi powiedzcie, ile znamy w naszym układzie planetarnym księżyców.

– Dziewięćdziesiąt pięć – powiedziała niewielka blondyneczka z drugiej ławki.

– Wcale nie! Dużo więcej – odezwał się szczerbaty chłopak spod okna.

– To nasz geniusz astronomiczny, Piotruś Słobankiewicz – wyjaśniła Witoldowi Mila. – Zbiera wycinki prasowe i publikuje własną gazetę „Ida, Ida”. Na pewno będzie chciał z panem porozmawiać, bo pana przyjazd stał się lokalną sensacją...

– Masz rację, Piotrek – Mila zwróciła się do szczerbola. – Ostatnio naukowcy odkryli osiem nowych księżyców Jowisza...

– No właśnie. – Młodociany dziennikarz aż podskoczył w swojej ławce. – Sonda Cassini fotografuje w tej chwili księżyc Jowisza, jest ich 48, Uran ma 21 satelitów, Neptun 11, Mars 2, a Ziemia i Pluton po 1. Wenus i Merkury nie mają wcale księżyców...

– Czyli znamy już ponad 100 satelitów różnych planet naszego układu – podsumowała Mila. – Jowisz ma prawdopodobnie około 100 księżyców, których rozmiar nie przekracza kilometra. Początkowo nazywano je imionami licznych ukochanych boga Jowisza, ale teraz przestało już ich wystarczać...

– Obserwacje prowadzi Uniwersytet Hawajski, oni mają dwa dziesięciometrowe teleskopy Keck I i Keck II umieszczone na szczycie wulkanu Mauna Kea na Hawajach – wtrącił się Piotruś, wprawiając Witolda w kolejne niekontrolowane osłupienie. Poziom wiedzy tutejszych dzieci zaczynał go przerażać nie na żarty, zwłaszcza że on sam, mający o swej inteligencji nie najgorsze zdanie, akurat na ten temat miał niewiele do powiedzenia, a za chwilę miał tu wystąpić z jakimś spiczem. „Ale mnie urządziła” – pomyślał z urazą o pani sołtys, podejrzewając, że z zemsty (być może za wieczorne nagabywania i przedłużającą się wizytę) chce go ostentacyjnie skompromitować przed małoletnimi. Zaczął się więc kręcić niespokojnie na krześle, jakby miał owsiki lub „jakby go kto szydłem w słabiznę ekscytował” (przypomniał sobie to staropolskie zdanie, zaczerpnięte z powieści dla młodzieży) i w ogóle nie mógł na niczym się skupić. Mila, obserwując go pogodnym i pozbawionym złościłości wzrokiem, skinęła głową w kierunku Piotrusia.

– Właśnie. Piotrek koresponduje ze Scottem S. Sheppardem z Uniwersytetu na Hawajach – wyjaśniła Mila zgnębionemu Witoldowi, który po raz kolejny postanowił niczemu się tu nie dziwić.

– Księżycy są bardzo ciekawymi ciałami – kontynuowała Mila. – Najcudowniejszym księżycem Jowisza jest Europa, glob, na którym najprawdopodobniej znajduje się woda i być może życie. Europa jest skuta lodem, naukowcy zamierzają się przez niego przewiercić, żeby pobrać próbki istniejącej tam cieczy. Sonda Cassini stwierdziła, że w rzadką atmosferę księżycyca

uderza chmura drobnych cząsteczek zwanych elektronami i wybija z jej powierzchni kawałki lodu, które ciągną się za Europą jak ogon komety...

– To musi pięknie wyglądać... – rozmarzyła się Alinka.

– Księżycy innych planet są równie interesujące – uśmiechnęła się Mila, otwierając piękny album *Inne światy* i prezentując odpowiednią stronę. – Enceladus na przykład umożliwiłby nam uprawianie snowboardu na swej powierzchni... Mielibyśmy przy tym cudowny widok na pierścienie Saturna. Satelita Urana, Miranda, posiada stromy, gigantyczny, 14-kilometrowy klif doskonały do wspinaczki, po powierzchni Tytana moglibyśmy ścigać się skuterami, i to bez uzupełniania zapasów paliwa, gdyż jego jeziora wypełnia metan. Tytan jest przy tym jednym z najbardziej malowniczych księżyców, gdyż dominują tam różne odcienie pomarańczowego – jest to „mandarynkowy świat pod marmoladowym niebem” jak kiedyś przeczytałam – przerwała na chwilę, widząc, że Piotrek podskakuje w swojej ławce z wyciągniętą ręką. – Chciałeś coś dodać? – spytała, a chłopiec pokiwał głową.

– Może te kolory są atrakcyjne dla dziewczyn – powiedział, patrząc wymownie na zasłuchaną Alinę, a ona wykrzywiła się do niego groźnie. – Ale najważniejsze jest to, że atmosfera Tytana jest bardzo gęsta, a grawitacja słaba...

– Słusznie – powiedziała z uznaniem Mila. – Właśnie dlatego można by tam latać jak ptak, albo skakać jak delfin – oczywiście w odpowiednio skonstruowanym skafandrze – z jednego jeziora do drugiego.

– Inne księżycy też są takie fajne? – spytała dziewczynka siedząca w rzędzie obok Alinki. Mila skinęła głową.

– Jednym z najciekawszych księżyców jest Fobos, małe satelity Marsa. Na Fobosie moglibyśmy bez trudu podskoczyć na wysokość kilometra lub podnieść ciężary równe wadze samolotu. Dzięki niewielkiej grawitacji człowiek na Fobosie ważyłby tyle co mysz... A siłacz mógłby podnieść bez trudu ciężar 400 ton... Gdybyśmy spróbowali gimnastycznych akrobacji, moglibyśmy fikać koziołki w powietrzu przez 25 minut bez spadania na podłoże...

– Myśli pani, że kiedyś te księżycy mogą stać się atrakcjami turystycznymi? – spytał Piotruś.

– Na pewno nie nastąpi to szybko. Ale jest to porywający pomysł – sporty ekstremalne w takim otoczeniu... Na razie jednak wszystkie te dziedziny można uprawiać jedynie na Ziemi. I o tym opowie nam pan Witold...

Dzieci zareagowały ogromnym entuzjazmem. – Był pan na Wielkiej Rafie Kolarowej? W Peru? W Afryce? Kanionie Kolorado? – przekrzykiwała się cała klasa.

Witold uśmiechnął się. – Byłem w najróżniejszych ciekawych miejscach i uprawiałem rozmaite niebezpieczne sporty – skakałem z mostu Golden Gate (choć to nielegalne) i latałem na paralotni w Rio de Janeiro, nurkowałem na rafie i byłem na Spitsbergenie... Ale przyznam, że ten księżyc Jowisza, Europa, wydaje mi się bardziej ekscytującym miejscem. Jestem bardzo ciekawy, czy można go zobaczyć przez waszą lunetę.

– Teleskop!!!! – wrzasnęły chórem dzieci, a Witold jęknął. Tak pilnował, żeby nie

wypowiedzieć tego kompromitującego słowa, że oczywiście samo mu się wymknęło.

Identyczną sytuację miał kiedyś na studiach – próbował zdawać egzamin z filozofii, gdzie w jednym z nowoczesnych systemów pojawiała się określenie „fuzja światopoglądów”. Nieszczęsnemu, przetrenowanemu w nauce studentowi owa fuzja skojarzyła się z... dubeltówką, której obraz tak się narzucił, że wchodząc na salę egzaminacyjną, powtarzał „fuzja, fuzja, nie dubeltówka”. Oczywiście, zapytany pomylił się, a profesor podsumował jego wysiłki z przekąsem: „No, ładnieś pan wypalił z tej dubeltówki”. Podobne upokorzenie przeżywał i dziś, ale Mila postanowiła go uratować.

– Jeżeli pan chce, może pan dołączyć do naszego kółka – powiedziała. – Obserwujemy niebo w każdy pogodny dzień wieczorem...

– Bardzo chętnie – zapalił się Witold, licząc, że lunetowa wpadka zostanie zapomniana.

– Ale wracając do pańskich przygód. Może opowie nam pan coś o swoich przeżyciach... Tylko nie wiem, co na początek...

– O GoldenGate!

– Nie, o Afryce!

– Nie, nie, nie! O rafie!! – rozlegały się głosy ze wszystkich stron.

Do końca lekcji Witold opowiadał o sobie. Gdy zabrzmiał dzwonek, dzieci rzuciły się do niego z pytaniami. Musiał obiecać, że udzieli gazecie „Ida, Ida” obszernego wywiadu i co tydzień będzie przedstawiał jedną ze swych podróży na łamach tego poczytnego i prestiżowego czasopisma.

Dzieci nie pozwoliłyby mu wyjść z klasy, gdyby nie nagła odsiecz w osobie wysokiego blondyna z paką zeszytów w ręce.

– A cóż tu się dzieje? – spytał tubalnym głosem. Harmider w sali nie uciszył się ani na jotę, tylko Mila podniosła głowę znad stołu.

– Cześć, Albert.

– Cześć, myślałem, że cię nie ma, a tu trwa jakaś bitwa... być może oblężenie Askalonu przez krzyżowców albo coś podobnego...

– To Albert Lipski – przedstawiła Mila. – Nasza fachowa siła pedagogiczna od przedmiotów humanistycznych.

Witold wymienił swoje nazwisko i uścisnął podaną rękę.

– A, to pan jest tym ministrem... – ożywił się Albert.

– Nie jestem ministrem – wyjaśnił po raz kolejny zrezygnowany Witold.

– Na naszą miarę jest pan właściwie premierem we własnej osobie – roześmiała się Mila.

– Może wpadnie pan do nas wieczorem? – zaproponował Albert. – Mieszkamy nad szkołą, ten sam korytarz co biblioteka, tylko po drugiej stronie. Zapraszam na karty i mecz w telewizji. Mila, będziesz?

– Pucharowa środa jest jednocześnie środą astronomiczną. Obserwujemy Saturna. – Mila pokręciła przecząco głową.

– Szkoda! Ale na pana czekamy.

Witold nie miał innego wyjścia, musiał się zgodzić.

Dzieci nie pozwalały jednak zapomnieć o swojej obecności. Albert z trudem zapędził je do ławek i rozwiesił na tablicy mapę średniowiecznej Europy. Najwytrwalsi zawodnicy gonili jeszcze Milę i Witolda aż do drzwi wyjściowych.

– Odnosił pan gigantyczny sukces – stwierdziła Miła, gdy pozbywszy się ostatnich poszukiwaczy przygód, wyszli ze szkoły. – Nie pamiętam takiego entuzjazmu na żadnej mojej lekcji!

– Wie pani? Uświadomiłem sobie, że nigdy tyle nie opowiadałem o sobie, co przez tę godzinę... – uśmiechnął się.

– Naprawdę? Myślałam, że wszyscy o to pana pytają i ciągle pan snuje swoje opowieści niczym Tony Halik...

Roześmiał się. – Nigdy o tym nie rozmawiam. Zawsze mnóstwo pracy, potem urlop wykorzystywany maksymalnie intensywnie i znowu do pracy od rana do wieczora... Nie było czasu na opowieści o dalekich krajach...

– Czy mogę o coś zapytać?

– Proszę.

– Czy przyjazd do Idy to jeden z pana sportów ekstremalnych?

Milczał.

– Przepraszam, to nie moja sprawa – stwierdziła niezobowiązującym tonem. – Już prawie dochodzimy do domu pani Tekli. Jak pan widzi, domek leży na terenie pańskiej posiadłości.

– Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, dokąd sięga ten teren... – powiedział i zrobiło mu się wstyd. A najbardziej gnębiła go myśl, że został potraktowany jako zblazowany poszukiwacz przygód. „Eskapizm” – pomyślał. „To właśnie mi zarzuca. Że kupiłem tę ziemię dla kaprysu, by na chwilę oderwać się od mego prawdziwego życia. Taka wielkopańska rozrywka. Tak pewnie o mnie myśli”. Trudno było jednak ocenić, o czym naprawdę myślała Miła i czy w ogóle zajmował ją problem egzystencjalnych niedoli bliźnich, bo gdy tylko weszli na małe wzniesienie, wyciągnęła rękę i zatoczyła nią spory okrąg.

– Widzi pan? Pańska posiadłość rozciąga się aż do tamtych wzniesień. I pod las. A właściwie w głąb lasu, bo ten las także należy do pana.

– Pani Tyczyńska nie chciała odzyskać majątku? – zainteresował się, patrząc na uroczy krajobraz.

– Nie. Posiadłość wcale jej nie interesuje. Mogła procesować się ze skarbem państwa o zwrot znacjonalizowanego dworu, ale nie chciała. Twierdzi, że nie byłaby w stanie go utrzymać, a poza tym dom jest dla niej za duży. Woli mieszkać w starym domku myśliwskim, to znaczy o ile pan wyrazi na to zgodę...

Witold obruszył się. – Przecież pani wie, że nie zamierzam tu niczego zmieniać. Nie chcę nikogo wyrzucać, wszystko ma zostać tak, jak jest.

Mila się uśmiechnęła. – I bardzo dobrze. Przekona się pan, że tak jest najlepiej.

Dworek myśliwski był skromnym budynkiem wzniesionym całkowicie z drewna. Przed domem widać było studnię i jakąś niewielką zagrodę. Kiedy się zbliżyli, Witold doszedł do wniosku, że jest to ogródek ziołowy, obecnie w stanie hibernacji.

Drzwi otwarła im zupełnie siwa, krępa kobieta w nieokreślonym wieku – mogła mieć 60 albo równie dobrze 80 lat. Miała uśmiechniętą, zaróżowioną twarz, a w ręce trzymała duże fajansowe naczynie – wyglądała jak dobrotliwa czarownica.

– To pan Witold Mossakowski – przedstawiła Mila i Witold już wiedział, że ma do czynienia z panią Tyczyńską.

– Bardzo mi miło. – Była dziedziczka wyciągnęła doń rękę, a później gestem zaprosiła do środka.

Obszerny pokój, a właściwie izba, do której weszli, pachniał i wyglądał jak staroświecka apteka. Wokół dużego pieca wisały pęczki suchych i schnących roślin, wydzielających niesamowite aromaty. W zajmujących każdy skrawek wolnej przestrzeni szafach znajdował się sprzęt, którego Witold nie zawahałby się określić jako *curiosa pharmaceutica*. Retorty i inne urządzenia, których nie tylko nazw, ale i przeznaczenia nie był w stanie zgłębić, przyciągały zdumiony wzrok.

– Fantastyczne – powiedział, nie mogąc się opanować. Gospodyni uśmiechnęła się wyrozumiale, Mila zaś wskazała mu duże pękate urządzenie wykonane z miedzi. – A to pan zna? To najprawdziwszy w świecie alembik do destylacji perfum, Tekla przywiozła go z Francji...

– Destyluje pani perfumy? – zdumiał się Witold, przyglądając się dziwnemu urządzeniu składającemu się z pękatego zbiornika, gdzie na gorącą wodę wrzucało się surowiec roślinny, oraz odbieralnika, do którego wędrował schłodzony produkt. Oczywiście, całą tę wiedzę nabył później, szukając w internecie, a na razie wpatrywał się w aparaturę zaciekawionym wzrokiem, próbując odgadnąć zasadę działania i medytując nad dawnymi alchemikami. W końcu w takich urządzeniach próbowano zmienić żelazo w złoto czy rtęć w złoto, czy cokolwiek innego, ale w każdym razie na pewno w złoto.

Pani Tekla wskazała mu tymczasem jedną z szaf, pełną rozmaitych słoiczków i małych butelek.

– Mam nawet niezłe efekty. Udało mi się skomponować kilka oryginalnych zapachów, bazując na miejscowych kwiatach i ziołach. Oczywiście, produkcja najintensywniej idzie późną wiosną i latem, teraz destyluję z suchych roślin, a to jednak nie to samo...

– Niesamowite. – Witold wziął do ręki jedną z buteleczek i odkorkował ją. Rozszedł się delikatny, ale bardzo intensywny zapach bzu. Co ciekawe, perfumy pani Tekli pozbawione były charakterystycznego dla wszystkich wytworów przemysłu kosmetycznego zapachu spirytusu. Witold słabo znał się na zapachach, na pewno nie mógł zaliczać się do wyrafinowanych

specjalistów, od lat był wierny jednej i tej samej wodzie toaletowej, ale zawsze odrzucał go obecny po odkręceniu większości buteleczek charakterystyczny zapach „Przemysławki”, bo tak chyba nazywała się ta nazbyt alkoholizowana woń z poprzedniej epoki. Tutaj perfumy w ogóle nie pachniały alkoholem.

– Nazywam je „Ideality” – uśmiechnęła się pani Tekla. – Wszystkie moje perfumy mają w nazwie słowo „Ida”, uważam, że to przynosi wyrobom szczęście...

Witold odkręcił kolejną butelkę. Zapach był, podobnie jak poprzedni, mocny, lekko słodkawy, ale jednocześnie niezwykle egzotyczny. Wydawał mu się przy tym bardzo znajomy.

– Znam to skądś – stwierdził, podnosząc butelkę do światła.

– To „Ideal” – wyjaśniła pani Tekla. – Ulubione perfumy naszej pani sołtys.

Mila zaśmiała się wesoło. – Powinny się nazywać „Idealny sołtys” i wtedy zrobiłyby karierę na świętach ludowych i wyborach Chłopa Roku.

– Co w nich tak niesamowicie pachnie? – dopytywał się Witold.

– Każde perfumy mają tak zwaną nutę bazową, która po odkręceniu korka wysuwa się na plan pierwszy, czyli pachnie najintensywniej. W tym przypadku są to kwiaty georginii, rosnących zresztą w pańskim ogrodzie...

– Niesamowite – stwierdził Witold i jeszcze raz pomyślał o fatalnej „Przemysławce” i jej wielu potomkach. Najwyraźniej nutą bazową w tym niezbyt szlachetnym pachnidle był spirytus rektyfikowany, co – biorąc pod uwagę zamiłowanie mieszkańców naszego kraju do mocnych alkoholi – nie powinno wcale dziwić. Zapach georginii wydawał się jednak zdecydowanie atrakcyjniejszy, Witold przypomniał sobie wiersz Miłosza z georginiami w roli głównej i nie omieszkał podzielić się tym z panią Teklą.

– Wspaniałe kwiaty, efektowne i, biorąc pod uwagę perfumiarstwo – efektywne – powiedziała z entuzjazmem Mila. – Zobacz pan w lecie, jak pięknie kwitną i jak wyglądają.

– Skoro to pana ciekawi, pokażę panu nowy wyrób. – Pani Tekla odwróciła się do podręcznej szafy. – To zapach na bazie kwiatów lewkonii, mocny i dość narkotyczny...

Zapach w istocie był wręcz niezziemski. – Powinna pani to opatentować – stwierdził Witold. – Te wszystkie Guerlainy i Coty mogą się schować przy pani esencjach...

Starsza pani poróżwiała z zadowolenia. – Mila, zobacz, myślę, że to idealny zapach dla ciebie.

Pani sołtys w skupieniu wachała małą buteleczkę, po czym wylała trochę perfum na rękę i roztała je drugą dłonią. W pokoju czarownicy rozszedł się oszałamiający zapach ciężkich kwiatów.

– Naprawdę świetne – orzekła Mila. – Jak je nazwiesz?

– Może pan coś wymyśli? – Pani Tekla zwróciła się do Witolda.

– Ideal addiction – palnął pierwsze, co mu przyszło do głowy.

Obie wyglądały na zaskoczone. – Dlaczego „nałóg”? Witold wykonał niezdecydowany ruch ręką. – Tak mi się skojarzyło, nie mam pojęcia dlaczego...

– To świetne zestawienie – stwierdziła pani Tekla. – „Idealny nałóg”, coś fantastycznego i niezwykłego. Pan myśli paradoksami, a to dość rzadkie w dzisiejszych czasach...

Witold nie zdążył nic odpowiedzieć, gdyż rozległo się pukanie do drzwi. Stała w nich miłośniczka książek Joanne K. Rowling.

– Co się stało, moje dziecko? – zapytała ją pani Tekla.

– Alinka zakręciła w palcach swą różdżkę i niezbyt pewnie powiedziała: – Ja do pani Mili...

– Słucham. – Pani sołtys z wysiłkiem oderwała się od nowych perfum.

– Pan Albert pyta, czy nie mogłaby pani wrócić do szkoły, bo przyszły nowe książki do biblioteki i trzeba tam pokwitować...

– Dobrze, już idę. – Milla pośpiesznie włożyła płaszcz. Nagle o czymś sobie przypomniała. – Miałam pana jeszcze zaprowadzić do księdza...

– Aha, narada wojenna – uśmiechnęła się pani Tekla. – Zaraz wyślę Alinkę, żeby w drodze powrotnej do szkoły wstąpiła do Witalisa i zaprosiła go tutaj.

Na wieść o „drodze powrotnej” dziewczynka westchnęła. Miała nadzieję, że będzie mogła tu zostać, pobawić się w czarodzieja i pomóc pani Tekli.

– Świetnie. Alina, zbieraj się, pójdziemy kawałek razem. – Milla popchnęła rozżaloną Hermionę do drzwi.

– Zaczekaj, Milla – powstrzymała ją pani Tekla. – Weź sobie nowe perfumy. – Zapakowała jej małą buteleczkę w zieloną bibułę. – A ty, Alina, przyjdź po szkole, pomożesz mi...

Dziewczynka aż podskoczyła z radości. – Naprawdę? Mogę?

– Tak, tak – ale teraz już lećcie obie, bo ja muszę porozmawiać z panem Mossakowskim.

Milla uśmiechnęła się na pożegnanie i schowała pakunek do kieszeni.

– Kiedy mogę przyjść na zebranie kółka astronomicznego? – zażartował Witold.

– Zapraszamy jutro, bo dziś chyba ma pan w planach mecz – roześmiała się Milla. – Dziękuję za perfumy, Teklo.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, pani Tyczyńska wyciągnęła z szuflady olbrzymiego, zavalonego roślinami i aptekarskimi przyborami stołu paczkę papierosów i poczęstowała nimi Witolda. Przyjął z wdzięcznością.

– Tego mi było trzeba – stwierdziła, stawiając czajnik na płycie pieca. – Napije się pan kawy? Nie majak dobra kawa i dymek. Milla nie znosi papierosów, więc staram się przy niej nie palić...

Witold popatrzył na starszą panią z sympatią. – Dobrze wiedzieć! Pierwszego dnia zaskoczyła mnie przed domem z papierosem, ale nic nie powiedziała...

– Ona w ogóle mało mówi... Ale nie o tym mamy rozmawiać... Czy postanowił pan coś w sprawie tego domu i kaplicy?

– Tak. Myślę, że wszystko powinno zostać tak, jak jest. Pojadę do miasta i sporządzę akt notarialny...

– Jeżeli chodzi o mnie, nie musi się pan fatygować. Liczy się tylko to, że pozwala mi pan tu

zostać... – Starsza pani roześmiała się szczerze i owinęła się wzorzystym szalem, który jeszcze bardziej nadawał jej wygląd sympatycznej czarownicy.

Witoldowi zrobiło się głupio.

– Nie myślała chyba pani...

Była dziedziczka zaciągnęła się papierosem i powiedziała z uśmiechem: – No, szczerze mówiąc, nie myślałam. Od początku wydawał się pan nader rozgarnięty jak na polskiego dyplomate...

– Ma pani niezbyt dobre zdanie o polskiej dyplomacji... – obruszył się lekko Witold.

– Drogi chłopcze, ja mam ponad 80 lat i pamiętam dyplomację sprzed wojny – adiutant marszałka Piłsudskiego tłumaczył Prousta, to byli ludzie o szerokich horyzontach, ciekawi życia kulturalnego, poezji, sztuki. Teraz każdy siedzi w swoim biurze w drapaczu chmur, czyta jedynie druki urzędowe, a relaksuje się przy filmie sensacyjnym...

– Ja nie – cicho powiedział Witold, wpatrując się w okno domku, za którym właśnie zaczęła się wiosenna burza.

– I dlatego kupił pan Idę – stwierdziła, przyglądając mu się – jak zauważył – z dużą sympatią. – Ma pan dość takiego życia i marzy pan o wielkiej ucieczce. Jak wszyscy tutaj.

– Pani też? – zapytał trochę rozdrażniony jej bezceremonialnością.

– Ja także. Skończyłam farmację w Wiedniu, tuż przed wojną. Pracowałam później w fabryce perfum w Prowansji. Jak pan widzi, znudziło mi się i postanowiłam wrócić do Polski.

Widząc jego minę, roześmiała się. – Niech pan wybaczy starej kobiecie, która mogłaby być pańską babcią, tę przenikliwość. Gołym okiem widać, że ma pan dosyć tej pracy. Swoją drogą powinien pan pić napar z ogórecznika i tymianku – to uspokaja i oczyszcza nerwy. Dam panu trochę.

Witold strzepnął swego papierosa do ozdobnej, kryształowej popielniczki. – Rzeczywiście jestem trochę zmęczony, ale myślę, że to przejdzie... – powiedział niezbyt szczerze, bo już od pewnego czasu praca, która do tej pory była całym jego życiem i jedyną satysfakcją, zaczęła mu się wydawać denerwująca. Co gorsza, nie mógł się uporać z tym wrażeniem, coraz silniejszym każdego dnia.

– Dobrze pan zrobił, przyjeżdżając tutaj. Ida to doskonale miejsce, żeby wszystko przemyśleć... – powiedziała tymczasem pani Tekla, patrząc na niego przyjaźnie.

Drzwi otworzyły się bez pukania i pojawił się w nich brodaty mężczyzna lat około 40, o budzącej zdumienie aparycji. Miał – jako się rzekło – czarną kędzierzawą brodę, czarne długie włosy, był niski i krępy, i nieustannie się uśmiechał. Tryskał wręcz pogodą ducha i wesołością. Otrzeptał buty z błota i deszczu, wstrząsnął grzywą i od razu wkroczył do kuchni, rozejrzał się bacznie, a gdy zobaczył kawę na stole, przysiadł się bez ociągania.

– O, to pan pogardził moją gością – strofował przyjaź – nie, wyciągając rękę do Witolda. – Jestem Witalis Spaski.

– Przywódca duchowy tej niesfornej trzody – dodała pani Tekla.

– Nie pogardziłem noclegiem, tylko chciałem od razu zobaczyć swój dom, a że nadawał się do zamieszkania... – tłumaczył się Mossakowski.

Witalis roześmiał się tubalnie. – Żartuję przecież. Milka powiedziała, że postanowił pan zostawić kaplicę do użytku wiernych?

– Tak – potwierdził Witold. – Mówiłem właśnie pani Tyczyńskiej, że jestem gotów zrobić to notarialnie...

Ksiądz spojrział niepewnie na byłą dziedziczkę. – Czy to niezbędnie konieczne? Zupełnie się na tym nie znam...

Pani Tekla podała kawę. – Myślę, że pan Mossakowski mógłby przepisać kościół na własność spółdzielni. Mielibyście wtedy prostszą sprawę z finansowaniem. Zresztą to pan Witold jest prawnikiem, nawet doktorem prawa.

– Ale międzynarodowego – machinalnie sprostował Witold, którego myśli skupiły się zupełnie na czymś innym. – A ta spółdzielnia, co to takiego?

– Spółdzielnia Wiejska Ida. – Witalis wsypał do filiżanki cztery łyżeczki cukru i szykował się do dodania kolejnych, gdy pani Tekla złapała go za rękę.

– Słuchaj, pasterzu, ja ci nie żałuję, ale Iwana mówiła mi o twoich kłopotach ze zdrowiem.

Witalis z westchnieniem zrezygnował z nadmiaru słodkości i ciągnął dalej: – To Milka nie opowiadała panu o spółdzielni?

Witold pokręcił przecząco głową.

– Jak Mila przyjechała tu pięć lat temu, to już było z nami niezbyt dobrze. Pan wie, po PGR zostało tylko wspomnienie, ludzie bez pracy, żadnych perspektyw... *Opowieści galicyjskie* Stasiuka w pełnym rozkwicie... I wtedy Mila wpadła na pomysł, że nasze wyroby ludowe – a są to piękne rzeczy, hafty i koronki – można by sprzedawać do Niemiec. Myśmy wcale w to nie wierzyli, ale ona wzięła trochę koronek od mojej żony i pani Kowalowej i pojechała do tego Hamburga. Ona ma tam jakąś przyjaciółkę czy krewną... I z tą koleżanką obeszły wszystkie wytwórnie sukien ślubnych w Hamburgu i okolicy. Mila namówiła ich, żeby zamiast sztucznych koronek dawali w tych sukniach prawdziwe... No, jednym słowem sprzedała wszystko, co miała, i nabrała zamówień na następne. Baby całą zimę robiły...

– I teraz całe północne Niemcy sprowadzają nasze koronki i hafty – dodała pani Tekla. – Suknie ślubne z koronkami z Idy są uważane za niezwykle eleganckie. No i są bardzo drogie. A spółdzielnia działa wspaniale. Mila i ksiądz stanowią zarząd tego przedsięwzięcia. Pieniądze rozdzielają pomiędzy producentki, a nadwyżka idzie na szkołę i kościół.

– Dzięki spółdzielni mamy własną szkołę podstawową i nauczycieli, dzieci nie muszą dojeżdżać, wyremontowaliśmy też kaplicę we dworze... Milka myśli o sprowadzeniu tu lekarza... Przydałyby się też sklep i poczta... – wyliczał ksiądz, popijając kawę.

– To zupełnie fantastyczne – pokręcił głową Witold.

– To Mila jest fantastyczna – powiedziała pani Tekla, krzątając się wokół kredensu, z którego wyciągnęła owsiane ciastka. – Pan nie zdaje sobie sprawy, jak] tu było kiedyś – zupełnie

marazm i bieda aż piszczy. \ Teraz, choć nie jest bogato, ludzie mają więcej optymizmu, jaśniej patrzą w przyszłość... Dzięki jednemu pomysłowi Mili...

– Pani Mili jest ekonomistką z wykształcenia? – zainteresował się Witold.

– Skąd – roześmiał się Witalis. – Jest tak jak pan prawnikiem, nie mówiła tego panu?

– Może nie było okazji – stwierdziła pani Tekla.

– Najprawdopodobniej – mruknął Witold, choć było mu jakoś nieprzyjemnie.

– Jest pan zadowolony z pani Kowalowej? – zmienił temat ksiądz, tęsknie oglądając się za cukiernicą, którą pani Tekla przezornie zdjęła ze stołu.

– Bardzo! To zresztą dość oryginalna osoba...

Tym razem roześmiała się pani Tekla. – Wszyscy tu są oryginalni... Nie wiem, jak to się stało, ale mamy tu prawdziwe zbiorowisko dziwaków... To się chyba zaczęło od mojego ojca... Niestety, on już dawno nie żyje, ale był z niego niesamowity ekscentryk... To zresztą dobrze widać, po wyglądzie domu, budowanego według jego projektu i bezcennych wskazówek...

Witold uśmiechnął się na wspomnienie swej obecnej siedziby.

– Ten dom ma zresztą liczne tajemnice – ciągnęła była dziedziczka. – Ojciec budował go według jakiegoś pomysłu, którego nie chciał nikomu zdradzić... W każdym razie, zapewniam pana, że w tym szaleństwie była jakaś metoda, tylko niestety nie wiem jaka. Może pan się dowie?

– Zagadka? – zainteresował się, poprawiając swe druciane okulary, co robił zawsze, gdy jakiś temat mocno go wciągnął. Tak się składało, że uwielbiał tajemnice i był specjalistą od spiskowych teorii dziejów. Nie żeby wierzył, że Ziemia jest płaska (lub że jest stożkiem, jak dowodził w swej książce *Karafka La Fontaine'a* Melchior Wańkowicz), ale zawsze wydawało mu się, że odczuwa wpływ jakichś „nieznanych zwierchników”.

– Może to lepsze słowo: zagadka – zamyśliła się tymczasem była dziedziczka. – Ojciec był mediewistą z wykształcenia, wyjeżdżał do Londynu, Paryża, spotykał się z dziwnymi osobami. Rozumie pan – naukowcami o wyglądzie diabolicznym, brody, siwe długie włosy i tak dalej. Gromadził stare księgi, ale niestety do naszych czasów dotrwały tylko bezwartościowe szpargały. Podejrzewam, że był czynnym masonem albo kimś w tym stylu. Pewnie pan nie wie, ale przed wojną działała tu loża „Złota Róża”, czy jakoś tak... Na podłodze w gabinecie ojca była nawet niezwykła mozaika, o ciekawym rodowodzie i niejasnym znaczeniu...

– To ten pokój nad loggią? – zainteresował się Witold. Wszedł do niego rano i zwrócił uwagę na niezwykły rysunek na podłodze. Był mocno zniszczony, ale błękitne i białe marmurowe kostki wyraźnie układały się w kształt labiryntu.

– Zauważyłem ten labirynt – powiedział, z wdzięcznością przyjmując kolejną filiżankę kawy, którą poczęstowała go pani Tekla. – Nigdy takiego nie widziałem, bardzo ciekawy układ.

– To labirynt z Chartres, zwany drogą jerozolimską, nawet zostały zachowane kolory oryginalnej mozaiki: białe i niebieskie – wyjaśniła. – Ale nie rozumiem, w jakim celu znalazł się w naszym domu, obawiam się, że to – jak by powiedział poeta Rimbaud – „historia jednego z szaleństw” mego ojca.

– Niech pan bada zagadki tego pałacu – włączył się nieoczekiwanie ojciec Witalis. – To może być strzał w dziesiątkę! Gdyby w Idzie rozwinęła się jakaś turystyka, pani Kowalowa mogłaby prowadzić restaurację... – duchowny najwyraźniej nie potrafił oderwać myśli od kulinarnych talentów gospodyni. – Jak ona gotuje! A jakie ciasta piecze! Kruche, słodkie...

– Tutaj cię mam! – roześmiała się pani Tekla. – Tobie tylko słodczyce w głowie, jak małemu dziecku. Powinieneś pić więcej naparów lipowych i z macierzanki. Przydałaby się też *kava*...

– Oj, *kawa* by się przydała – podchwycił ksiądz. – Zwłaszcza z cukrem i śmietanką...

Dawna dziedziczka machnęła ręką. – Chodziło mi o tę roślinę południowoamerykańską, ale niech tam... Znaj moje litościwe serce... – i nałala mu jeszcze jedną filiżankę, jak przedtem żałując cukru.

Witoldowi nie chciało się wychodzić z tego sympatycznego laboratorium czarownicy. Ksiądz jednak, wypiwszy kolejną kawę, zaczął się zbierać. Nie wypadało więc przedłużać wizyty.

– Niech pan zaczeka! – zatrzymała go pani Tekla, wręczając jakiś pakunek. – To pańskie zioła. Proszę nie zapominać o starej kobiecie i odwiedzić mnie kiedyś. Porozmawiamy sobie po francusku, bo ten niegodziwiec Albert Lipski nigdy nie ma dla mnie czasu...

– Bardzo chętnie – uśmiechnął się Witold. – Właśnie się zastanawiałem, jak tu się do pani wprosić...

Ksiądz Witalis machnął ręką. – Jeszcze i nas musi pan odwiedzić! Najlepiej w niedzielę po kościele, wszyscy się do nas wtedy schodzą na obiad... Nie ma pan pojęcia, jak jest wesoło!

Witold nie miał najmniejszej wątpliwości, że właśnie tak jest.

Nad szkołą, po drugiej stronie biblioteki, Witold odnalazł drzwi ozdobione wizytówką „Albert Lipski, Wojciech Tracz – nauczyciele”. Zapukał. Drzwi otwarł mu Albert.

– Witam ministra! Telewizor marki Rubin już grzeje swe lampy, a Wojtek nalewa piwo! – powiedział wesoło, gestem zapraszając do środka.

– Wielkie dzięki. – Witold z ciekawością rozejrzał się po mieszkanku. Była to prawdziwa klitka na strychu. Składała się z małego saloniku, kuchni i dwóch niewielkich pokoiów urządzonych w stylu rustykalnym.

Witold z uznaniem pomyślał o dobrym smaku gospodarzy, który sprawiał, że mikroskopijne pomieszczenia wyglądały jak z najlepszego magazynu wnętrzarskiego. Białe ściany udekorowane gustownie ludowymi rzeźbami i innymi wyrobami rzemiosła, proste, ale pełne uroku stare wiejskie meble, z fantazją przerobione w najnowszym designerskim stylu. Tak. Tę siedzibę z powodzeniem mogliby pokazywać w „D jak dom” lub innej gazecie. Niebagatelne znaczenie miał też widok rozpościerający się z ogromnego okna w salonie – na przepiękne łąki, teraz pokryte pierwszymi wiosennymi kwiatami.

– Fajnie, prawda? – stwierdził Albert. – Wszystko jest, choć miejsca mało. Telewizor – a był to naprawdę rubin we własnej osobie – zaczął grać hymn Ligi Mistrzów.

– Wojtek – wrzasnął Albert w stronę kuchni. – Gościa mamy, mecz się zaczyna!

Z kuchni wyłonił się sympatyczny krępy blondyn, uczący matematyki.

– Witam – wyciągnął rękę do Witolda. – Zje pan z nami kolację?

– Bardzo chętnie. Skąd panowie wzięliście ten zabytek? – wskazał na telewizor. – Czuję się prawie jak na wczasach w Bukowinie – tam w ośrodku mieli jednego rubina i to była atrakcja na skalę światową – oczywiście we wczesnych latach 80.

– Oj, prawda – przytaknął Wojtek. – Rany Julek, ależ te ruskie telewizory się często paliły! To samo lodówki!

– Lodówki się wcale nie paliły – zaprotestował Albert.

– A pingwiny? – nie ustępował matematyk, nakrywając jednocześnie do stołu. Witold zauważył, że sportowe menu wcale nie było ubogie i bynajmniej nie ograniczało się do chipsów i piwa z puszki.

– Pingwiny nie były ruskie – upierał się Albert.

– A czyje niby? Cały sprzęt był ruski. Nawet pralki Frania miały ruskie części – nie rezygnował Wojtek, wnosząc różne rodzaje tapenady i grzanki, bo – jak wyjaśnił Mossakowskiemu – był entuzjastą kuchni śródziemnomorskiej i widzem wszelakich programów kulinarnych, z których czerpał inspiracje.

Albert nie miał jednak zamiaru rezygnować ze sprzeczki i ciągnął dalej, gestykulując: – Oto spiskowa teoria dziejów – wszystko na świecie zbudowane jest z ruskich podzespołów.

Witold umościł się wygodnie na kanapie. Czuł się tutaj lepiej niż w domu. Na poduszce obok siedział czarny kot i przyglądał mu się uważnie. Mossakowski dałby głowę, że zobaczył jakby cień uśmiechu na jego pyszczku.

– Dziwne stworzenie – powiedział do Alberta, który właśnie sadowił się w fotelu.

– Dlaczego? – zdziwił się ten, nalewając sobie duży kieliszek wina i częstując jednocześnie Witolda.

– Uśmiecha się – jak ten kot z Cheshire... – wyjaśnił prawnik, zdając sobie sprawę z tego, jak głupio to brzmi.

– No tak – stwierdził Wojtek. – Uśmiecha się czasami... Ale to nie jest kot Lewisa Carrolla, to raczej kot królowej Beruthiel, znanej z powieści Tolkiena – sprytny mały szpieg, taka wręcz „kula szpiegula”, wszystko widzi, o wszystkim wie – powiedział z rozczeniem, głaszcząc kotkę. – Jaki wynik? – odwrócił się do Alberta.

– Zero zero – z politowaniem powiedział Lipski. – Jest druga minuta meczu...

– No i co z tego? W takim meczu wszystko się może zdarzyć... – wyjaśnił pogodnie matematyk, rozdając talerze z sałatą. – I ponieważ Manchester United gra z Realem Madryt, proszę o bezwzględny spokój, to jest epokowe wydarzenie!

– Tak, biorąc pod uwagę zachowanie kibiców na trybunach, jest to wydarzenie co najmniej z epoki trzeciorzędu, może nawet górnego triasu – prychnął polonista.

– Myślałby kto, że nie lubisz, jak się biją na stadionie – droczył się Wojtek, wygodnie

rozsiając się na kanapie.

Witold nie potrafił skupić się na meczu – po pierwsze, nie miał ochoty na oglądanie piłki, a po drugie, chciał porozmawiać. Jak wiadomo, wszystko ma swój kres, więc i spotkanie na szczycie dobiegło końca, a nieco zgnębiony wynikiem Wojtek poszedł do kuchni po kolejną porcję zakąsek.

– Tak się zastanawialiśmy – powiedział nieoczekiwanie Albert – co pana tu przyniosło? Znudziły się panu afery na najwyższych szczeblach władzy? A może sam się pan wdał w jakąś brudną machinację i musiał uciekać? No co? – dodał, widząc jak Wojtek daje mu znaki z kuchni.

– Sam byłeś ciekawy, nie?

– Niech mu pan wybaczy – Wojtek pospieszył z wyjaśnieniami. – Ta wieś go po prostu dobija – ani skandalu, ani ciekawej plotki. Jest spragniony sensacji...

– Wcale nie! – zaprotestował Lipski. – I nie zalewaj, że ciebie nie interesuje, skąd w tej dziurze wziął się prawdziwy minister...

Witold ponownie westchnął ciężko. – Panowie... Czy moglibyśmy zrezygnować z „ministra” i mówić sobie po imieniu... Bardzo proszę...

– Zgoda. Minister mi się już znudził, zwłaszcza że on się wcale o to nie obraża... – powiedział Albert do Wojtka, który milcząco skinął głową.

Nalali sobie jeszcze wina i wzniesli toast.

– Teraz prosimy o zdradzenie kulisów sensacyjnej afery, która sprowadziła cię do naszej wioski – domagał się nieustępliwie Albert. – Wybacz, stary, ale nie chce mi się wierzyć, że ktoś z taką posadą i pozycją mógłby chcieć zaszyć się na końcu świata...

– Dlaczego nie – zaprotestował Wojtek. – To akurat jak najbardziej uzasadnione psychologicznie... Ludzie w średnim wieku – tu wznosił kieliszek w kierunku Mossakowskiego – przestają odczuwać potrzebę rywalizacji, a zaczyna im zależeć na wartościach bardziej duchowych...

– Kiedyś przeczytałem – wtrącił się Witold – że z wiekiem spada zapotrzebowanie na zysk, a rośnie na święty spokój...

Roześmiali się, a matematyk pokręcił przecząco głową. – Nie przeczytałeś tego, to kwestia z jednego starego filmu...

– W każdym razie, podoba mi się tu – przyznał Mossakowski. – Nigdy nie widziałem tak pięknej okolicy. I nie spotkałem tak ciekawych ludzi – uklonił się w kierunku swoich rozmówców.

– No ba – przytaknął z entuzjazmem Albert. – I jeszcze wszystkich dobrze nie poznałeś! Nasz pop na przykład pisze książkę o Prasłowianach. To jest po prostu numer nie z tej ziemi! Ma absolutnego fioła na tym punkcie, do tego stopnia, co że co roku obchodzimy święto równonocy i nawet w zimie mamy jakieś pogańskie zabawy, podczas których ciąga nas z pochodniami po mrozie...

– Pisze tę książkę od dziesięciu lat z okładem – dodał matematyk. – Wiesz, jak w tym

dowcipie z brodą: „Co robił Hitler w 1942 roku? Pisał rozprawę *Dziesięć lat wojny błyskawicznej*”. To już jest co najmniej dwudziesta wersja, nigdy nie będzie zadowolony z efektu...

– Swoją drogą nie trzeba szukać tak daleko, czyli u popa, Wojtek też ma ciekawe hobby – zareklamował przyjaciela Albert.

Witolda bardzo zainteresowało, czym nauczyciele umilają sobie długie jesienne wieczory, gdy nie ma meczu w telewizji, a deszcze uniemożliwiają spacer. Lipski chętnie to objaśnił. Otóż Wojtek – jak każdy umysł ścisły – pasjonował się zagadkami logicznymi. W jego przypadku były to pasjansy, do których podchodził w sposób naukowy. Witold nie rozumiał, jak banalną rozrywkę wymyśloną dla zabicia czasu można traktować poważnie, i natychmiast zapytał o to.

Matematyk rozpromienił się i natychmiast dosiadł swego konika.

– Weźmy historię pasjansów – wyjaśniał. – Był sobie legendarny gracz i hazardzista kawaler de Merę, który żył w XVII wieku. Ponieważ on głównie grał w kości, doszedł do wniosku, że w losowaniu kostek nie wszystko zależy od przypadku, rzutami musi rządzić jakaś reguła... Podzielił się tym odkryciem ze słynnym Blaise'em Pascalem, który wraz z Fermatem opracował założenia rachunku prawdopodobieństwa... Jest nawet taki pasjans nazywany „Trójkątem Pascala”, właśnie od nazwiska tego słynnego matematyka...

– Hazard ojcem matematyki... – wtrącił się zgorszony Albert, który już wcześniej dał się poznać jako przeciwnik, wszelkich gier karcianych. Dowodził przy tym z przekonaniem, że pasjansy są głupie i nudne, a jedynym praktycznym zastosowaniem kart jest według niego wróżbiarstwo.

Witold popatrzył na niego z niedowierzaniem. Polonista, człowiek najwyraźniej gwałtowny i porywczy, w żaden sposób nie wyglądał na wielbiciela magii i czarnoksiężstwa. Trudno było sobie wyobrazić, że naprawdę wierzył we wróżby. Jak się okazało, stosunek Alberta do przepowiedni karcianych był cyniczny i czysto merkantylny. Uważał on po prostu, że jest to świetny interes. – Cokolwiek byś powiedział – wyjaśniał zdumionemu Witoldowi – ciemny lud to kupi. Klient wróżki jest spragniony pociechy duchowej, daje stówkę i otrzymuje to, czego pragnie.

– Pociechę duchową może otrzymać w kościele – wtrącił się Wojtek. – I to za niższą cenę.

– Moim zdaniem, tania pociecha duchowa, a zwłaszcza taka za „co łaska”, dla wielu jest nic niewarta – dowodził polonista. – Taki wróż, moi drodzy, to teraz jest prawdziwą instytucją, znalazłem kiedyś w klubokawiarni, którą Miła chce przerobić na ośrodek zdrowia, stare numery takiego czasopisma dla radiestetów „Wahadełko Polskie” i tam wyczytałem, że ten zawód został oficjalnie uznany przez państwo! Czarodziej może teraz fakturę VAT wystawić, co jest bardzo krzepiące, bo ja osobiście wolę opodatkowaną poradę od takiej nielegalnej... No i jakie niskie nakłady własne – kot, kula z kryształu i talia kart z kiosku!

– Widzę, że dobrze to przemyślałeś – rzucił Wojtek. – I czujesz powołanie do tego typu działalności. Powinno się jej poświęcić, zwłaszcza że masz już kota, więc inwestujesz

znacznie mniej.

– Nie – stwierdził polonista, kręcąc głową. – Do wróża faceta nikt nie przyjdzie! To musi być baba, w dodatku stara, gruba i z kurczakami na nosie...

– I tu się mylisz – zaprotestował Wojtek, a Witold śmiał się serdecznie z tej wymiany zdań. – Najślawniejszym francuskim tarocistą był niejaki Etteilla, z zawodu perukarz, który w XVIII wieku ustalił znaczenie kolorów w kartach...

– Cóż za błyskotliwy awans społeczny! – ironizował Albert. – Pewnie rano wypłatał tupeciki, a wieczorem stawiał kabałę, dzięki czemu osiągał dubeltowe zyski. Uważasz, że ja też tak bym mógł: rano zrobię w klasie wykład na temat Łokietka, a wieczorem przepowiem matce Piotrusia Słobankiewicza, że jej syn dostanie dwójkę z dyktanda!

Wojtek wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że uważa dyskusję za zakończoną. Naturalną kolejną rzeczą obaj nauczyciele znowu zainteresowali się Witoldem i jego inwestycją w zrujnowany pałac. Mossakowski chętnie im opowiedział, co ma zamiar zrobić, by doprowadzić dwór do dawnej świetności. Zaplanował nie tylko remont wszystkich pomieszczeń oraz adaptację poddasza, ale też renowację niezwykłego parku. Ogród pałacowy obejmował niegdyś kilkanaście hektarów – było tu nie tylko arboretum z aleją grabową, ale też kilka szklarni – rosarium i palmiarnia, które nie przetrwały czasów PRL-u. W trakcie parcelacji park znacznie okrojono, pozostawiając niewielki skrawek, sięgający do stawu i położonego nieco dalej zagajnika. Wszystko znajdowało się w stanie najwyższego zaniedbania, zwłaszcza staw, który był obecnie płytką i mulistą sadzawką, zamieszkiwaną przez żaby.

Albert z Wojtkiem pokiwali ze zrozumieniem głowami. Mieli świadomość, ile pracy (i żywej gotówki) wymaga taki skomplikowany remont. Szczególnie Lipski wykazywał szczere współczucie. Uważał, że jedynym problemem, jaki będzie miał Witold, może być „kłopot z kasą”. Jak się kupuje taką wielką i zaniedbaną posiadłość – dowodził, pożerając przygotowane przez Wojtkę zakąski – to bardzo szybko pojawia się dno. – Dno finansowe – wyjaśnił jeszcze przystępniej, gdyby przez przypadek nie zrozumieli jego lotnej myśli. Wyraźnie był zatroskany stanem majątkowym Witolda, więc ten pospieszył z zapewnieniami, że jakoś sobie poradzi i w najbliższym czasie nie stanie się zrujnowanym klientem Caritasu. Nie będzie też musiał czerpać środków potrzebnych na dalszy remont pałacu z przemytu ani uprawy nielegalnych ziół, co zasugerował mu zatroskany Albert jako genialną receptę na szybkie wzbogacenie się.

Kolejny seans piłkarski zaplanowany był już w gronie poszerzonym o panią sołtys. Witold przyszedł spóźniony, gdy całe towarzystwo zawzięcie dyskutowało o szansach poszczególnych zespołów na awans. Wyraźnie zauważalna była różnica frakcyjna: Albert popierał drużyny włoskie, Wojtek już wcześniej dał się poznać jako zapalony kibic Manchesteru United, Mila zaś wolała futbol hiszpański.

– A ty co na to powiesz? – zapytał Witolda Albert.

– Ajax Amsterdam – oświadczył Mossakowski, który od dawna był kibicem tego zespołu.

– Nie zalewaj! Szans nie mają – stwierdził Wojtek, donosząc swoje słynne przekąski śródziemnomorskie i piwo.

– Ten ćwierćfinał to szczyt ich aspiracji.

– Zobaczymy – prawnik wzruszył ramionami i, ku zdumieniu wszystkich, wyciągnął z torby koszulkę w biało-czerwonych barwach oraz chorągiewkę z charakterystycznym wizerunkiem bohatera *Iliady*, Ajaksa Wielkiego.

– No, ja jestem przygotowany, a wy? – zapytał retorycznie, bo cała trójka pograżyła się we wstydlwym milczeniu. Nikt nie miał nie tylko koszulki, ale nawet trąby kibicowy, charakterystycznego elementu każdego szanującego się meczu. Tymczasem kotka nauczycieli przyprowadziła swoje potomstwo, by Witold mógł ocenić jego urodę.

– O, przyszły koty królowej Beruthiel – roześmiał się, pomagając całej rodzinie wgramolić się na kanapę.

– A propos królowej – przypomniał sobie Albert. – Czy nasza lokalna Hermiona Granger była już u ciebie ze swoją tajną misją?

Witold pokręcił głową. – A miała być?

– Owszem. Chce żebyś jej poprawił list do jej idolki, Joannę K. Rowling.

– Ja jej mogę poprawić – zadeklarował się Wojtek.

– Ciebie to ona się boi – wyjaśnił Albert. – Boją uczysz. Dziewczyna potrzebuje oka neutralnego i uważa, że minister jest tym okiem...

Witold westchnął głęboko. – Nie rozumiem tej mody... Za moich czasów czytało się inne książki...

– A jakie? – zainteresowała się dotąd milcząca Mila.

– No, wie pani: „Imię moje: Izmael” i tak dalej.

– „Lubię żeglować po zakazanych morzach i lądować u dzikich wybrzeży” – pokiwała ze zrozumieniem głową.

– „Dość już biadolenia. Wyruszamy na wieloryby”

– dodał Albert.

Witold uśmiechnął się. – Nie wiedziałem, że znajdę tu tak liczną reprezentację miłośników prozy morskiej.

– Zwłaszcza tak daleko od morza – roześmiała się Mila. – I od Nantucket – dodał Albert. – Wiecie co? Jak tak na nas tu patrzę, to mam wrażenie, że my wszyscy jesteśmy jak załoga statku, na który zaciągnął się Izmael ze swoim kumplem, półnagim dzikusiem Queequegiem...

– No, komplement to nie jest – uznał Witold. – Marynarze z „Pequoda” byli dość barbarzyńską zbieraniną, a nawet „demoniczną”, jak określił ją Izmael.

– Może też jesteśmy barbarzyńscy i „demoniczni” – zastanowiła się Mila. – I w związku z tym – zwróciła się do Witolda – myślę, że powinien mi pan mówić po imieniu.

– Bardzo chętnie – zgodził się zagadnięty. – Nic tak nie jednoczy na morzu, jak spoufalanie

się!

– Może już dosyć tych bruderszaftów – wtrącił się Wojtek. – Ja co prawda nie jestem jakoś specjalnie zainteresowany, ale grają Valencia i Inter. Nie podoba mi się wasza obojętność!

Przestali być obojętni. Mecz skończył się wygraną Włochów, wpędzając panią sołtys w skrajną rozpacz. Po serii skomplikowanych analiz futbolowych i zawziętych kłótni pomiędzy frakcjami angielską i włoską Witek i Mila opuścili telewizyjny klub piłkarski i ruszyli przez senną wioskę do domu. Ponieważ noc była bezksiężycowa, musieli zapalić latarki. To także mu się podobało – zawsze trzeba było pamiętać o podstawowym wyposażeniu: latarce, scyzoryku, sznurku, małym druciku i jeszcze kilku pożytecznych rzeczach, bez których na wsi trudno było przetrwać, taki mały system podtrzymywania życia.

– Niezła impreza – skomentował Witold, wdychając pełną piersią świeże wiosenne powietrze.

– To nasza jedyna rozrywka społeczna – roześmiała się Mila. – Co dwa tygodnie kłócimy się do upadłego. Poza tym jesteśmy – jak to mawiał Oskar Wilde – poważni na serio.

– Zauważyłem... Jakiej specjalności prawnikiem jesteś? – zapytał zniecierpliwiony, bo już od pewnego czasu się zastanawiał, skąd tu się wzięła i dlaczego zamieszkała w tej osadzie na końcu świata. Zawsze podejrzewał, że na odludziu osiedlają się tylko zbiegli przestępcy, outsiderzy lub wypaleni ministrowie, ale najwyraźniej młode prawniczki też.

– Prawo autorskie i pokrewne – powiedziała niechętnie i widać było, że nie zamierza ciągnąć dyskusji na ten temat, ale Witold był uparty.

– Dość rzadka specjalizacja...

– No i co z tego? Teraz jestem tu i robię coś innego – odpowiedziała z niecierpliwością, a Mossakowski przestraszył się, że mogłaby się obrazić.

– Jasne. Ja nic nie mówię – wycofał się szybko, widząc jej groźnie zmarszczone brwi.

– To nie mów – wzruszyła ramionami i pokruszyła w rękach patyczek, który przed chwilą podniosła z drogi.

– Nie złość się! – powiedział ugodowo. – Lepiej mi opowiedz coś o pani Tyczyńskiej.

– Chyba już wszystko wiesz... Produkuje perfumy metodą destylacji... – odpowiedziała niezbyt chętnie, najwyraźniej ciągle rozdrażniona tą indagacją.

– To są jakieś inne metody? – przerwał zaciekawiony Witold, licząc na to, że odwróci jej uwagę. „Swoją drogą – pomyślał – jacy ci mieszkańcy dziur zabitych dechami są wrażliwi, wystarczy lekko nadepnąć na odcisk i z miejsca obraza”. Rozbawiła go ta myśl, więc przyspieszył kroku i zaczął pogwizdywać radośnie. Mila popatrzyła na niego z ukosa, ale kontynuowała wywód o perfumiarstwie.

– Tekla ci to pewnie lepiej wyjaśni, ale są jeszcze metody zwane *enfleurage* oraz *expression*...

– Cudowne nazwy... – stwierdził wesolutko.

– Tak, ale z tego co wiem, w naszych warunkach dość trudne do przeprowadzenia –

wyjaśniała cierpliwie.

– Zwłaszcza *enfleurage* polega na wchłanianiu przez wieprzowy tłuszcz olejków eterycznych z kwiatów...

– Łe, przestań, to obrzydliwe! – zniesmaczył się, nawet nie próbując sobie tego wyobrazić. – A ja myślałem, że wytwarzanie perfum jest czynnością z gruntu romantyczną – stwierdził wyraźnie rozczarowany.

– Coś w tym gruncie na pewno jest – roześmiała się Miła. – Bo chyba nigdy nie wahałeś skoncentrowanego piżma. Śmierdzi nieboszczykiem w szczytowym okresie rozkładu...

– Boże wielki!!! Ty nie mówisz poważnie! – przeraził się, choć dosyć trudno mu było w to uwierzyć. Zawsze wydawało mu się – a urocze laboratorium pani Tekli potwierdzało to przekonanie – że składniki pachnideł mają nie tylko atrakcyjny zapach, ale i wygląd. Kwiaty, owoce, zioła i przyprawy – o żadnych smrodach po prostu nie mogło być mowy!

– Żeby Valencia nie wygrała już żadnego meczu, jeśli kłamię! – ciągnęła Miła. – Piżmo się bardzo mocno rozcieńcza i wtedy pachnie przyjemnie. W perfumiarstwie jest pełno takich pułapek.

– To chyba zostanę już przy prawie międzynarodowym, a myślałem, że spróbuję się przyuczyć pod kierunkiem pani Tekli do tej trudnej sztuki – powiedział z udawanym smutkiem. Nie myślał co prawda o tak radykalnej zmianie profesji, ale zauważył, że to miejsce działało na niego w dziwny sposób – budził się w nim duch wywrotowca i potrzeba odmiany.

Dochodzili już do domku Mili. Pani sołtys zadarła głowę w górę i oceniła układ gwiazd.

– Niezła widoczność. Chcesz zobaczyć Jowisza? Wczoraj mieliśmy fantastyczną obserwację, widać było szereg zaćmień jego księżyców.

– Naprawdę? – zdziwił się Witold. – Myślałem, że przez zwykły teleskop tego nie widać, za daleko...

– Mamy niebywale szczęście. W tym miesiącu Jowisza i jego satelity można zobaczyć nawet przez amatorski sprzęt. Widoczne są zaćmienia Callisto, Europy i Ganimedesa... Strasznie się cieszę, że dzieci mogą to obserwować...

– Niesamowite. Chętnie rzucę okiem, jeżeli oczywiście nie spadnę ze schodów na twoją wieżę. Mam nadzieję, że astronomia nie grozi śmiercią lub trwałym kalectwem...

Roześmiała się serdecznie, zapalając światło na schodkach, które rzeczywiście nie budziły zaufania – były wąskie, strome i z jednej strony lekko zapadnięte.

– Zrozumiałam ten delikatny przytyk. Zamiast docenić wysiłek dzieci, ty się wyśmiewasz.

– Wcale nie! – zaczął się z nią przekomarzać.

– Wcale tak – znowu zmarszczyła brwi, ale jej oczy się uśmiechały.

Wdrapali się na wieżyczkę. Mimo pokraccznego kształtu była wygodna, a nawet obszerna. Na ścianach wisiały wykresy, zdjęcia i mapy nieba. Górna część dachu rozsuwała się, umożliwiając pracę teleskopu. Przyrząd wyglądał bardzo profesjonalnie, choć trudno było go porównywać z jakimkolwiek podobnym urządzeniem znanym z kina lub telewizji. Był dość mały, choć szeroki

(„duża średnica jak na amatorski sprzęt” – z dumą powiedziała Mila). Pani sołtys dostroiła widoczność i Witold spojrzął przez okular. To było coś niezwykłego! I choć miał już \ okazję patrzeć przez teleskopy profesjonalne o gigantycznej mocy, ten widok ze strychu wiejskiego domku i zupełnie go zachwyił. Morze gwiazd i niezgłębiona przestrzeń. Przypomnił sobie wszystko, co czytał o „ciemnej materii” i innych wymiarach. Być może właśnie patrzy na to wszystko, nie zdając sobie sprawy, co właściwie widzi. Przyjrzał się Jowiszowi i jego satelitom zwanym księżycami galileuszowymi.

– Przepiękne – powiedział, odrywając się od okularu. Mila skinęła głową.

– Niedługo będziemy obserwować roje Lirydów, to jest dopiero coś! Musisz przyjść i to zobaczyć! Ja najbardziej lubię patrzeć na meteoryty! W tym roku szykujemy się także na słynną kometę Enckego oraz dwa zaćmienia: Słońca i Księżyca... Niestety, ale na dziś koniec z wędrówkami po niebie. Jutro muszę wcześniej wstać i jechać do Brzózek.

– Po co? – zainteresował się Witold, gdy schodzili ze schodów.

– Mam się spotkać ze Straszny Dziauniem – powiedziała niezbyt chętnie i wypuściła go na ganek. Czekał tam kot Galileo, który od razu zaczął ocierać im się o nogi.

– Dzięki za tak wyczerpujące wyjaśnienia! – udawał urażonego, a ona machnęła ręką.

– Nie obrażaj się. Straszny Dziauniem nazywamy przewodniczącego rady gminy, niejakiego Czesława Kręcichwosta.

Witold nie potrafił stłumić śmiechu, a Mila wyjaśniła mu, że to dziwaczne nazwisko znakomicie oddaje charakter wójta.

– Ze wszystkich sił stara się nam obrzydzić życie. Uważa, że jestem za młoda na sołtysa, no i w dodatku baba, a baby powinny garów i dzieci pilnować – jak wszyscy wiedzą. Spółdzielnia pod moim kierunkiem zbankrutuje, a ludzie zapłaczą. Oto filozofia Straszego Dziaunia w telegraficznym skrócie – powiedziała z niechęcią.

– Wiem, że dużo ryzykuję, mówiąc to, ale może trochę przesadzasz? – spytał przekornie.

– Tak? To wybierz się razem ze mną, a sam zobaczysz. Czterdziestokilkuletni facet mówi do mnie „córko” i przekazuje nauki w stylu: „po co wam dentysta we wsi? Mój ojciec zęby zjadł na robocie, to i dentysta nie był potrzebny” – wyjaśniła, śmiejąc się.

– A wiesz, chętnie pojedę! Poznać Kręcichwosta to prawdziwa przygoda intelektualna. Możemy wybrać się moim samochodem – zaproponował, a ona się ucieszyła.

– Dzięki, to miło z twojej strony. Pewnie chodzi ci o to, aby wypróbować swoją terenówkę na 40 kilometrach polnych, błotnych dróg, ale niech ci będzie. Jeśli możesz, przyjedź po mnie o 8 rano.

– OK. A więc do zobaczenia – pożegnał ją przy drzwiach. Kot odprowadził go aż do furki. „Może powinienem sobie sprawić takiego” – pomyślał. „Mógłby się nazywać na przykład Gunter Verheugen”. I roześmiał się, bo Mila powiedziała, że niemiecki minister przypomina jej sztokfisz.

Rada gminy mieściła się w pięknie wyremontowanym budynku, niespecjalnie licującym z ubogo wyglądającym otoczeniem. Wójt Kręcichwost rezydował w obszernym gabinecie i zatrudniał sekretarkę, dziewczyninę chudą i przestraszoną, której ciągle otwarte usta zdradzały zadziwienie życiem lub powiększony trzeci migdał.

Gminna władza przyjęła ich szybko. Mila zaprezentowała krótko Witolda, kładąc nacisk na jego funkcję rządową. Wójt (początkowo znudzony, a nawet zniecierpliwiony widokiem dziewczyny) rozpromienił się jak radziecki rubin w mieszkaniu Wojdca i Alberta.

– A, to pan kupił tę posiadłość ziemską i pałac! Bardzo mi miło powitać! – i zawezwał za pomocą interkomu przerażoną sekretarkę, by zlecić jej przygotowanie kawy dla trzech osób („mamy znakomity ekspres. Ciśnieniowy, proszę pana”).

Gdy usiedli, Witold miał wreszcie okazję przyjrzeć się władzy. Kręcichwost był krępy i opalony mimo wczesnej pory roku, a jego ciało spowijał granatowy garnitur z czasów, gdy właściciel był jakieś 20 kilo szczuplejszy. Mimo tej dysharmonii odzieżowej lokalna władza wyglądała na zadowoloną i pewną siebie. Wójt zwracał się przede wszystkim do Witolda – opowiadał o gminnych sukcesach i planach, starając się podkreślić swoją sprawczą rolę w doskonałym prosperowaniu spółdzielni Ida. Cały czas powtarzał, że trzeba „nauczyć się zdrowego myślenia”, i aluzyjnie dawał do zrozumienia, że kobiety nie bardzo nadają się do kierowania czymkolwiek, „chyba że wózkim dziecięcym”. Witold zrozumiał, co Mila miała na myśli, nazywając Kręcichwosta Straszny Dziaaduniem.

– Do rzeczy, panie wójtce – wkroczyła Mila. – Czy gmina zgadza się na ośrodek zdrowia, czy nie?

Wójt Kręcichwost westchnął ciężko. – No cóż, rada nie widzi nic zdroźnego w tej inicjatywie (ton głosu sugerował, że on osobiście jest zgoła odmiennego zdania), skoro sami zapłacicie pensje.

– A budynek? Możemy zaadaptować część dawnej klubokawiarni? – naciskała nieustępliwie, a Witold był pełen podziwu dla jej umiejętności negocjacyjnych. Najwyraźniej byle Kręcichwost nie był w stanie zbić jej z pantałyku.

Wójt ponownie wyemitował ciężkie westchnienie.

– Rada pozytywnie to zaopiniowała. Tu masz, córciu, dokument. Ale remont wykonacie na własny koszt.

Mila przejrzała papiery. – A więc gmina wydaje zgodę na adaptację i zatrudnienie dwóch lekarzy: internisty i stomatologa.

– Tak. I najlepiej, żeby to było małżeństwo, ale prawdziwe, nie takie jak ci dwaj...

Mila spiorunowała go wzrokiem. – Pan jak zwykle daje wiarę jakimś głupim plotkom. Nasi nauczyciele zostali zaakceptowani przez radę wsi i wszystkich mieszkańców. Nawet ksiądz...

– A taki mi ksiądz – stwierdził Kręcichwost. – Pop! Ksiądz z żoną! Świetny pomysł! Co to za kapłan, co nim baba rządzi... – skrzywił się z wyraźnym obrzydzeniem, które uświadomiło

Witoldowi, że wójt musiał mieć jakieś bolesne doświadczenia z kobietami: być może był obiektem przemocy domowej (przed oczami prawnika pojawiła się wizja, w której zażywna pani Kręcichwostowa goni swego męża, wymachując widłami) lub przeżył zawód miłosny. Możliwe też, że wójt był starym kawalerem, co tłumaczyłoby w pewnym sensie jego – jeżeli można to tak nazwać – daleko idącą rezerwę wobec kobiet.

– A pan nie ma żony, panie... Kręcichwoście? – zapytał więc z ciekawością Witold, starając się zachować powagę, gdy wypowiadał to nazwisko.

Tym razem to na niego wójt spojrział z niechęcią.

– Oczywiście, że mam babę, i mówię panu, że jest ona z piekła rodem!

– Wyrazy współczucia – powiedział Witold, choć wcale mu nie współczuł.

„A więc jednak diablica z widłami” – pomyślał z rozbawieniem. Fakt, że i okropnego wójta ktoś potrafił trzymać w ryzach, był naprawdę krzepiący. „Swoją drogą, chciałbym zobaczyć tę Ksantypę” – Mossakowski zatopił się w marzeniach. Pani wójtowa, której obraz pojawił się w jego wyobraźni, przypominała jedną z legendarnych niemieckich lekkoatletek z poprzedniej epoki, może nawet kulomiotkę Słupianek, której czarujący męski baryton ożywia każdą konferencję prasową, a wyhodowane na sterydach anabolicznych mięśnie budziły zrozumiąły podziw publiczności.

– To my już pójdziemy – wtrąciła się tymczasem Mila, bo atmosfera była naładowana elektrycznością. – Bardzo dziękujemy.

– O, nie tak prosto, moja panno! – powiedział stanowczo wójt. – Drugi raz się nie dam tak podejść. Wybrani przez was lekarze muszą zostać zaakceptowani w gminie.

Mila nie miała wyjścia i musiała się zgodzić, gdyż Kręcichwost, nastawiony bardzo bojowo, tylko czekał, żeby mieć pretekst do zmiany decyzji rady.

– No i co? Miałam rację z tym Straszny Dziauniem!

– powiedziała, gdy tylko wyszli na ulicę.

– Ukryć się nie da – stwierdził Witold, którego ta wizyta szczerze ubawiła.

– Za to ty mu się spodobałeś! – uznała, robiąc śmieszny minę.

– Szczerze wątpię, raczej nie nauczę się „zdrowo myśleć”, to znaczy w jego stylu – wzruszył ramionami.

Roześmiali się. – Ja muszę jeszcze wpaść do geodety – powiedziała Mila. – To nudne, więc pozwiedzaj sobie Brzózki Wielkie przez pół godziny.

Miasteczko było mało interesujące. Kwintesencja sennej, prowincjonalnej miejsciny. Po prostu stacja „Chandra Unynska, gdzieś w mordobijskim powiecie”, jakby powiedział Julian Tuwim. Wszystko tutaj było nieciekawe – brudny powybijany chodnik, obłożące z tynku domy, nawet drzewa wydawały się jakieś smutne. Mimo to w oknach nie brakowało podglądaczy, którzy czatowali na jakąś sensację. Brzózki miały dwie ulice i liczyły ze 300 dusz. Obok barokowej siedziby gminy, szkoły, piekarni i dwóch lub trzech sklepów mieściła się tu również księgarnia. Witold właśnie tam skierował swe kroki. W sklepie od progu wiało grozą. Nudząca

się sprzedawczyni wyszczerzyła w uśmiechu krzywe zęby, najwidoczniej klient był tu rzadko spotykanym dobrodziejstwem.

– Czym mogę służyć? – Ekspedientka poszerzyła uśmiech do maksimum, odsłaniając dziąsła.

– Hm... – mruknął Witold. – Czy ma pani może *Harry'ego Pottera*? – Nie miał zbyt wielkiej nadziei, gdyż księgarnia najwyraźniej specjalizowała się wyłącznie w podręcznikach szkolnych i arcydziełach typu *Kalendarz rolnika* oraz *Sto potraw z ziemiaka*.

– Ależ oczywiście. – Zęby sprzedawczyni zbliżyły się do Witolda w niepokojąco zawrotnym tempie. – A o którą część panu chodzi?

– O wszystkie.

Ekspedientka przestała się uśmiechać i zaniemówiła na chwilę. – Ale... ale pan wie, że to będzie kosztowało prawie 200 złotych?

– Wiem. I proszę o dwa takie komplety – powiedział stanowczo i zdecydowanie.

– A... a ma pan tyle pieniędzy? – zapytała nieśmiałym głosem i na wszelki wypadek mrugnęła sztucznymi rzęsami, co najwyraźniej miało mu osłodzić despekt podejrzenia o niewypłacalność.

Tym razem Witold zaniemówił. Ostatni raz takie pytanie zadano mu („a masz, chłopcze, tyle pieniędzy”) kiedy w wieku dziewięciu lat usiłował kupić wszystkie czekolady, które akurat rzucili do jego osiedlowego sklepu.

– 400 złotych? – upewnił się jeszcze, wyciągając pieniądze z portfela. – Myślę, że mam.

– To będzie razem 380 złotych – rozemocjonowała się sprzedawczyni, pakując książki w ozdobny papier i wkładając je do torby. – Pewnie chce pan fakturę?

– A po cóż mi ona? – zdziwił się bezbrzeżnie, odbierając elegancki pakunek.

– No, żeby odliczyć od podatku albo gdzieś ją przedłożyć... – tłumaczyła szybko, trzepocząc rzęsami.

– Nie, kupuję te książki dla siebie – powiedział stanowczo i opuścił sklep, zostawiając wniebowziętą ekspedientkę w stanie całkowitego osłupienia. Taki obrót jak dzisiaj miała zwykle w ciągu całego tygodnia albo dziesięciu dni. Przez chwilę zaświtała jej kusząca myśl, czy nie zamknąć już na dziś sklepu i nie pobiec na plotki do koleżanek, ale obowiązek zawodowy wziął górę. Została.

W samochodzie Witold odwinął pakunek. Zaczął przeglądać książki i dość szybko wciągnął się w lekturę. Rzeczywiście przygody małego czarodzieja miały w sobie to „coś”. Na pewno nie mogły się równać z przygodową powieścią o piratach, ale czytanie nie sprawiało przykrości.

– Czyś ty zgłupiał? – przywitała go serdecznie Mila, wracająca od geodety. – Myślałam, że ci się to nie podoba!

– Kupiłem to dla ciebie. To znaczy do biblioteki – wyjaśniał szybko, chowając książkę do papierowej torby.

– Poważnie? – zdumiała się Mila. – Dzieci oszaleją ze szczęścia! One uwielbiają te głodne

kawałki o czarodziejach. Alinka cię ozłoci!

– Dla niej kupiłem osobny zestaw – pokazał jej drugą paczkę. – Niech się dziecko cieszy.

– No wiesz! Ty to masz gest. Przecież to musiało kosztować kupę forsy. Pewnie cały nasz budżet biblioteczny – pokiwała głową z uznaniem.

– Mam nadzieję, że dużo mniej. Bo jeśli tak, to nie wiem, w jaki sposób starcza ci na podręczniki i lektury.

– A ty skąd o tym wiesz? – zapytała podejrzliwie, marszcząc brwi, jak zwykle, gdy rozmowa wkraczała na jakiś niewygodny dla niej temat.

– Alina mi powiedziała – wyjaśnił po prostu, bo już się nauczył, że z panią sołtys lepiej nie bawić się w żadne podchody.

– No tak. Hermiona Długi Jęzor! Szczerze mówiąc, nie starcza mi – mruknęła po chwili.

– To co robisz? – zdumiał się, bo doskonale wiedział, że zarówno budżet szkoły, jak i finanse przedsięwzięcia pt. „Spółdzielnia Wiejska Ida” nie są z gumy.

– Dokładam trochę ze swoich. Ale niedużo – dodała szybko.

– Niedużo? – Szczerze w to wątpił, biorąc pod uwagę przeciętne ceny książek.

– No dobra. Dużo. Ale nikomu ani słowa. Jakby się Albert z Wojtkiem dowiedzieli, to pewnie zrezygnowaliby z większości książek, a to nie byłoby dobrze.

Uspokoił ją, że nikomu nie zdradzi tej tajemnicy. Postanowił też wesprzeć finansowo skromny budżet biblioteki. Wyjechali na drogę z Brzózek.

– Masz dzisiaj lekcje? – zapytał po chwili, zręcznie meandrując pomiędzy dziurami w jezdni, które pojawiły się po zimie i jakoś do tej pory nie zostały załatane.

– O 13. A co? – spytała z zaciekawieniem, widocznie myśląc, że chciałby wziąć udział w kolejnej lekcji.

– Chciałbym odwiedzić panią Tyczyńską – wyjaśnił.

Już od paru dni miał zamiar wpaść do domku myśliwskiego i przyjrzeć się procesowi destylacji perfum, ale ciągle go coś zatrzymywało w pałacu. Remont szedł wprawdzie dość szybko, ale tempo wciąż nie było zadowalające. Co chwila pojawiały się nowe pułapki i przeszkody – brak materiałów i potrzebnych maszyn, zła pogoda.

Mimo to renowacja zabytkowej siedziby wciągnęła go bez reszty, całymi dniami uwijał się wśród robotników, a wieczorami pochłaniało go czytanie planów. Złapał się na tym, że uwielbia ten niekończący się proces budowlany, przeróbki, nowe pomysły i rozwiązania. To były dla niego logiczne łamigłówki, które musiał ułożyć w prawidłowy sposób. A gdy wieczorem wychodził na ganek popatrzeć na gwiazdy albo gdy rano na trawniku przed domem pojawiały się sarny – czuł, że naprawdę żyje. W takich chwilach był wdzięczny losowi i Markowi Wilczyńskiemu, że znalazł się właśnie tutaj, w tej krainie spokoju.

Podwiózł Milę do domu, a sam zawrócił w kierunku pałacu. Boczna droga odchodząca od alei grabów prowadziła do domku myśliwskiego. Witold obejrzał siedzibę pani Tekli krytycznym okiem i uznał, że i tutaj przydałby się remont. „Przynajmniej wymiana dachu”, pomyślał, pukając

do drzwi.

Była dziewczynka wyraźnie ożywiła się na jego widok. Zdjęła okulary i odłożyła na półkę trzymany w ręce moździerz. W jaskini czarownicy roznosił się upajający zapach ziół i kwiatów, a w alembiku coś bulgotało zachęcająco.

– A... wiedziałam, że pan wróci do mnie! Jak tam ogórecznik? – zapytała z troską, bacznie mu się przyglądając, aż zawstydził się pod tym oceniającym spojrzeniem.

– Dziękuję. Smak trochę dziwny, ale można się przyzwyczaić. – Szczerze powiedziawszy, wypił tylko dwie filiżanki niezwykłego naparu, ale musiał przyznać, że działał lepiej niż najbardziej pobudzająca herbata (czy też „z chińskich ziół ciągnione treści”, jak mawiał sam wieszcz Mickiewicz), bo poczuł po nim nagły przypływ entuzjazmu i optymizmu. Solemnie obiecał sobie, że wróci do tej kuracji, przewycięzając niechęć do smaku napoju, przypominającego nieco rozgotowaną słomę.

– Robię kawę, napije się pan? – zapytała.

– Chętnie. Byłem dziś z Miłą w Brzózkach – zagaił Witold, licząc, że pani Tyczyńska dorzuci kilka sensacyjnych historyjek o wójcie.

– Aha – powiedziała domyślnie starsza pani. – Wizyta u Straszego Dziadunia?

– To pani też go tak nazywa? – spytał z rozbawieniem, wspominając rozmowę w urzędzie.

– No cóż – powiedziała, nalewając kawę do pięknych porcelanowych filiżanek. – Sama jestem czymś w rodzaju Strasznej Babuni, ale przyzna pan, że nazwisko Kręcichwost jest dość nikczemne.

– Moim zdaniem doskonale komponuje się z osobą, która je nosi – stwierdził Witold, który naprawdę wierzył w magię nazwisk i przydomków.

Roześmiała się. – Cóż, w słabościach innych możemy odnaleźć swoją siłę. Wójt Kręcichwost ma do mieszkańców Idy mało cierpliwości.

– To też zauważyłem – przytaknął, popijając aromatyczny napój.

– Ale... ale – przypomniała sobie pani Tyczyńska. – Może pan to wie: ten Straszny Dziadunio to z Sienkiewicza czy Rodziwiczówny, bo obojga nie cierpię równie mocno, a Milki boję się zapytać?

– Nie wiem – odpowiedział ze wstydem, bo słabo znał literacką klasykę, poza marynistyczną.

– No widzi pan. Ja czytuję wyłącznie książki o perfumach, także beletrystykę.

– A jest taka? – zdziwił się, bo nie przypominał sobie podobnych pozycji.

– Miła mi mówiła, że pan jest człowiek małej wiary. Choćby *Pachnidło* Siiskinda. Ale moją ulubioną książką jest *Historia wielkości i upadku Cezara Birotteau* Balzaka.

– Bohater był wytwórcą perfum? – zaryzykował Witold.

Pani Tekla rozpromieniła się. – Właśnie! To najlepsza powieść Balzaka, którą napisał zaledwie w 17 dni! Legenda głosi, że zamówił u Guerlaina specjalnie skomponowane perfumy, by się dopingować ich zapachem podczas pisania!

– Fascynujące. Ma pani tę książkę? Chętnie bym przeczytał – powiedział, ponieważ doskonale rozumiał pasję starszej pani. On też czytał głównie o morzu i piratach. Raz tylko się mocno rozczarował: kupił książkę *Bezczesne Morze Sargassowe*, która okazała się nieudolną kontynuacją *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Bronte, czyli starała się naśladować wiktoriański romans. Była to dotkliwa porażka i sroga nauczka.

– Mam pierwsze wydanie z 1838, chętnie nim pana uraczę. – Pani Tekla zaczęła grzebać na swoich półkach i po dłuższej chwili wydobyła mocno zaczytaną książkę.

– Proszę bardzo! Kupiłam ją 30 lat temu w Paryżu. Leżała wśród nic niewartych szpargałów. Wyobraża sobie pan? Takie dzieło! Przyznam się, że kiedy jeszcze jako młoda dziewczyna marzyłam o założeniu własnej perfumerii, chciałam ją nazwać tak jak zakład Birotteau: „Królowa Róż”. Strasznie mi się podobały te nazwy, które nadawał swoim wyrobom: „Woda karminowa” albo „Podwójny krem sultanek” – niezwykle malownicze, prawda?

Witold skinął głową, przyglądając się jej z ogromną sympatią. Zadziwiająca była jej energia i witalność – bez ustanku kręciła się po pokoju, przestawiając rozmaite akcesoria na półkach. W swojej długiej sukni w pionowe kolorowe pasy wyglądała jak bąk – metalowa zabawka dla dzieci, którą zapamiętał z czasów bardzo wczesnej młodości.

– Gdzie pani uczyła się perfumiarstwa? – spytał z ciekawością, bo uświadomił sobie, że w kraju nie było nigdy żadnej znaczącej wytwórni.

– A gdzie mogłam to robić? Oczywiście w Grasse u Fragonarda! Choć moim mistrzem był oczywiście Jacques Guerlain. Człowiek, który mówił, że „udane perfumy to replika snu”.

– Pięknie powiedziane! – stwierdził Witold z uznaniem.

– Prawda? Naturalne składniki i genialny nos – to sekret Guerlaina. Żadne tam aldehydy i inne sztuczniidla.

– Usiadła przy stole i zapaliwszy papierosa, zaczęła rozprawiać o perfumach. Była wybitną znawczynią tematu, a potrafiła opowiadać w taki sposób, że słuchacz nie czuł się znużony. Pani Tyczyńska, zwolenniczka naturalnych surowców i tradycyjnych metod produkcji, rozprawiała o sposobach pozyskiwania kwiatów i czasochłonnym procesie destylacji. Wychwalała też pod niebiosa swoją małą pomocnicę, Alinkę, która na Witoldzie robiła wrażenie dziewczynki bujającej w chmurach i dosyć roztrzepanej.

Jak się okazało, było to wrażenie niesłuszne. Alina była sumienną i uważną uczennicą, prowadziła dziennik upraw, zbierała kwiaty.

Witold chwilę pomyślał o okropnym zapachu piżma, o którym mówiła mu Mila. Perfumiarstwo było na pewno pasjonującym zajęciem, ale on wolał pozostać przy niekończącym się remoncie i historiach o piratach. Były one – oczywiście w jego mniemaniu – bardziej konkretne.

Zeszli na ziemię, gdy Mossakowski zagadnął panią Teklę na temat remontu jej domku. Była dziedziczka machnęła lekceważąco ręką.

– Mało ma pan zmartwień przy tym pałacu? Chce się panu jeszcze pieniądze wydawać na tę

rudere?

– Cieknie z dachu... – powiedział, wskazując wymownym gestem na malownicze zacieki na suficie.

Tyczyńska wzruszyła ramionami.

– No i co z tego? Można postawić miednicę. Zresztą ten zaciek jest bardzo ładny, przypomina żyrafę i za nic bym z niego nie zrezygnowała!

Witold westchnął ciężko, bo widział już, że czeka go trudna walka. Pani Tekla poklepała go po przyjacielsku po ręce.

– Niech się pan nie złości, młody człowieku. Ja wiem, że to jest tak, jak w tej piosence: „czasami człowiek musi, inaczej się udusi”, skoro pan musi, to niech pan naprawia ten dach! Proszę go załatać czy papą pokryć, co pan tam woli, ale błagam – żadnych kapitalnych remontów z wyprowadzką do pakamery na kółkach lub polowego namiotu!

– Jaka pakamera na kółkach? Nigdy by mi coś takiego do głowy nie przyszło! – oburzył się Witold, który tę przyjacielską insynuację potraktował poważnie, jako że ostatnimi czasy był przewrażliwiony na punkcie remontowania.

– Widzę, że prace renowacyjne osłabiły w panu poczucie humoru – zaśmiała się starsza pani, a Witold odetchnął z ulgą. – W ogóle to zastanawiam się, czy nie wyhodowałam sobie w pana osobie gada na sercu...

– Jakiego gada, na miłość boską?!

– Żmiję – powiedziała pani Tekla dobitnie. – Dałam panu ten ogórecznik, bo taki był pan mizerniutki, jak półtora nieszczęścia, a pan się wzmocnił fizycznie oraz duchowo i teraz mi tu pan rewolucje chce robić jak jakiś Trocki.

Witold w geście całkowitej kapitulacji uniósł w górę ręce. – Dziękuję, że nie porównała mnie pani do Dzierżyńskiego!

Starsza pani się uśmiechnęła. – Tak naprawdę nie boję się wykwaterowania do wozu cyrkowego, ale konieczności noclegu na plebanii, bo Witalis na pewno chętnie by mnie przygarnął. Musiałabym jednak znosić jego opowieści o Prasłowianach, a ja mam słabe nerwy!

Witold przyznał, że o fascynacji popa wie już od Wojtka i Alberta. – Zresztą – dowodził ku niekłamanemu oburzeniu pani Tekli, która najwyraźniej do zjawisk nadprzyrodzonych odnosiła się z dużą rezerwą – Prasłowianie wpisują się dobrze w nurt duchów i zjaw obserwowanych w Idzie choćby przez Mireczka.

– Akurat on widział jakieś duchy! – prychnęła starsza dama. – Jedyne go ducha, który się tutaj naprawdę pojawia, widziałam ja, i to wiele razy!

Mossakowski był zdumiony, wydawało mu się, że była dziedziczka ma o duchach zdanie wyrobione i jest ono co najmniej negatywne.

– O takich zwykłych duchach oczywiście! – powiedziała, rozsiadając się wygodnie w fotelu koło kominka.

– Ale ten jest absolutnie niesamowity. To duch Majora. Pojawia się zawsze w ważnych dla

Idy okolicznościach.

– Duch Majora? – zdziwił się. – Mireczek mówi tylko o jakiejś zjawie, Białej Damie czy czymś podobnym...

Pani Tekla machnęła ręką.

– Proszę posłuchać. Zaraz po wojnie osiedlił się tu pewien człowiek. Nikt nie wiedział, skąd się wziął, mówili, że był majorem, ale w jakim wojsku – nie mam pojęcia. Może w partyzantce, a może w ludowym, kto to wie... Chodził zawsze w wojskowej kurtce, ale bez żadnych dystynkcji, mieszkał sam w budynku klubokawiarni, sprzedawał prasę, parzył kawę. Mało mówił, często włączył się ze strzelbą po lasach, ale nie polował. Wszystko potrafił naprawić, znał się na leczeniu, doskonale zęby wyrывał...

– O, matko święta! – nie wytrzymał Witold, który o takich specjalistach czytywał w książkach o średniowieczu.

Była dziewczynka spojrzała na niego bystro. – Widzę, że ma pan jakieś przykre doświadczenia stomatologiczne, mniejsza z tym. Major był niesamowicie wszechstronnym człowiekiem, bardzo go wszyscy lubili i nagle, w połowie lat 70. – zmarł. Ludzie przyszli po południu do klubu, patrzą, a on siedzi sobie za ladą, jak zwykle, z fajeczką, gazetą, bo bardzo lubił czytać, nieodłączną strzelbą przy nodze, i nie żyje...

– I co? – zainteresował się Witold. – Zaczął potem straszyć?

Pani Tekla pokręciła przecząco głową. – Najpierw to był problem z pogrzebem, bo nikt nie wiedział, jak on się nazywa, a gdy przeszukali jego rzeczy, także nic nie znaleźli. Wie pan, ten człowiek zupełnie nic nie posiadał – kilka starych łachów, parę książek – to wszystko. Na nagrobku napisali mu po prostu „Major” i tyle...

– Niesamowite – powiedział Witold. – W dzisiejszych czasach człowiek nie byłby w stanie się tak ukryć, każdy ma PESEL, jakiś dowód, chociaż legitymację ubezpieczeniową...

Starsza pani pokiwała głową.

– No właśnie, a on nie miał nic... Minęło kilka lat, przyszła zima 1981... Wysłałam wtedy na drogę i widzę Majora – z tą jego strzelbą, w wysokich butach i tej znoszonej kurtce, zawołałam, nie odwrócił się... Parę dni później ogłosili stan wojenny. Potem go jeszcze w 1989 widziałam i teraz – kilka miesięcy temu...

– Bo do Unii wchodziliśmy. – Witold pokiwał głową z uznaniem dla politycznej orientacji Majora.

Pani Tyczyńska nie zgodziła się z nim. – Dlatego, że pan miał przyjechać. Major się ukazuje, jak coś ważnego dla Idy się dzieje... No i tylko mnie on się pojawia, nikt inny nigdy go nie widział... Ale to dobry duch – nikogo nie straszy...

Witold się uśmiechnął. – Ten pani Major to jest trochę jak „Die Zeitgeist” – duch czasów, prawda?

Starsza pani żartobliwie trzepnęła go w rękę. – Widzę, że się pan ze mnie nabija, ale Miła mi mówiła, że z pana człowiek małej wiary. Aleja się nie obrażam i mam coś dla pana. – Znowu

zaczęła szukać na półkach i wydobyła mały flakonik. – Nie mają jeszcze nazwy, choć Alina proponowała „Czara ognia” – cokolwiek miałyby to znaczyć... To dość ekstrawaganckie połączenie woni kwiatowych z ziołowymi.

Witold odkorkował flakon. Jak zwykle zapach był oryginalny i intensywny. Warto byłoby mu nadać jakąś ciekawą nazw. „Idealismus” – zaproponował po chwili, a starsza dama była wniebowzięta. Od razu też mianowała go „nadwornym wymyślaczem nazw” i musiał przysiąc, że będzie konsultował każdy nowy wyrób. Właśnie świętowali sukces herbatką z ziół altajskich, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i po chwili stanęła w nich lokalna Hermiona Granger.

– Dzień dobry państwu. Przyszłam tylko powiedzieć, że nie mogę zostać. Mama jest chora i muszę pomóc w domu.

– Dobrze, Alinko – pokiwała głową pani Tyczyńska.

– I tak nie ma nic do zrobienia. Możesz lecieć. Dziękuję, żeś przyszła.

Ale dziewczynka nie wychodziła. Kręciła tylko w palcach swą różdżkę i popatrywała na Witolda niepewnie.

– Co się dzieje? – zniecierpliwiła się pani Tekla.

– Chcesz czegoś?

– Nie... Tak... – plątała się dziewczynka. – Chodzi mi o list...

– O jaki znowu list? – zdumiała się starsza pani.

– O mój list do Joannę Rowling, autorki *Harry'ego Pottera*. Ja go napisałam i chciałabym wysłać, ale nie wiem, czy nie ma błędów... ortograficznych – dodała cichutko.

– Chcesz, żebym ci go sprawdził? – zapytał Witold życzliwie. Dziewczynka pokiwała energicznie głową. – Tylko... proszę pana, proszę się nie śmiać z tego, co ja tam napisałam... Dobrze?

– Nie martw się. Ja się nie śmiałem nawet z tego, co premier napisał do przewodniczącego Romano Prodiego... Więc i to jakoś wytrzymam...

Dziewczynka wyciągnęła z kieszeni kurtki pomietą kartkę.

– Mam to sprawdzić od razu?

Mała pokręciła przecząco głową. – W domu, w domu, nie tutaj! Ja przyjdę do pana, razem z Piotrkim, kiedy będzie robił ten swój wywiad.

Witold chciał jakoś pocieszyć zarumienioną i zawstydzoną dziewczynkę. Przypomniął sobie o prezencie.

– Przecież ja mam coś dla ciebie! – wykrzyknął, uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Poczekaj chwilę, zaraz przyniosę z samochodu.

Po chwili Alinka z nieufnością rozwijała kolejne warstwy papieru. Gdy wydobyła książki, nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu. – To dla mnie??? Wszystkie? Naprawdę?

– Dla ciebie. Wszystkie. Naprawdę – roześmiał się Witold.

– Ale pan jest kochany!!! Ja... tak dziękuję... taka jestem wdzięczna! Ja każdemu będę pożywała... każdemu. Nawet temu głupiemu Antkowi, mojemu bratu...

– A mnie pożyczysz? – zapytał Witold. – Też bym przeczytał...

I Alina w tym momencie zdobyła się na najwyższe poświęcenie – wyciągnęła do niego książki i powiedziała:

– Niech pan bierze wszystkie... na ile pan chce!

Następny dzień od rana Witold poświęcił na inwentaryzowanie ogrodu. Doszedł do wniosku – jak to po południu streścił Mili – że kupiłby chętnie nawet sam ogród, bez pałacu, tak mu się bowiem spodobał cały drzewostan. W parku, który kiedyś był dobrze utrzymanym ogrodem w stylu angielskim, drzewa i krzewy pieniały się bujnie. Witold odkrył kilka starych dębów i równie wiekowych lip, a nawet oryginalny miłorząb japoński, który rósł sobie spokojnie na granicy posiadłości. Oprócz zaniedbanego stawu z wyspą na środku w parku widać było resztki dawnej architektury ogrodowej – alejki wyłożone białym kamieniem, ruiny kolumniek, a nawet sadzawkę o dziwnym kształcie muszli, za którą wznosiła się brama – nie wiedzieć czemu – na głucho zamknięta. Ogród był wspaniały i Witold odczuwał nieodpartą potrzebę, by doprowadzić go do stanu świetności.

– Zacznę przed domem – tłumaczył Mili, gdy wreszcie, po zmudnych poszukiwaniach, odnalazł ją w bibliotece szkolnej, gdzie zajmowała się oprawianiem nowych książek w folię i pakowy papier. – Posadzę trochę bylin, jednorocznych i może jakieś krzewy, żeby ładnie wyglądało... Potem muszę się zabrać za porządkowanie tego parku... Uważam, że on ma swój układ odchodzący koncentrycznie od tej sadzawki-muszli. – Zabrał Mili kawałek brązowego papieru i zaczął na nim rysować. – Popatrz... Tu jest ta muszla. Za nią ta dziwna brama... One obydwie są w samym środku okręgu... Coś jakby środek zegara, gdzie godziny wyznaczają inne elementy... O, na przykład ta zawalona kolumna po prawej stronie domu... Mówię ci, ktoś to dobrze przemyślał, zanim zrobił, w tym jest jakaś metoda...

– W każdym szaleństwie jest metoda – powiedziała Mili, ale przyjrzała się uważnie rysunkom. – To wszystko jest jakieś takie... Mroczne... – dodała po chwili, wracając do oprawiania książek. Witold popatrzył na nią ze zdumieniem, a ona wzruszyła tylko ramionami. – Tak mi przyszło do głowy – usprawiedliwiła się. – Przez ten zegar... Wiesz – odmierza czas człowieka, czy coś takiego... No i ta muszla jest dziwna... Dlaczego akurat muszla?

Witold pochylił się nad szkicem parku, który ciągle udoskonalał. – No właśnie – powiedział. – Warto byłoby się zastanowić... W dodatku ta mozaika w gabinecie – labirynt z Chartres, pani Tekla mówi o nim „droga jerozolimska”. Poczytałem trochę o tym i wiesz, czego się dowiedziałem?

Pani sołtys przecząco pokręciła głową.

– Bardzo ciekawych rzeczy. Labirynty wkomponowywano w posadzki średniowiecznych kościołów i nazywano milami. Co nie znaczy oczywiście, że miały długość mili, najczęściej było to około 250 metrów, biorąc odległość od wejścia do labiryntu do jego centrum. Wierni

przemierzali je na kolanach, co trwało dwie godziny, taka wędrówka była rodzajem zastępczej pielgrzymki do Jerozolimy lub Santiago de Compostela...

– Santiago? – zainteresowała się Mila. – Czy przypadkiem symbolem pielgrzymki do Santiago nie była muszla? Coś mi się kojarzy jakaś legenda, że podobno, gdy odkopano sarkofag z ciałem świętego Jakuba, trumna była oblepiona muszlami, co miało zdaje się dowodzić, że relikwie przemieściły się Morzem Śródziemnym z Włoch do przylądka Finis Terre, czy jakoś tak...

Witold spojrzął na nią z podziwem. Święty Jakub, labirynt na podłodze, ojciec pani Tekli będący specjalistą od średniowiecza, dziwny ogród z muszlą... Wolnomularskie stowarzyszenie „Złota Róża”, to wszystko mogło mieć sens i być powiązane ze sobą. Powiedział o tym Mili, ale ona tylko pokiwała głową, wskazując liczne przykłady tych, którzy ulegli nadinterpretacji faktów i skończyli marnie.

– Tłumaczenie wszystkiego przez wszystko doprowadzi cię do zguby i pomieszania zmysłów – dowodziła poważnie, ale chwilę poszperała na półce i wyciągnęła grubą książkę. Była to *Historia ogrodów* Longina Majdeckiego, bardzo rzadka i poszukiwana pozycja, którą szkolna biblioteka odziedziczyła po jakimś kolekcjonerze z Przemyśla. Witold rzucił się na opasy tom zachłannie.

– Dziękuję ci, jesteś nieoceniona!

– Nie ma sprawy – powiedziała Mila. – Zawsze, jak będziesz czegoś potrzebował, to do biblioteki jak w dym... Udało nam się tutaj zgromadzić dużo książek... Część po likwidowanych księgozbiorach, sporo mamy z darów...

Ja też zdeponowałam tu większość mojej kolekcji książek dla dzieci...

– Masz kolekcję książek dla dzieci? – zdumiał się Witold, podnosząc głowę znad *Historii ogrodów*.

Mila tylko skinęła głową. – Zbieram stare ilustrowane wydania książek. Najlepiej z rysunkami Szancera albo Grabiańskiego... W latach 50. ślicznie je wydawali... Nie wiem, czy widziałeś serię powieści Waltera Scotta?

Witold pokręcił przecząco głową. Oczywiście, w dzieciństwie czytywał Scotta, ale nigdy nie przyszło mu do głowy zwracać uwagę, jak wydana jest książka. Szczerze mówiąc, nie odróżniał nawet serii wydawniczych od siebie... Mila znowu sięgnęła na półkę i podała mu stare wydanie *Rob Roya* w twardej oprawie. Każdy rozdział ozdobiony był fantastyczną grafiką.

– To przedruki oryginalnych XIX-wiecznych rycin angielskich. .. piękne, nie? – powiedziała Mila, zerkając mu przez ramię na książkę. – A pokażę ci jeszcze *Tajemniczy ogród* z ilustracjami Grabiańskiego...

– *Tajemniczy ogród* – powiedział Witold. – To coś dla mnie! Mój ogród też na razie jest bardzo tajemniczy... I oby taki pozostał – dodał po chwili, oglądając podaną książkę. Miała rzeczywiście prześliczne ilustracje.

– Może powinieneś zatrudnić jakąś firmę, która zaprojektuje ci ten park? – spytała Mila, gdy

już odłożył książkę.

Witold skrzywił się. – Ja tam wolę wszystko sam... Przed wszystkim muszę zrozumieć zasadę kompozycyjną tego ogrodu... Będę chyba musiał spytać panią Teklę, może ona coś wie... A potem kupię sobie komputerowy program, który mi w trzech wymiarach pokaże, jak to będzie wyglądało za kilka lat...

– To się nazywa profesjonalne podejście! – zaśmiała się Mila. – Tego się można było po tobie spodziewać! – A gdy się obruszył, dodała jeszcze, wskazując na kartkę ze szkicem: – A w ogóle to nieźle rysujesz, powinieneś na tym się skupić – i pokazała mu coś na papierze.

Popatrzył na obrazek, który mimochodem wykonał przy brzegu kartki – był to zarys labiryntu ogrodowego, rzeczywiście bardzo udany. Zawstydzony, że ktoś przyłapał go na gorącym uczynku, zmiął papier i wsadził go do kieszeni. Z niezręcznej sytuacji wybawił go dźwięk dzwonka w szkole na parterze. Po kilku minutach do biblioteki zaczęły przybywać dzieci.

Młodzi czytelnicy napływali stałym rytmem po kilkoro. Najczęściej pożyczali lektury i rozmaite powieści przygodowe. Witold z lubością słuchał, jak prosili o Edmunda Niziurskiego, albo książki o Panu Samochodziku. Dawno zapomniał o tych tytułach, a przecież kiedyś czytywał je z upodobaniem.

– Niespecjalnie lubiłem Maya – tłumaczył w chwilę po tym Mili i Albertowi, który przyszedł do biblioteki spędzić z nimi wolną od lekcji godzinę. – Indiańskie powieści nie bardzo mnie interesowały, choć ten waleczny Apacz to było coś...

– A ja osobiście podziwiam Maya – stwierdził Albert, delektując się kawą, którą ku obrzydzeniu Mili zaparzył sobie po turecku (czyli z fuzlem) i w dodatku w szklance. – To był taki „selfmaid”, jak nie przymierzając dzisiaj Rowling, czyli „z nędzy do pieniędzy”...

– I to cię tak fascynuje? – spytała Mila, podnosząc głowę znad kart czytelników, które – po oprawieniu wszystkich książek – pilnie wypełniała. – Nigdy bym cię nie podejrzewała o taką małostkowość!

– Oczywiście, że nie to – tłumaczył jej nad wyraz dziś cierpliwy Lipski. – Chodzi mi o to, że facet dzięki tym powieściom wy dobył się z absolutnego dna...

– Z jakiego dna, dobry Boże? – zaprotestował żarliwie Witold, który jednak – musiał to przyznać całkowicie uczciwie – nie miał pojęcia o biografii pisarza.

– No... Choćby z więzienia... – tłumaczył dalej polonista, popijając kawę.

– On siedział w więzieniu? – zdziwiła się bezbrzeżnie Mila.

– A co, nie wiedziałaś o tym? – Witold także nie miał o tym fakcie pojęcia, czemu od razu dał wyraz.

– E... – zgorszył się Albert. – Co wy w ogóle wiecie... Nic... May spędził kilka lat w więzieniu za rozmaite kradzieże i oszustwa...

– Zalewasz! – powiedział stanowczo Mossakowski, a Mila, która także nie była zbyt przekonana do tej wersji, tylko pokręciła głową.

Nauczyciel z obrzydzeniem odstawił szklankę. – Kurczę, fuzle zassałem!!!

– Nie trzeba było ich parzyć – stwierdziła pani sołtys.

– Mogłeś jak człowiek wypić kawę z ekspresu...

– No, ale teraz możesz sobie z nich powróżyć – Witold zrobił aluzję do niedawnego spotkania przy kartach.

Albert machnął ręką, jakby chciał odpędzić muchę.

– Wracam do Maya i pomijam wasze złośliwości, które i tak nie potrafią mnie dotknąć! Autor „Winnetou” siedział między innymi za kradzież futer, które wziął z jakiegoś magazynu celem dalszej sprzedaży i nigdy nie uregulował rachunku. Poza tym to był klasyczny mitoman... Podawał się na przykład za wysokiego urzędnika rządowego, żeby przeprowadzić prywatne śledztwo w sprawie zniknięcia jakiegoś krewnego swojej żony...

– To mi się podoba! – wykrzyknął Witold. – Niezwykle wyrafinowane. Brawo dla Karola Maya...

– No, nie bardzo! – podsumował Albert. – Weźcie pod uwagę, że to wszystko miało miejsce w Niemczech, a oni nie są zbyt finezyjni i zamiast oklaskiwać Maya, wsadzili go do ciupy...

– No nie! – stwierdził Witold. – Wsadzali za udawanie urzędnika?

– Za oszustwo wsadzali – uświadomił go Albert. – Fakt, że kara za udawanie kogoś ważnego, zwłaszcza w dzisiejszych realiach naszego kraju, jest dziwna, ale takie wtedy było barbarzyńskie prawo.

Chwilę się kłócili, czy przestępcza działalność autora *Winnetou* była wyrafinowana czy nie. W końcu to właśnie przedłużający się i, co tu ukrywać, nudny pobyt w „ciupie” podsunął pisarzowi pomysł stworzenia serii indiańskich opowieści, teoretycznie więc można było to uznać za zarządzenie opatrności. Albert ciągle nie był przekonany – jego zdaniem kłamstwa i oszustwa podważały wiarygodność największego geniusza.

– Choć nie da się ukryć – dodawał, wymachując pustą szklanką – że życiorys to on miał barwny i nie brakowało w nim finezji, za którą tak go ceni Witold.

– Wiecie – wtrącił się Mossakowski – jako dziecko zawsze wierzyłem, że pisarze naprawdę przeżywają te historie, które opisują w swoich książkach: że Zbigniew Nienacki ma samochód przerobiony z brezentowej łodzi, że Karol May wychował się wśród Indian, a Jack London całe życie spędził, szukając złota na Alasce...

– No, akurat to ostatnie jest prawdą – uspokoił go Albert. – London całe życie poszukiwał złota w Klondike i przeżył większość przygód, które opisał... Ze mną było odwrotnie – zawsze podejrzewałem, że te wszystkie sensacyjne opowieści wymyślają stare dziady, siedzące wygodnie w bujanych fotelach z nogami przykrytymi pledem i śliniące się z powodu zaawansowanego wieku i demencji.

Mila i Witold roześmiali się, próbując sobie wyobrazić któregoś z pisarzy młodego pokolenia w takiej sytuacji. Wizja śliniącego się i przykrytego pledem Wojtka Kuczoka była tak śmieszna, że po chwili mieli już łzy w oczach, a Albert przyglądał im się z niesmakiem.

– Jak dzieci – stwierdził z obrzydzeniem. – Wy chyba nigdy nie dorośniecie, wstyd! May

raczej nie puszczał ślinki, a przynajmniej nie w czasach, o których mówimy. Był natomiast strasznie przesądny i szczególnie bał się duchów, co sprytnie wykorzystała jego druga żona, która początkowo była tylko jego sekretarką... Wmówiła mu, że zjawy powiedziały jej, że May musi się rozwieść i ożenić z nią... A on, idiota, to zrobił...

– Kretyn! – skomentował Witold znad *Historii ogrodów*, którą zaczął z uwagą przeglądać, bo znalazł rozdział o labiryntach. – Mam tylko nadzieję, że mój duch z Upiornej Kapliczki nie nakłania do podobnych rzeczy...

– Wcale nie był taki głupi! – zaprotestowała Mila. – Ja myślę, że on miał w tym cel. Po prostu chciał się pozbyć tej pierwszej i duchy dały mu wygodną wymówkę...

Albert i Witold popatrzyli na nią z uznaniem. – Wiesz, ty możesz mieć rację – olśniło Alberta. – Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem...

Mila wzruszyła ramionami. – Cóż, psychologia mężczyzn jest od dawna znana, ich intencje są przejrzyste i płaskie jak naleśnik...

Lipski prychnął złośliwie („od kiedy to naleśniki są przejrzyste”, zapytał, pastwiąc się nad nieudolną – jego zdaniem – metaforą), a Witold chciał zaprotestować i wziąć w obronę niecnie spostonowany ród męski, ale pani sołtys zgasiła go jednym spojrzeniem. Ponieważ znowu zaczęła się przerwa i w bibliotece pojawili się młodzi czytelnicy, Mossakowski zabrał swoją książkę i czym prędzej uciekł do domu, by ją w spokoju przeczytać.

Następnego dnia Witold od rana uwijał się pomiędzy robotnikami. Z planami pod pachą i rozwichrzoną czupryną wyglądał jak „szalony profesorek”, co uświadomiła mu Mila, która przyszła z wizytą. Bardzo chciała zobaczyć tajemniczy labirynt i w ogóle trochę rozejrzeć się po wnętrzu. Trzeba przyznać, że dzięki wysiłkowi Witolda budowla zaczęła robić imponujące wrażenie. Choć już od paru tygodni remont „zbliżał się do końca”, jak twierdził majster kierujący brygadą, teraz naprawdę można było w to uwierzyć. Większość pomieszczeń doprowadzono do porządku, dach został ostatecznie naprawiony, podłogi były na swoich miejscach.

– Tylko koszty są *astrologiczne* – powiedział Witold, mrugając do Mili z rozbawieniem. Ona roześmiała się wdzięcznie i wysupławszy z kieszeni płaszcz portmonetkę, usiłowała wcisnąć mu 5 złotych jako opłatę za bilet. Nie zgodził się, tłumacząc, że nie dotarła jeszcze dostawa filcowych kapci, nieodłącznego elementu wyposażenia każdego szanującego się muzeum.

– Niesamowite – powiedziała, gdy Witold wprowadził ją do hallu. – W życiu nie widziałam czegoś takiego.

– Nie byłaś tu nigdy? – zdziwił się.

– Nie. Właściwie nikt tu nie przychodził. Budynek był niebezpieczny, groził katastrofą... – tłumaczyła, z ciekawością zaglądając we wszystkie kąty.

– W takim razie musisz zobaczyć pokoje na górze...

– Ten też jest niezły. – Mila rozejrzała się po wielkiej komnacie z ogromnymi półokrągłymi

oknami sięgającymi podłogi. Roztaczał się z nich zapierający dech w piersiach widok na pagórkowatą okolicę. – Co chcesz tu zrobić?

– Sam nie wiem. Tu była chyba jadalnia albo sala balowa... Może na ścianach były lustra? Nie bardzo wiem, bo nie ma żadnej dokumentacji.

– Jest tak wielka, że mógłbyś tu organizować koncerty albo otworzyć kino... – roześmiała się Miła.

– Kino? – zastanowił się Witold. – Niezły pomysł. Coś jak *Cinema Paradiso*... Tylko skąd wziąć sprzęt... – zaczął usilnie kombinować.

Miła machnęła ręką. – Tylko tak powiedziałam, nie bierz tego poważnie.

Pokoje na piętrze były jeszcze niewykończone, uwagę przyciągał przede wszystkim gabinet z labiryntową podłogą. Chwilę medytowali nad możliwymi zastosowaniami dziwacznej mozaiki. Oryginalna „mila” w Chartres miała średnicę ponad 12 metrów, tu występowała w wersji zmniejszonej, niektórych płytek w ogóle nie było. Brakowało też centralnej płytki z Minoturem. Z uwagą obeszlili cały labirynt.

Witold zabrał się do rzeczy metodycznie i zdążył już przeczytać wszystko, co było dostępne na temat labiryntu z Chartres. Jego osobliwość polegała na tym, że nie był skierowany w żadną z części świata – zwykle labirynty orientowano na wschód lub południe. Ten wskazywał kierunek do Santiago de Compostela, co nie było dziwne, ponieważ znajdował się na trasie pielgrzymkowej. Poza tym krańce labiryntu wskazywały ważne witraże katedry w Chartres – cztery wyobrażenia „Mszy św. Idziego”.

– O, matko – jęknęła Miła, która nie bardzo, jak się okazało, lubiła takie historie. – Jeszcze tylko świętego Idziego brakuje! Gall Anonim o nim pisał, że dzięki jego wstawiennictwu urodził się Bolesław Krzywousty. Tylko mi nie mów, że to też ma coś wspólnego...

Witold spojrział na nią z zaciekawieniem. – Notuję w pamięci kolejne skojarzenie, ale do mojej historyjki jak na razie to nie pasuje. Kościół św. Idziego to jedno z tak zwanych miejsc startowych w pielgrzymce do Santiago. Poza tym legenda głosi, że Karol Młot miał jakąś straszliwą tajemnicę, której nie wyjawiał nikomu, ale aniołowie zdradzili ją świętemu Idziem podczas mszy...

– Oczywiście uważasz, że w oknach tego pokoju znajdowały się witraże z „Mszą św. Idziego”, tak? – zapytała zniecierpliwiona Miła.

Witold roześmiał się. – Nie mam pojęcia, ale czy to nie byłoby fajne? Uwielbiam takie historyjki, sprawia mi frajdę szperanie i wymyślanie ciągle nowych powiązań...

Miła odetchnęła z wyraźną ulgą. – Już myślałam, że ty na poważnie. W takim razie zakwalifikowałabym cię jako czubka i trzymała się z daleka. Ale skoro to jest tylko logiczna łamigłówka, wchodzę do gry... Gdy wymyślimy już zgrabną opowiadkę o masońskim spisku, sprzedamy ją Danowi Brownowi i zarobimy parę groszy. On ponoć nie gardzi takimi informacjami i głównie z nich lepi swoje bestsellery.

Witold spojrział na nią z nieukrywaną sympatią. Obejrzelili jeszcze jedną pozostałość po

dawnym wyposażeniu domu, czyli orzechową szafę biblioteczną wbudowaną w ścianę, która była pusta, i wyszli przed budynek.

– Zbankrutujesz przez ten pałac – powiedziała Mila, gdy stanęli na trawniku. – Koszty rzeczywiście są astronomiczne, to znaczy astrologiczne, oczywiście – poprawiła się z uśmiechem. – Robisz staranną rekonstrukcję, a to niestety pożeracz pieniędzy.

– Wiem. A to jeszcze nie koniec, nawet nie myślałem jeszcze o wyposażeniu... Konserwator siedzi mi na karku, to oczywiste, ale robię to dla siebie. Chciałbym, żeby ten pałac odzyskał dawną świetność... – zapewnił ją. – Wiedziałem, że takie rzeczy kosztują, ale nie myślałem, że aż tyle... Już dawno przekroczyłem pierwotny budżet, a do końca jeszcze daleko... – powiedział ze smutkiem.

– Masz w takim razie dwa wyjścia: albo dopracujesz pomysł bestsellera dla Browna, albo będziesz musiał obrabować bank! – doradziła Mila.

– Pomysł z Brownem coraz bardziej mnie kusi, liczę, że jako specjalistka od prawa autorskiego skontaktujesz mnie z jego agentem i nie dasz orznać...

Roześmiali się oboje. – Jeżeli nie wypali pomysł z Amerykaninem – powiedziała – to znajdę ci kogoś innego, może nawet na miejscu. Albert aż się pali, żeby stworzyć jakiś bestseller, to niespełniony pisarz, pewnie o tym nie słyszałeś...

Witold przyznał, że słyszał o różne rzeczy na temat Alberta, ale tego akurat nie. Mila wyjaśniła mu – najpierw każąc zaprzysiąc się na wszystkie świętości, że nikomu nie powie – że Lipski od lat marzy o sławie scenarzysty popularnych telenowel.

– Bardzo słusznie – poparł kolegę Witold. – To akurat świadczy o jego rozwadze – dodał, widząc jej oburzoną minę.

– To okropny pomysł – oceniła stanowczo. – Nie ma nic gorszego od bycia autorem telenoweli, no, może – zagrać w niej!

– E tam – machnął ręką Witold. – Żadna praca nie hańbi, kochana, a ta akurat może mu przynieść krociowe zyski. Uważam, że dużo gorzej jest być bęcwałem marzącym o sławie wieszczą narodu, tacy najczęściej źle kończą...

– Tylko że historii o masonach w pałacu chyba nie da się przerobić na nowelę telewizyjną – powiedziała Mila.

– I tu jest problem...

– Sądzę, że znowu się mylisz – nie ustępował. – Byłaby to pierwsza na świecie sensacyjna telenowela z wątkiem metafizycznym! To może być strzał w dziesiątkę!

Mila skrzywiła się, pełna wątpliwości. – Przestaję w ciebie wierzyć. Nie znasz się. Zaczynam podejrzewać, że i u Dana Browna nie masz szans, a on nie pogardzi naprawdę niczym...

Witold śmiał się serdecznie. – Nie myśl, że mnie obrazisz, nic z tego! A poza tym mam dla ciebie jeszcze jedną umysłową szaradę. Chcę ci coś pokazać. Tę wieżę.

Mila zadarła głowę. Wąska, ozdobiona gryfami i motywami roślinnymi wieżyczka górowała nad posiadłością.

– Fantastyczna! Co chcesz z nią zrobić. Uwięzić jakąś księżniczkę?

– Bardzo zabawne! Niestety teraz bardzo trudno jakąś na to nabrać, po historii z Roszponką zrobiły się ostrożniejsze...

– Ach, faktycznie! Diabelskie z nich nasienia, przebiegłe jak łasice – uśmiechnęła się.

– Pomyślałem sobie, że może chciałabyś wykorzystać ją jako obserwatorium astronomiczne.

Mila spojrzała na niego ze zdumieniem. – Poważnie mówisz? To byłoby idealne miejsce. Pałac jest na wzgórzu, wieża wysoka, znakomite miejsce do obserwacji nieba... Nie wiem tylko, czy zdajesz sobie z tego sprawę, że będziemy ci tu przychodzić w środku nocy, i to dużą grupą...

– Jakoś to przeżyję! Jest jeden problem... – Jaki?

Witold spojrzał na nią niepewnie. – Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale nie mogę dostać się do środka...

– Żartujesz, prawda? – popatrzyła na niego nieufnie.

– Żebym skonał! Ani na zewnątrz, ani wewnątrz nie ma drzwi. Myślałem nawet o sprowadzeniu dźwigu, żeby zajrzeć do środka przez górne okno. Mogę też wybudować schody prowadzące do okna.

– Ty mówisz poważnie! – upewniła się Mila. – Czy brak tych drzwi pasuje jakoś do spisku o masonach? – zapytała z niepokojem.

Witold pokręcił głową. – Na razie z niczym nie mogę tego powiązać, więc chyba nie. Przyznam jednak, że kusi mnie ten motyw: wieża bez drzwi, coś jak dom bez klamek... – A pytałeś Tekli? – zapytała tym razem poważnie.

– Nie. A myślisz, że ona coś wie o tych drzwiach?

– Mieszkała tu przez kilkanaście lat. Wejście pewnie jest zamurowane, ale to niemożliwe, żeby nic nie było widać.

– Podeszła do muru i próbowała obmacać go rękami. Ściana była jednolita i wyglądała na nienaruszoną. – Coś takiego... – stwierdziła po chwili. – Możemy wejść do środka?

– Witold skinął głową i otworzył wejście przez taras.

– Wieża jest tutaj – poprowadził ją przez werandę. Mila dokładnie obejrzała świeżo otynkowaną ścianę.

– Pewnie sprawdziliście wszystko przed gipsowaniem?

– Oczywiście! Ściana była gładka jak glacia łysego! Dziwna sprawa...

– Czyja wiem – powątpiewała Mila. – Może zbudowali tę wieżę tylko dla ozdoby? To się zdarzało przy takiej eklektycznej architekturze...

– Możliwe. W każdym razie na górze jest okno, tamtędy więc można wejść do środka. Nawet jeżeli wieża jest pusta do samych fundamentów, to można zbudować podłogę... Rozmawiałem już z Kowalem, w przyszłym tygodniu spróbujemy się tam dostać...

– A co na to konserwator zabytków? – zapytała ostrożnie.

– Na razie nic o tym nie wie. I mam nadzieję, że sołtys Idy mu nie powie...

Pani sołtys czym prędzej zapewniła go, że nigdy w życiu nie zdradzi tej tajemnicy, choćby

masoni wzięli ją na tortury i kazali przez pół dnia biegać po labiryncie. Ponieważ zrobiło się już późno i zbliżała się godzina obiadowa, Mila pożegnała się i ruszyła do szkoły na popołudniowe lekcje. Po nich miała jeszcze zebranie spółdzielni, które mogło przeciągnąć się do wieczora. Przypomniała mu więc tylko o kolejnym seansie piłkarskim i ruszyła do swoich zajęć.

Patrząc za odchodzącą dziewczyną, Witold się zastanawiał nad swoim najnowszym pomysłem, który nieświadomie mu poddała. Uruchomił internetowy portal ogłoszeniowy i zaczął szukać. Znalazł nadszpedzowanie szybko: pewien dom kultury sprzedawał wyposażenie osiedlowego kina. Postanowił złożyć ofertę.

Na tych zajęciach – kupowaniu kina oraz nadzorowaniu robotników – czas szybko zszedł mu do wieczora. Zdążył jedynie zamówić przez internet trzy nowe książki na temat labiryntów, kiedy zrobiło się późno i należało szykować się do wyjścia. Tym razem Witold zabrał ze sobą wałówkę – głupio mu było, że na każdy seans piłkarski przychodził jedynie z trąbą kibiców i nadużywał gościnności. Namówił więc panią Gertrudę, by przygotowała mu cały zestaw przekąsek stadionowych. Gdy już szczęśliwie dotarł do mieszkanka nad szkołą i rozłożył na stole wiktuwały, wzbudził nimi entuzjazm pozostałych kibiców.

– Prawdziwa Uczta Baltazara – zachwycił się Albert, oglądając z uwagą wszystkie frykasy.

– I nawet mamy do tego wino – ucieszył się Wojtek, wyciągając butelkę zacnego chianti.

Z powodu zebrania spółdzielni Mila dotarła spóźniona. Powitana radosnymi okrzykami Wojtka i zgryźliwymi Alberta od razu zagłębiła się w wysiedzianą kanapę, odsuwając koty królowej Beruthiel, które natychmiast chciały wepchnąć się jej na kolana.

– O, nowy zapach – powiedziała, nachylając się w kierunku Witolda, który specjalnie na tę okazję postanowił wypróbować „Idealismus”. – Tekla ma coraz lepsze pomysły.

– Jestem zazdrosny – stwierdził Albert. – Dla mnie nigdy nic nie przygotowała.

– Bo ty mało o nią dbasz – wzruszył ramionami Wojtek.

– Witek wkupił się w łaski pani dziedziczki.

– Uważaj na takie mocne zapachy – poradziła mu Mila. – Nie wiesz, że zbyt namiętność do perfum zgubiła Sinobrodego?

– To ten dzielny facet, który pochował pod podłogą siedemnaście żon, w tym cztery wielbicielki latynoskiej piłki nożnej? – odciął się Witold.

– Nie obrażaj się. – Mila sięgnęła po kieliszek z winem.

– To fakt sprawdzony historycznie. Sinobrody szpaczkował sobie po Paryżu...

– Co robił? – nie rozumiał Witold.

– W przekładzie na współczesną polszczyznę „używał sobie ponad miarę” – objaśnił Albert, podając kanapki.

– Milka jest wielbicieleką barokowego stylu wyrażania się... „Miły Jasiu, mowny szpasiu, szpaczkujesz, nie czujesz”

– to z *Uwag o śmierci niechybnej* księdza Baki.

– Dziękujemy za wskazówkę bibliograficzną panu magistrowi Lipskiemu – wtrącił Wojtek. –

Ale błagamy o resztę bajki o Sinobrodym...

– To nie żadna bajka, tylko fakt historyczny... – upierała się Mila.

– No dobra: niech ci będzie – historyczna bajka – pojednawczo rzucił Witold.

– Do rzeczy – znecierpliwił się matematyk. – Chcę wiedzieć, co było dalej z dzielnym Sinobrodym.

– No więc „dzielny Sinobrody”, jak go nazywacie, miał miły zwyczaj skrapiania się w dużej ilości perfumami...

– zaczęła pani sołtys.

– A szczególnie silnie skrapiał swą brodę... – wtrącił się Witold.

– Żebyś wiedział! I to go właśnie zgubiło. Siostra jednej z jego ofiar rozpoznała go właśnie po zapachu.

– To bardzo barokowe, Mila. Szwagierka Sinobrodego chodzi po Paryżu i wacha brody – dodał Albert.

– Jesteście beznadziejni! – zezłościła się. – Nie wahała jej specjalnie, tylko przypadkiem sobie skojarzyła...

– Czy ta historia ma jakiś morał, bo mecz się zaczyna?

– zapytał Lipski.

– Tak. Witold, jeśli chcesz uniknąć stryczka, nie perfumuj brody – stwierdził Wojtek.

– Bardzo dziękuję za tę płynącą z głębi serca przestrożę – powiedział Witold, łapiąc szarobrazowego dziwaczego kotka, który z uporem godnym lepszej sprawy wspinał mu się po swetrze do góry.

– Powinieneś go zatrzymać – Wojtek pokazał na kotka. – Chyba cię lubi...

– Wybrał cię – dodał Albert.

Witold wziął do ręki kotka. Stworzenie wysunęło różowy, szorstki jak tarka język i zaczęło go lizać. – Wiecie co? Chyba macie rację! Nazwę go Jodžo...

– No nie! – Cała trójka była oburzona.

– Chyba nie ma jakiegoś oficjalnego katalogu imion kotów? – spytał Witold, przyglądając się kotkowi z bliska. Przedziwne stworzenie miało w dodatku niebieskie oczy i wyglądało na bardzo zadowolone z okazanego mu zainteresowania.

– Właśnie jest! – stwierdziła Mila. To *Old Possumus Book of Practical Cats* Eliota, czyli w tubylczym języku *Koty*...

– O! Mila ma rację! – poparł ją Albert. – Możesz nazwać kota na przykład Makawity...

– Nie chcę go nazywać Makawity! – zaprotestował Witold. – Makawity to był kot detektyw z takiej bajki dla dzieci *Tajemnica szyfru Marabuta*... Nigdy nie wiedziałem dokładnie, o co w niej chodzi... Chcę, żeby mój kot miał na imię Jodžo, i już!

– To, że ty masz fioła na punkcie *Moby Dicka*, nie oznacza, że biedny czworonóg ma się nazywać tak jak bożek, któremu oddawał cześć dziki Queequeg!!! – sprzeciwił się Wojtek.

– Dlaczego? – nie rozumiał Witold. – Queequeg bardzo o niego dbał, palił mu wiórki z

drewna, karmił i o wszystko się go pytał...

– Ale Jodžo nie udzielał mu zbyt dobrych rad – stwierdziła Mila. – W końcu to on wybrał „Pequoda”, a był to fatalny wybór, w końcu statek się rozbił i wszyscy utonęli...

– Dobra – zgodził się Witold. – Zapytajmy Jodża... – Podniósł kota do góry i spytał: – Chcesz mieć na imię Jodžo? – Kotek polizał go po ręce.

– No tak – zgodził się Wojtek. – To rozstrzyga o wszystkim. Kot będzie się nazywał Jodžo, czy się komuś podoba, czy nie.

Mila wtrąciła jeszcze uwagę o zdrowiu kotka, sugerując, że trzeba go koniecznie zaszczepić, i wszyscy rozgadali się o kolejnej „wiejskiej osobliwości”, czyli weterynarzu nazwiskiem Karwala.

– Nazywamy go szalejącym doktorem, bo łatwo go zdenerwować – wyjaśniła Mila, a dwaj nauczyciele zaczęli się prześcigać w opowiadaniu anegdot na temat weterynarza.

– Pamiętajcie, jak krowę wzdęło od mokrej trawy i on jej spuścił powietrze taką rurką? – emocjonował się Wojtek.

– No – potwierdziła Mila. – Albo jak wyleczył pana Kowala po upadku z dachu – to było najlepsze.

– Widzę, że wasz weterynarz to lekarz wszechspecjalności – powiedział Witold, a oni z pasją potwierdzili. Gdyby jeszcze tak łatwo nie wpadał w szal, byłby najlepszym fachowcem na świecie! Mógłby nawet zęby wyrywać i tym samym Ida zaoszczędziłaby na planowanym ośrodku zdrowia.

– Proszę o ciszę – wtrącił się Albert. – Za moment rozpocznie się mecz i przegapimy najważniejsze...

– To znaczy co? – nie mógł zrozumieć Witold.

– Jak się biją na trybunach – wyjaśnił zyczliwie Wojtek.

– Albert uwielbia transmisje z burd stadionowych.

– To raczej powinien się wybrać na mecz Wisły z Legią...

– powiedział Witold, który jako mieszkaniec Warszawy dobrze znał się na rzeczy.

– To nie jest konieczne – stwierdziła Mila. – Wystarczy, jak pojedzie do Brzózek na mecz lokalnego Huraganu z Silnymi Rataje... Te spotkania bardzo zwiększają frekwencję w szpitalu powiatowym...

– I generują podwyżki dla policji w Brzózkach... – dodał Wojtek, a Albert rzucił w niego poduszką.

– Panowie, panowie – próbowała zmiłogować ich Mila. – Oszczędzajcie siły, weekend niedługo, trzeba będzie odpoczywać!

Witold wyciągnął się na kanapie, wziął na kolana kotka i oglądając nieuważnie mecz, zamyślił się nad swoimi sprawami. Już od dłuższego czasu kielkowała w nim myśl, żeby zająć się nowym biznesem. Postanowił przerobić część pałacu na elegancki i stylowy hotel. Podjął już nawet pewne kroki, starając się oddzielić część prywatną od tej, która będzie dostępna dla

wszystkich. Miał wrażenie, że pomysł może wypalić. Chciał też, żeby zwróciły mu się środki, które wydał na remont. Na razie jednak był to tylko nieśmiały pomysł i nie chciał się nim z nikim dzielić, nawet z Miłą, do której miał najwięcej zaufania.

Tak się zadumał, że nie zauważył nawet, kto wygrał. Wracając do domu przez rozświetloną blaskiem gwiazd Idę, czuł dziwny przypływ energii. Choć podejmował decyzję, która mogła zaważyć na całym jego dalszym życiu – nie bał się. Wręcz przeciwnie, odczuwał dreszcz podniecenia na myśl o spełnieniu swoich planów. „Jestem szczęśliwy”, pomyślał ze zdumieniem. I naprawdę tak było. Nagle, gdy już się zbliżał do bramy parku, zauważył na drodze jakiegoś mężczyznę. Szedł w pewnej odległości, lekko przygarbiony. Miał na sobie znoszoną kurtkę mundurową i oficerki, a przez plecy przewieszoną starą flintę.

– Halo! Dobry wieczór! – wrzasnął Witold, bo mimo iż przyspieszył znacznie kroku, nie zbliżył się do nieznajomego ani na cal. Ten nie tylko nie odpowiedział, ale nawet się nie odwrócił. Zszedł z drogi i ruszył przez pola w kierunku wsi. „Często włóczył się ze strzelbą po lasach, ale nie polował”, przypomniał sobie słowa pani Tekli i zrozumiał, że spotkał Majora.

– Panie Majorze! – krzyknął, ale mężczyzna zniknął już na łące, po prostu rozpląnął się w wieczornym mroku.

„Fantastycznie”, mruknął do siebie Witold. „Cała wieś pełna dziwaków i jeszcze do tego zaczynam widzieć zjawy. Kelner – bilet do czubków, raz”. Mimo wszystko nie zmartwiło go to spotkanie. Skoro pojawienie się ducha Majora wieszczyło zmiany w Idzie, to może był to znak dla niego, że dobrze wybrał? „A więc ten duch postanowił wziąć w opiekę mój biznes”, pomyślał i zrobiło mu się raźniej.

W niedzielny poranek obudził się wypoczęty i radosny. Nie czuł się tak od lat. Zszedł na dół, gdzie pani Gertruda krzątała się przy śniadaniu.

– Niech pan siada i je – za chwilę muszę wyjść do kaplicy! – powiedziała, nalewając mu kawy.

Witold przypomniał sobie o nabożeństwie odprawianym przez ojca Witalisa „dla wszystkich” i choć nie był specjalnie wierzący, zaciekało go to.

– Ja też mogę przyjść? – zapytał, a gospodyni podparła się pod boki rękami. – Oczywiście, nie mówiąc już o tym, że jest to pański kościół!

Pałacowa kaplica znajdowała się po prawej stronie zabudowań, doklejona do bryły budynku. Jak cały dom wyglądała dziwnie – pękata, niezbyt kształtna, zwieńczona baniastą kopułą. Remont ograniczył się do wytynkowania i pomalowania ścian oraz naprawy kamiennej posadzki. Witold kazał też wstawić okna, bo przedtem po niewielkim pomieszczeniu hulał wiatr, a framugi były zabite dyktą, co nadawało kaplicy smutny i zaniedbany wygląd. Wyposażenie stanowiło kilka poczerniałych ławek, a na ołtarzu znajdowała się dziwna rzeźba, bardzo podobna wyglądem do Madonny z Upiornej Kapliczki, choć tamten mały rysunek na desce był bardzo schematyczny.

Witold, rozmyślając nad swoją astrologiczną kombinacją, zauważył, że Madonna jest prawie dokładnym odwzorowaniem Czarnej Madonny z katedry w Chartres, tzw. Notre Dame de Sous Terre, kopii celtyckiej rzeźby odnalezionej w podziemiach kościoła, o której Scott Eriugena powiedział: „Światło było ukryte w niedostępnej ciemności”.

Nabożeństwo było rzeczywiście ekumeniczne – składało się właściwie z samych modlitw i pieśni, intonowanych czystym głosem przez panią Tyczyńską. Witold, któremu wręczono praktyczny śpiewnik, starał się nie fałszować. W maleńkiej kapliczce stłoczyli się prawie wszyscy mieszkańcy Idy. Z zainteresowaniem patrzył na ich spokojne twarze. W pierwszej ławce wśród dzieci ze szkoły siedziała Iwana, żona ojca Witalisa. Była to wysoka i potężnie zbudowana kobieta o ujmującym uśmiechu – starała się dyrygować śpiewem i modlitwą, co nie bardzo się udawało, bo kongregacja była dosyć żywiołowa. Gdy nabożeństwo zakończyło się hymnem „Gospodi pomiluj” odśpiewanym w dwóch językach, przy ołtarzu pojawiła się Mila, ubrana w czarną suknię i awangardowy kremowy sweter z falbanami, by przedstawić garść nowin i ogłoszeń. Witold nie mógł wyjść ze zdumienia – msza przerodziła się w coś w rodzaju klubu dyskusyjnego połączonego z zebraniem wiejskim. Przez najbliższe pół godziny omawiane były sprawy powołania do życia ośrodka zdrowia i organizacji święta wiosny dla dzieci, przedstawiono też sprawozdanie finansowe spółdzielni za ostatni kwartał. Ponieważ Mila nie omieszkła wspomnieć na forum publicznym o obecności Witolda w wiosce i jego planach dalszej renowacji pałacu, ci mieszkańcy Idy, którzy jeszcze go nie widzieli (a było takich doprawdy niewielu), zaczęli mu się przypatrywać z intensywnym zaciekawieniem. Wyszedł z kaplicy w stanie mocnego szoku i chciał skierować się do dworu, ale mocna dłoń popa powstrzymała go.

– Zapraszamy na wczesny obiad – zagrzmiął mu nad uchem Witalis. – Przy okazji przedstawiam małżonkę!

Iwana obdarzyła go wesołym uśmiechem i popędzając innych parafian przed sobą, skierowała się do bramy parku.

– Pięknie pan sobie tutaj radzi – usłyszał głos pani Tekli. – Jestem pełna uznania.

– Staram się. Widzę, że kaplica to ważny element życia społecznego w Idzie...

– Tak, skrzyżowanie parani z klubogospodą – roześmiała się Tyczyńska. – Może mi pan wierzyć lub nie, ale właśnie taką formę religijną lubię najbardziej...

– Ja chyba też... W związku z tym myślę, żeby jakoś odrestaurować wnętrze...

– Przecież otynkował pan kaplicę i pomalował ściany, nawet wstawił pan szyby, co się bardzo chwali, bo do tej pory wiatr hulał jak po lesie... – zdziwiła się była dziedziczka, której najwyraźniej sprawiał ogromną przyjemność fakt, że jej dawny dom odzyskuje blask.

– Myślałem o zrobieniu nowych ławek i może jakichś witrażach w oknach... – wyjaśnił.

– Witrażach? – zainteresowała się pani Tekla. – Rzeczywiście były tu witraże, ojciec je zamówił...

Witold postanowił wykorzystać okazję i opowiedział jej o swoich odkryciach związanych z

labiryntem na posadzce gabinetu i Czarną Madonną. Przedstawił legendę o świętej panience z Chartres i o labiryncie w tym kościele, pod którym zanotowano silne pole elektromagnetyczne.

– Sama pani mówiła, że jej ojciec był mediewistą i członkiem loży. Zastanawiam się, czy te witraże nie były przypadkiem kopiami witraży z Chartres.

Pani Tekla spojrzała na niego z uznaniem. – No, młody człowieku, jak to mówią: *touche*! Ma pan znakomitą zdolność kojarzenia wydawałoby się banalnych faktów, na pewno jest pan świetnym prawnikiem. Rzeczywiście, to były kopie witraży z Chartres, w miniaturze oczywiście, i co ciekawe, wszystkie dotyczyły życia Karola Młota, zupełnie nie wiem czemu...

– Ja za to wiem – Witoldowi podobało się, że wymyślona przez niego łamigłówka nabiera tak wyraźnych kształtów. – Czytałem o serii witraży z Chartres przedstawiających życie świętego Idziego. Jest taki jeden zatytułowany „Msza św. Idziego”. Według legendy Karol Młot miał tak straszliwy grzech na sumieniu, że nie był go w stanie wyznać świętemu. Ten odprawił mszę za króla, podczas której odpuścił mu winy, a wtedy pojawił się anioł ze zwojem, na którym zapisano prawdę o przewinie Karola...

– A tak – powiedziała dziedziczka. – Coś sobie przypominam. Widziałam w Londynie w Galerii Narodowej taki obraz nieznanego malarza z XV wieku, przepiękny! I jak pan myśli, czy to ma jakiś związek?

Witold roześmiał się i pokręcił głową. – Miła uważa, że wpadam w pułapkę nadinterpretacji. Tłumaczę „wszystko przez wszystko”, każda rzecz pasuje mi do tezy, że w pałacu działo się coś dziwnego. Szczerze mówiąc, myślę, że nic się nie działo, a to wszystko to taka szarada umysłowa.

Teraz uśmiechnęła się pani Tekla. – A może jednak? Proszę nie zapominać o fascynacjach mego biednego ojca i tej loży. Pamiętam, że za moich młodych lat pojawiali się tu różni dziwni ludzie, ojciec ciągle wyjeżdżał, kupował stare książki. Niestety, prawie nic się z nich nie zachowało...

– Prawie nic? – zaciekał się Witold. – Więc jednak ma pani jakieś pamiątki?

– Niestety, rozczaruję pana. Nie jest to żadna masońska literatura. Jakiś traktat o zakładaniu ogrodów i notatnik mego ojca z podróży do Londynu, zapisany po francusku drobnym maczkiem i śmiertelnie nudny. Na dwudziestu pierwszych stronach, które przeczytałam, pisze głównie o niewygodach podróży i swoich chorobach. Mogę go panu dać do przeczytania, jeśli to ubarwi pańską historyjkę. Wątpię jednak, żebyśmy dowiedzieli się z niego, czym był grzech Karola Młota...

– Ja wiem, co zrobił Karol Młot – włączyła się niespodziewanie Miła, która szła za nimi krok w krok i podsłuchiwała.

– Nieładnie podsłuchiwać – zgromiła ją pani Tekla, ale dziewczyna tylko wzruszyła ramionami.

– Jak nie chcecie, to mogę wam nie mówić!

– Mów, mów – poprosił Witold. – Jestem bardzo ciekawy.

– Od razu widać, że bawisz się w historyczne zagadki bez solidnego przygotowania. To jest elementarne, Watsonie – wystarczy poczytać dowolny podręcznik do historii. Karol Młot ukatrupił Dagoberta i wykończył tym samym dynastię Merowingów, zaprowadzając swoją – Karolingów. Ot i grzech Karola – królobójstwo.

Pani Tekla i Witold popatrzyli na nią z uznaniem.

– Dobra jesteś – pokiwała głową Witold. – Wszystko wyniuchasz. Kupuję historię o Karolu i włączam ją do reszty! A po co pani ojciec jeździł do Londynu?

– zapytał Teklę.

– Nie mam pojęcia, byłam wtedy mała. Wiem, że spotykał się z jakimś duchownym, wrócił z tej podróży dziwnie odmieniony, ale radosny...

Witold chciał jeszcze o coś dopytywać, ale właśnie dotarli do domu popa. Ten budynek powstał bez architektonicznych ekstrawagancji, co było dosyć nietypowe w Idzie, wiosce eksperymentów budowlanych. Iwana ujęła Witolda pod rękę i zaprowadziła na tyły domu, gdzie razem z Milą pokazały mu wytwórnę koronek. Był to imponujący warsztat. Myśląc o spółdzielni produkcyjnej Ida, zawsze miał przed oczami XIX-wieczną manufakturę, a tu zobaczył prawie profesjonalną fabryczkę. Oczywiście, wszystko wyrabiano ręcznie, ale prace zostały maksymalnie uproszczone.

– Rozumiesz – ergonomia – wyjaśniała mu Mila, gdy już zasiedli do stołu. – Ważna jest wydajność i oszczędność czasu.

– O, matko, mówisz jak nadzorca w fabryce w Chinach – zażartował z niej, ale zmarszczyła brwi.

– Tu się nikogo nie wyzyskuje, po prostu praca jest etapowa, co pozwala na przyspieszenie całej produkcji. Jak myślisz, ile czasu dłużyłybyśmy koronki na suknię z dziesięciometrowym trenem?

– Rok? – zaryzykował Witold, a Iwana, która właśnie nalewała gościom zupę, kiwnęła głową.

– Coś koło tego, a tak robimy w trzy miesiące...

– I jaka doskonała jakość! – zachwyciła się pani Tekla.

– Tylko rynki zbytu małe – zasepiła się Mila. – Już od dawna kombinuję, jak by tu się przebić do dużych domów mody...

– I co? – zainteresował się.

– I nic. Na razie nie mam pomysłu...

– Moi drodzy, moi drodzy – zmiłogował wszystkich Witalis. – Przy pięknej niedzieli nie rozmawiajmy o pracy i interesach, tylko o czymś przyjemnym. Zapytajmy naszego nowego mieszkańca, jak mu się tutaj podoba!

Witold ponownie znalazł się pod obstrzałem wszystkich spojrzeń.

– A co ma mu się nie podobać! – prychnęła pani Gertruda, wybawiając go z opresji. – Piękny dom, odpoczywa sobie, od razu widać, że inny człowiek... jak przyjechał, to bida z nędzą... pan

się nie obraża, panie ministrze? – upewniła się jeszcze. – A teraz proszę: wesoły, zadowolony z życia...

– No właśnie – westchnął pop. – Toż ja zawsze mówię: turystyki nam tu trzeba. Przyjechałby taki z miasta, zagoniony jak przysłowiowy pies, a wracałby – lew gotowy do dalszej walki...

Witold nachylił się do pani Tekli, która właśnie kończyła deser. – Widziałem tego pani ducha!

– Majora? – ożywiła się była dziedziczka, dając mu znak, że powinni wyjść na ganek zapalić papierosa.

Mossakowski kiwnął głową.

– Tak podejrzewałam! – cieszyła się. – Specjalnie panu opowiedziałam tę historię, bo spodziewałam się tego!

– Spodziewała się pani, że duch mnie zacznie nawiedzać?! – Witold po raz pierwszy od dobrych dwudziestu lat zakrztusił się dymem. Pani Tekla postukała palcem w balustradę werandy. – Major pojawiał się wyłącznie mnie, doszłam więc do wniosku, że interesują go wyłącznie właściciele Idy. Na przykład dyrektorowi PGR nie ukazał się nigdy, co świadczy o wielkiej mądrości zjawy...

– Mógł się ukazać na przykład sekretarzowi partii – podrzucił Witold.

– Możliwe, gdyby którykolwiek tu zawitał; wątpię, żeby Majorowi chciało się chodzić do Arłamowa, żeby pokazać się Gierkowi – stwierdziła pani Tekla, wypuszczając zgrabne kółeczko dymu, którego nie powstydziliby się żaden marynarz. – W związku z tym pokazywał się mnie, widocznie uznawał mnie za prawowitego właściciela. Naturalną koleją rzeczy powinien zjawiać się panu, co też nastąpiło, zgodnie z moim przypuszczeniem, wołałam uprzedzić, dlatego opowiedziałam panu tę historię...

Mossakowski zgnębiony oparł się o podtrzymujący ganek filar i zapatrzył na nieodległą łąkę. – Co mnie tu jeszcze czeka? – powiedział. – Duchy, tajne stowarzyszenia, a na końcu wsadzą mnie do czubków...

Była dziedziczka poklepała go po ramieniu. – Jak to mówił klasyk: „Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało”. Proszę się nie zamartwiać, bo to szkodzi na trawienie. Myślę, że Idę znowu czekają zmiany, skoro Major się zjawił! Już się nie mogę doczekać. – Wesoło zatarła ręce, a Witold się roześmiał. Wrócili do jadalni, gdzie pop – zgodnie widać z tradycją – zaczął odczytywać fragmenty swej rozprawy o Prasłowianach.

Wracając do domu, Witold z odrazą popatrzył na Mile, która towarzyszyła mu, gdyż miała „po drodze”.

– Jesteś zmiyka! Nic mnie nie broniaś, jak tak się na mnie gapili i omawiali mój starczy uwiad i cudowne później ozdrowienie.

– A co to ja twoja niania jestem? A ty, niebożatko, rady sobie z nimi nie dasz! – obruszyła się. – Poza tym oni tak z sympatii.

– Akurat z sympatii – powiedział z obrażą.

– Ale wiesz? Oni mają rację z tą turystyką. Można by tu warsztaty dla frustratów urządzać: ziołolecznictwo u Tekli, wyrabianie koronek u Iwany...

– Jasne, frustrat wyrobi sobie koronkowe stringi i od razu się lepiej poczuje – powiedział złośliwie.

– To jest myśl! – dała się ponieść entuzjazmowi. – Czytałam o tych stringach! Mogliby je dziergać, a potem dla relaksu tańczyć do wtóru bębnów afrykańskich.

– Myślę, że byłoby lepiej, gdyby Albert zagrał na trąbie. Na przykład jerychońskiej. On mi pasuje do trąby!

Wizja miastowych frustratów odurzonych ziołami i pływających w stringach do wtóru trąby rozbawiła ich tak bardzo, że Mila musiała złapać się płotu, bo ze śmiechu straciła oddech. Witoldowi zaczęły łzawić oczy, więc także się zatrzymał, żeby przetrzeć okulary.

W tym stanie zastał ich Wojtek, wracający z przechadzki nad staw.

– Co wyście tam zjedli u tego popa? – zdziwił się.

– Nieważne zresztą co, ważne, że ja chcę to samo! Od rana mam podły humor.

Wtajemniczyli go w pomysł warsztatów dla sfrustrowanej bohemy. Odniosł się do nich entuzjastycznie, zwłaszcza do trąby jerychońskiej.

– A co ja mógłbym robić? – zainteresował się, urażony, że nie wyznaczyli mu żadnej odpowiedzialnej misji.

– Może wróżyć z ręki? – zamyślił się Witold. – Widzę cię w cygańskiej chuście i z tamburynem.

– Ty się nie śmiejesz – przywołała go do porządku Mila.

– Uważam, że powinieneś udoskonalić swoją historyjkę o Karolu Młocie, takie bzdety przyciągają turystów.

– Jaką historyjkę o Karolu? – zapytał Albert, którego wywabiły z mieszkania śmiechy i wrzaski całej trójki. Opowiedzieli mu.

– Bzdury – skwitował całą misterną szaradę historyk.

– To się kupy nie trzyma i jest obrazą dla rozumu, Karol Młot nie zabił Dagoberta III. Zajmijcie się lepiej czymś pożytecznym, ogródek skopcie albo co... Karol Młot, labirynty i masoni w Idzie...

– Belfer – podsumował to wszystko Witold. – Bawić się nie potrafi, to innym nie pozwala...

– A kopnął cię już dzisiaj ktoś? – zapytał Albert. – Ale po co ja się pytam! Na pewno ktoś cię w głowę kopnął, że takie herezje historyczne wymyślasz... I proszę mi tu nie kolportować wśród młodzieży tych bzdurstw, bo potem jeden z drugim zapamięta, że Karol Młot udusił Dagoberta w Upiornej Kapliczce!

Następnego dnia, gdy tylko zapachniało ręcznie zmieloną przez panią Gertrudę kawą, Witold zabrał się do adiustowania listu Alinki. Elaborat liczył sobie osiem stron zapisanych drobnym

maczkami na kartkach prawie całkowicie pozbawionych marginesu. Arcydzieło epistolografii urozmaicone było kolorowymi rysunkami przedstawiającymi głównie różdżki, Harr/ego Pottera i – co skonstatował ze zdumieniem – rozmaitych mieszkańców Idy, w tym i jego.

Był dość mało podobny do swego portretu (choć, żeby zacytować klasyka, „portret był podobny do niego”), Alina wyposażyła go w duże uszy („nigdy nie przyglądałem się swoim uszom. Może rzeczywiście są tak odrażająco gigantyczne”), okulary oraz wystroiła w rodzaj powłóczystej szaty. Witold niejasno sobie przypominał, że taka mniej więcej odzież obowiązywała w Szkole Magii i Czarodziejstwa w pewnej popularnej powieści dziecięcej.

„Kochana pani Joanne Kathleen Rowling” – pisała Alina. „Mam 10 lat i mieszkam w Idzie, małej miejscowości w Polsce. Wszyscy się tu znają, bo jest nas mało, jak w tej książce o dzieciach z Bullerbyn, pewnie ją pani czytała? Bo jak nie, to proszę sobie koniecznie przeczytać z Jessicą. Mamy tu szkołę, do której chodzi piętnaścioro dzieci, bibliotekę i pałac. W pałacu mieszka minister”. (Witold westchnął, zastanawiając się, czy nie powinien opatrzyć tego listu przypisami). „On nie jest taki okropny jak Lucjusz Malfoy, choć myślałam, że taki będzie, właściwie to jest bardzo podobny do Harr’ego Pottera. I trochę do pająka. Ma strasznie długie nogi i zielone oczy, pani Mila mówi, że taki kolor nazywa się „szmaragdowy” (słowo „emerald” było podkreślone dwa razy). Narysowałam go pani najdokładniej, jak potrafię. Zanim przyjechał, wszyscy zastanawiali się, jaki będzie. Zwołano nawet w tym celu radę wsi, żeby omówić, czy to dobrze, że przyjedzie, czy źle. Moja mama stwierdziła, że cała rozmowa nie ma sensu, bo to i tak od nas nie zależy. Pan Albert, który uczy mnie polskiego, powiedział, że minister uczyni z naszej wsi wieś europejską i będzie stanowił dodatkową atrakcję i urozmaicenie, a pani Kowalowa zapytała panią Milę, czy zna tego ministra. Bo pani Kowalowa uważa, że pani Mila, która kiedyś mieszkała w mieście, a teraz jest naszym sołtysem, zna wszysddch. Okazało się jednak, że pani Mila go nie zna. Powiedziała tylko, że doświadczenie jej mówi, że pewnie będzie stary i łysy. Potem przekonałam się, że nie miała racji – nie jest łysy, choć rzeczywiście jest stary – ma ze 35 lat... „,

W dalszej części listu Alinka przedstawiała innych mieszkańców wsi, szczególne miejsce poświęcając pani Tyczyńskiej. Witold dowiedział się, jak przebiega zbiór i destylacja kwiatów oraz jak trudne jest prowadzenie dziennika upraw w małym ogródku. Cała epistoła była gęsto usiana odwołaniami do Harr’ego Pottera i zachwytem nad Hermioną Granger. W obszernym liście były tylko dwa nic nieznaczące błędy. „Wojtek powinien być z niej dumny” – pomyślał Witold. Złożył kartkę akurat wtedy, gdy na horyzoncie pojawili się Alinka z Piotrkim. Piegowaty Piotrek podszedł do swej funkcji „latającego reportera” bardzo poważnie – z namaszczeniem uściśnął Witoldowi rękę, po czym wręczył mu swoją wizytówkę, na której (wśród ręcznie namalowanych wymyślnych zawijasów) stało: „Piotr Słobankiewicz, redaktor naczelny i wydawca pisma »Ida, Ida«,„

– Hm – mruknął Witold, bo sam nie wiedział, co mógłby powiedzieć innego. – Ja nie mam wizytówki, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

Piotrek pokręcił głową, choć – co tu ukrywać – był odrobinę zawiedziony. Wizytówka „prawdziwego ministra” to mógłby być rarytas w jego kolekcji.

– W takim razie zapraszam na kakao i ciasto, pani Gertruda przygotowała coś smacznego! – Dzieci rozpromieniły się i weszły do środka.

– Ale tu ładnie! – wykrzyknęła Alinka, rozglądając się po rozległym westybulu.

– Przecież tu jeszcze nic nie ma – zgasił ją Piotrek. – Chyba się pan nie obrazi o to, co powiedziałem? – upewnił się. – Mówię po prostu szczerze, jak to człowiek z prasy...

Witold roześmiał się i zaprowadził ich oboje do kuchni. Pani Gertruda ucieszyła się na widok dzieci.

– Piotruś, Alinka, może pobawicie się trochę z Mireczkiem? On was tak lubi!

Piotrek przecząco pokręcił głową. – Bardzo chętnie, ale teraz jesteśmy tu służbowo...

Pani Gertruda zaniemówiła. – Matko Boska, a co to za służba?

– Publiczna, proszę pani – odparł niezwykle poważnie „człowiek z prasy”.

Pani Kowalowa niepewnie spojrzała na Witolda. – Panie mecenasie, pan oczywiście wie, o co im chodzi?

– Tak. Po prostu przyszli zrobić ze mną wywiad do swojej gazety – uspokoił ją Witold.

Gospodyni, wyraźnie uspokojona, rozstawiła na stole talerzyki i kubki. – No to siadajcie wszyscy! Pan mecenas dostanie kawę, a wy czekoladę z pianką.

– A gdzie jest Mireczek? – zainteresował się Witold, przysuwając sobie krzesło.

Pani Gertruda machnęła ręką. – A kto go tam wie! Znowu sobie ubzdurał, że po pałacu chodzi biała dama...

– Biała dama? – wykrzyknęły dzieci, dławiąc się ciastem.

– Nie ma żadnej białej damy – ucięła gospodyni. – No... chyba że i pan coś widział? – zwróciła się do Witolda, który przecząco pokręcił głową. O duchu Majora nie zamierzał nikomu wspominać, zwłaszcza gdyby miało to trafić do gazety.

– No widzicie! – Pani Gertruda machnęła ręką i zabrała się do zmywania. Nigdy nie marnowała czasu i zawsze miała coś do zrobienia.

Ale Piotrek już skrobał w swoim zeszycie. – To *news* na pierwszą stronę, muszę koniecznie zrobić wywiad z Mirkiem!

– Nie martw się – uspokoiła go pani Gertruda. – Pewnie zaraz tu przyleci.

Piotrek odwrócił zatem stronę swojego zeszyciku i zapytał Witolda tonem niezwykle oficjalnym: – To jaką przygodę chciałby pan przybliżyć czytelnikom?

Witold się zastanowił. – Właściwie nie wiem. Może o wyprawie do Gabonu albo na Wybrzeże Szkieletów?

– O Wybrzeżu Szkieletów, koniecznie – zachwyciła się Alina.

– Co to jest to Wybrzeże Szkieletów? – Piotrek postukał długopisem w zeszyt, żeby wydobyć zeń jeszcze odrobinę tuszu.

– To wybrzeże w Namibii. Nazywane tak ze względu na szkielety wielorybów, które

wyrzuca tu na brzeg morze, oraz liczne wraki statków...

– Wraki? – zainteresował się Piotrek, porzucając bezowocne próby ożywienia długopisu. – Jak w opowieściach o piratach?

– Prawie. To są głównie wraki współczesnych statków, które zatonięły na morzu, przewrócone przez huragan lub uszkodzone. Zazwyczaj masowce, statki z owocami i inne...

– A hiszpańskie galeony? – dopytywał się Piotrek, wyraźnie zachwycony tematem. Czego jak czego, ale poszukiwacza pirackich skarbów jeszcze w Idzie nie było.

– One leżą najczęściej na Morzu Karaibskim, gdzie zatonięły setki takich statków, wiozące miliony sztuk złota, szmaragdy, srebro i inne skarby...

– I ktoś to wyławia? – Piotrek zabrał Alinie ołówkę i ponownie skrobał w zeszyte w zadziwiającym tempie.

– Oczywiście. Są całe syndykaty zajmujące się wydobywaniem złota z wraków... – tłumaczył cierpliwie Witold.

– Syndykaty zbrodni? – nie ustępował chłopiec z niebezpiecznym błyskiem w oku, który mógł sugerować, że w przyszłości zrobi karierę w gazecie typu „Super Express”.

Mossakowski roześmiał się. – Raczej towarzystwa akcyjne. Taka wyprawa po skarb dużo kosztuje – trzeba zatrudnić pletwonurków, wynająć statek, opłacić pozwolenie u władz danego kraju, jeśli wrak leży na jego wodach terytorialnych, i wreszcie szukać.

– I znaleźć! – dodał Piotrek.

– To jest właśnie najtrudniejsze. Często dane o położeniu wraku są tylko orientacyjne. Zwłaszcza jeśli chodzi o dawne statki. Zdarzało się również, że kapitanowie kłamali, podając współrzędne...

– Dlaczego? Żeby zmylić ewentualnych poszukiwaczy?

– zapytał Piotrek, podnosząc głowę znad zeszytu.

Witold tylko skinął głową, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo w progu kuchni stanęła Mila.

– O, sorry, nie wiedziałam, że jesteś zajęty – zrobiła taki gest, jakby chciała się wycofać.

– Wchodź, rozmawiamy o skarbach Skrzyni Dayego Jonesa! – wesoło powiedział Witold, wskazując jej wolne miejsce przy stole.

– Kogo? – nie zrozumiała Alinka.

– O skarbach zatopionych w morzu, tak je nazywali – Skrzynią Dayego Jonesa – marynarze. Wierzyli, że legendarny pirat Davy pilnuje swoich skarbów. Co jest do pewnego stopnia prawdą.

Mila usiadła i naląła sobie kawy. Zasluchana pani Gertruda nie zwróciła na nią uwagi. Gospodyni przerwała nawet wycieranie talerzy, co nigdy jej się nie zdarzało, i wyglądała na całkowicie pochłoniętą opowiadaną przez pryncypała historią.

– Co to znaczy? – wypytywał Piotrek. – Że ten pirat nie pozwala wydobywać złota?

– Coś w tym rodzaju – stwierdził Witold. – Przekonał się o tym jeden z najbardziej znanych poszukiwaczy skarbów MelFisher...

– Kim on był? – zapytała Alinka, najwyraźniej wciągnięta w opowieść.

– Początkowo nikim szczególnym, bodaj instruktorem nurkowania, ale w latach 70. stał się prawdziwym łowcą skarbów – odnalazł legendarny statek „Nuestra Señora de Atocha”!

– Jak ładnie się nazywa! – emocjonowała się dziewczynka.

– Dlaczego „legendarny”? – wypytywał Piotrek, obgryzając ołówek Aliny. – Nigdy o nim nie słyszałem...

– „Atocha” była jednym ze statków hiszpańskiej flotylli, która we wrześniu 1622 roku opuściła Hawanę na Kubie i z ładunkiem złota o wartości kilku milionów dublonów wyruszyła do kraju...

– Miliony dublonów? Ile to jest warte teraz? – domagał się odpowiedzi chłopiec.

– Podobno ponad pół miliarda dolarów... – Wszyscy westchnęli i zawiesili wzrok na Witoldzie.

– Wyobraźcie to sobie: galeony płyną w szyku, na morzu spokojna, słoneczna pogoda. Żagle rozwinięte, kapitanowie na mostku, załoga uwija się przy pracy. Statki mijają Florydę, jeszcze trochę i znajdą się na pełnym oceanie. I wtedy zrywa się huragan...

– Naprawdę? – nie wytrzymała pani Gertruda.

– Tak. To zresztą nic dziwnego, gdyż wrzesień to w tamtej okolicy szczyt okresu huraganów. A musicie wiedzieć, że przy brzegach Florydy morze jest szczególnie niebezpieczne, to istne cmentarzysko statków – liczne zdradliwe mielizny i keysy...

– Co to są te keysy? – dopytywał się Piotrek.

– To małe wysepki u brzegów półwyspu, na przykład znany wszystkim z filmów Key West, miejsce, które szczególnie upodobał sobie Ernest Hemingway. Mówi się też – tu Witold zwrócił się do Mili – że Key West to miasto kotów, potomków słynnego sześciopalczastego kota Hemingwaya...

– Kot Hemingwaya miał sześć palców? – zainteresowała się Alina, patrząc na Mile.

Pani sołtys wzruszyła ramionami. – Tak głosi legenda literacka, ale czy to prawda...

– Koty z Key West mają coś wspólnego z kotami z Idy, choć bynajmniej nie chodzi o podobną liczbę palców.

– Witold pogłaskał Jodża, który właśnie w tym momencie wdrapał mu się po nogawce spodni na kolana i zaczął wypijać resztkę kawy z filiżanki. – Nie krępuj się, Jodžo, i częstuj – powiedział do kotka i kontynuował przerwana myśl. – Te koty, tak jak ma to miejsce i tutaj, same wybierają sobie właścicieli...

Wszyscy się roześmiali, a zachęcony powszechną aprobatą Jodžo zaczął zaglądać do pozostałych filiżanek.

– Nie opowiedział pan do końca o tej katastrofie – sprowadził Witolda na właściwą ścieżkę Piotrek.

– Właśnie! Bardzo przepraszam za kocią dygresję! Przerwaliśmy w chwili, kiedy rozpoczyna się straszliwa burza – osiem statków huragan rzuca na skały. Szarpie żagle, wyrывa ster, uniemożliwia ratunek... Od uderzenia wiatru trzeszczą i pękają kadłuby... Wyobraźcie sobie tę

sytuację: ludzie krzyczą, wzywają boskiej pomocy, ale już wiedzą, że ratunek jest niemożliwy... Statki toną, ginie ponad 500 marynarzy, prąd morski rozrzuca szczątki po dnie. Skarb przewożony na pokładzie „Atochy” pogrąża się w morzu „na zachód od najdalszego Matecumbe Key” – jak napisano w dokumentach.

– I dopiero po 300 latach odnaleziono ten wrak? Nikt go nie szukał wcześniej? – nie rozumiała pani Gertruda.

– Oczywiście, że szukali – roześmiał się Witold. – Przez cały czas szukano, w okolicy jednego z dwóch keysów zwanych Matecumbe... Tylko że ten adres był błędny...

– Jak to? Czy dokumenty kłamały? Celowo, jak pan to mówił? – Młody dziennikarz przerwał notowanie i zaczął sobie mierzwić czuprynę na czubku głowy. Elegancka i ślicznie ubrana Alinka spojrzała na niego z wyrzutem.

Witold uśmiechnął się, odwracając głowę w kierunku Mili. Pani sołtys w zamyśleniu mieszała łyżeczką w prawie pustej filiżance i wyraźnie nad czymś się zastanawiała.

„Może myśli, jak to było zostać wybranką pirata” – zastanowił się Mossakowski, ale dzieci szybko przywołały go do rzeczywistości, wołając o dokończenie historii o poszukiwaczu skarbów.

– Nie – powiedział więc szybko. – Przyczyna była zupełnie inna, ale poznał ją dopiero Fisher i dlatego to on odnalazł „Atochę”...

– Niech pan opowie – prosiła Alinka, a miny pozostałych wyrażały, że są tego samego zdania. Witold był w związku z tym w siódmym niebie – niczego tak nie lubił, jak opowieści o piratach. Więcej – był przekonany, że gdyby urodził się marne 300 lat wcześniej, przystąpiłby do tego fachu bez wahania! Teraz jednak, po wypiciu kolejnego łyka mocno już chłodnej kawy, kontynuował.

– Dobrze. Ale najpierw jedna uwaga. Piotrek, tobie się wydaje, że współczesne szukanie skarbów to sam romantyzm i przygoda na morzu... Tak nie jest. To często siedzenie w archiwach i bibliotekach, wypytywanie specjalistów z różnych dziedzin. Czasem jest to mozolne i bezowocne, ale zazwyczaj przynosi efekty. I Fisherowi się poszczęściło. W archiwum morskim w Sewilli uzyskał ważną informację...

– Jaką? – Tym razem nie wytrzymał Piotrek.

– Dowiedział się, że w XVII wieku mianem Matecumbes Keys określano wszystkie wysepki u wybrzeży Florydy, a nie tylko te dwie, które tak nazywa się dzisiaj. Zrozumiał, że „Atocha” leży 100 mil na zachód od miejsca, gdzie jej szukano...

– I znalazł skarb? – spytała pani Gertruda.

– Tak. Złoto i srebro w sztabach, biżuterię z perłami i szmaragdami... Tylko że radość nie trwała długo. Władze Florydy pożałowały skarbu i zaczęły się procesować z Fisherem... W dodatku w katastrofie holownika zginęło jego dwoje dzieci... Widzicie już, co miałem na myśli, mówiąc o Davym Jonesie?

Wszyscy chwilę milczeli, zastanawiając się nad jego słowami. Poszukiwanie skarbów, ta

wspaniała przygoda, miało swoje ciemne strony.

– A pan widział kiedyś coś takiego? – zapytał Piotrek.

– Tak. Raz. – Witold uśmiechnął się do swoich wspomnień.

– Proszę opowiedzieć – domagała się pani Gertruda.

– No dobrze. Miałem kolegę, Irlandczyka mieszkającego w USA, którego rodzina od pokoleń żyła ze skarbów. Mieli firmę o wdzięcznej nazwie See Hole i poławiali złoto na wszystkich morzach i oceanach. Zaczęło się podobno od tego, że babcia Pata jeszcze w latach 20. znalazła na plaży w Miami skrzynkę pełną biżuterii i monet. Poznaliśmy się na jakimś szczyście europejskim. Pat całkowicie wyroził się ze swojej rodziny. Skarby niezbyt go interesowały, ale każdy urlop spędzał ze swoją – jak ich nazywał – rodziną Addamsów. Uważał ich wszystkich za lekko stukniętych. Zainteresowało mnie to niesamowicie. Strasznie chciałem z nim pojechać, ale nie było łatwo go namówić. Musiał też długo pertraktować z rodziną, która z założenia jest nieufna i podejrzliwa, co ponoć gwarantuje sukces w tym biznesie. Wreszcie się zgodzili. Polecieliśmy na Bahamy, a stamtąd z przylądka Frances Viejo na Haiti łodzią wypłynęliśmy na morze. Wtedy się zorientowałem, czego szuka rodzinka Pata...

– Czego? – dopytywał się Piotrek.

– Stadców, które zatoneły w Silver Banks, wąskim i niebezpiecznym przejściu wśród raf...

– Czy tych statków było dużo? – zapytała Alinka.

– Mnóstwo! Ten rejon Bahamów jest szczególnie niebezpieczny, wiele małych wysepek, mielizny, skały. Tam również szaleją huragany, toteż statków zawsze rozbijało się sporo. Oni szukali konkretnego statku: „San Pablo de Burgos”, który zatonął w Silver Banks w połowie XVI wieku... Zdobyli manifest okrętowy wymieniający niezliczone skarby znajdujące się na jego pokładzie – sztaby złota i srebra, biżuterię oraz barwniki: koszenilę i indygo. Nie wiem, jak weszli w posiadanie tych dokumentów, być może nielegalnie, ale mieli także informację, że „San Pablo” zatonął „10 leguas na wschód od Los Abrojos”, jednego z najniebezpieczniejszych miejsc w tej okolicy. Ponieważ stara hiszpańska miara legua liczyła około 7 kilometrów, poszukiwania rozpoczęto 70 kilometrów na wschód od wysepki. Bardzo mi się to podobało – atmosfera podniecenia i napięcia, oczekiwania na sukces... – I co? – zapytała po raz pierwszy Mila, która do tej pory w milczeniu skubała pierniczki pani Gertrudy.

– Nic! Na wyznaczonym obszarze nic nie było. Drobne skały, rafa. Być może statek został zepchnięty na głębsze wody albo przez te wszystkie lata jego szczątki zostały całkowicie przykryte przez piasek i koralowce...

– Nie próbowaliście szukać specjalistycznym sprzętem? – wypytywał Piotrek.

– Próbowaliśmy. Nie odniosło to żadnego skutku. Nurkowie schodzili pod wodę, przeczesali spory obszar... Nic nie znaleźli. Ponieważ See Hole nie była tak znanym przedsiębiorstwem jak firma Fishera i nie mogła sobie pozwolić na wielomiesięczne poszukiwania, dość szybko ogłoszono hasko wyprawy...

– Może szukaliście w złym miejscu? – spekulowała Mila. – Tak jak poprzednicy Fishera?

Może nie chodziło o Los Abrojos, tylko o jakąś inną wysepkę... Na przykład dokument był niepełny, a prawdziwa informacja brzmiała „10 leguas od Los Abrojos na wschód i 10 leguas na północ”.

Witold roześmiał się. – Nie pomyślałem o tym, ale to prawdopodobne. Nie widziałem zresztą tego dokumentu, więc trudno mi powiedzieć, jak wyglądał. Ale wakacje były cudowne... Takiego dreszczu emocji nie doznałem nigdy w życiu, to jednak bardzo wciąga... Zrozumiałem też to, co powiedział o zatopionych statkach historyk Robert Weddle: „Chciwość kupców, pochopność żeglarzy, zawiść królów”... Spróbujcie sobie to wyobrazić – od czasów odkrycia Ameryki na morzach i oceanach rozgrywała się bezpardonowa walka o bogactwo: Hiszpanie i Portugalczycy łupili skarby Nowego Świata, a angielscy i francuscy piraci polowali na złotonośne floty. Prawdziwą Wyspą Skarbów i siedzibą korsarzy było Portobelo w Panamie, miasto, które spotkał malowniczy i wręcz biblijny koniec...

– Jaki? – spytała zasłuchana Alinka.

– Zostało zatopione przez morze... – Witold uśmiechnął się po raz kolejny.

Piotrek zapamiętał pisał w zeszyciku. – Fantastyczne historie! – stwierdził z zadowoleniem.

– Gazeta nigdy nie miała tak dobrego materiału! Muszę jeszcze przepytac Mirka na temat tej białej damy i mam komplet do nowego numeru!

Podziękował wylewnie Witoldowi i nie zwracając uwagi na Alinę, wybiegł z kuchni.

– Biała dama znów się ukazała? – zaintrygowała się Mila.

– Podobno... A wiesz coś o tym? – Przez chwilę chciał jej opowiedzieć o duchu Majora, ale ugryzł się w język. Niech to będzie tajemnicą byłych i obecnych właścicieli Idy.

– Tekla mi mówiła, że jedna z jej prababek cierpiała na uciążliwe migreny i często wieczorami przechadzała się w koszuli nocnej po parku, żeby uwolnić się od bólu głowy... A że ta prababka pewnego dnia zniknęła z oficerem... to sam rozumiesz...

– Taak. Siła plotki jest straszna – i zupełnie jakby to mu coś przypomniało, wyciągnął z kieszeni list Aliny.

– Sprawdziłem twój list. Prawie nie ma błędów. Możesz go już wysłać.

Lokalna Hermiona Granger wstała i znowu niepewnie zaczęła kręcić różdżką, którą wyjęła z kieszeni. – A... a może pan by wysłał? Pan często jeździ do miasta, a u nas nie ma poczty...

– Oczywiście. – Witold schował list. – Jak sobie życzysz.

– Ale nie powie pan nikomu? – zapytała jeszcze dziewczynka, stojąc w drzwiach.

Witold położył dłoń na sercu. – Ależ skąd te podejrzenia? To korespondencja prywatna i tajna. Będę jej strzegł jak Davy Jones!

Uspokojona tym zapewnieniem Alinka pożegnała wszystkich radośnie i pobiegła za Piotrkim na poszukiwanie Mirka.

– Ja tak słucham i słucham, o czym państwo mówią – odezwała się niespodziewanie pani Gertruda. – I nadziwić się nie mogę, że dorośli i rozsądni ludzie ulegają takim dziecinnyfanaberiom...

– Może nie jesteśmy tak dorośli i rozsądni, jak się wydaje – zastanowiła się Mila.

– Pani Gertrudo, filozof powiedział, że każdy powinien pielęgnować w sobie wewnętrzne dziecko – dodał Witold.

– Ciekawe, co to był za filozof – nie rezygnowała gospodyni. – Pewnie jakiś Niemiec!

Mila i Witold roześmiali się, bo utrafiła w sedno.

– A jak tam idą prace w wieży? – zapytała po chwili Mila, przypominając, że właśnie po to – na oględziny przyszłego obserwatorium astronomicznego – została zaproszona.

– Dźwig ma być za chwilę. – Witold popatrzył na zegarek. – Jak chcesz, to możemy zaraz tam iść i zobaczyć.

– Świetnie! Właśnie po to do ciebie przyszedłam. Chcę być przy tym epokowym wydarzeniu. Tekla też przyjdzie.

– Znakomicie! Pani Gertrudo, wychodzimy! – rzucił przez ramię do gospodyni, która z obszernego kredensu wyciągnęła książkę kucharską i zatopiła się w lekturze.

– A idźcie sobie! – powiedziała, wzruszając ramionami. – Na obiad będzie potrawka a la Trójkąt Bermudzki! Zainspirowały mnie pańskie opowieści... I zupa Davy Jones...

– Czy to oznacza, że w odmětach tego obiadu ktoś zginie? – dopytywał się Witold.

– Będzie kurczak w ostrym sosie i zupa rybna – skapitulowała gospodyni.

Kiedy dotarli do wieży, dźwig właśnie wjeżdżał na teren parku. Nie wyglądał zachęcająco – najwyraźniej pamiętał lepsze czasy i były to prawdopodobnie czasy „propagandy sukcesu”. Na obłuszczonej z żółtej farby boku widniał na wpół zatarty napis „Kran”, który niedwuznacznie sugerował pochodzenie urządzenia.

– Wojtek byłby zachwycony – mruknął Witold do wpatrzonej w dźwig Mili. – Kolejna ruska rzecz do jego kolekcji!

– Ja się tylko zastanawiam, czy to jest bezpieczne... Dźwig wygląda jak eksponat muzealny... – powątpiewała, widząc jakoś tego sprzętu.

– To nic! – stwierdził niezłomnie Witold. – Zamierzam wjechać nim na górę!

– Chyba żartujesz – próbowała go powstrzymać Mila, ale Witold już biegł do pana Kowala, który machał do niego z szoferki. – Zapomniałaś, że mam skłonność do sportów ekstremalnych i życia na krawędzi?

– Ale chyba nie na krawędzi ruskiego dźwigu? – spytała z przekąsem, a on się roześmiał.

– Może spróbujesz? – zaproponował jeszcze, lecz Mila przecząco pokręciła głową.

– Wolę nie! Damie nie wypada brać udziału w podobnie nieprzystojnych rozrywkach!...

Witold i mąż pani Gertrudy wskoczyli na służący do podnoszenia balkonik, a operator – mężczyzna o filozoficznym wyrazie twarzy i sumiastych wąsach – zaczął unosić ich w kierunku małego okienka wieży.

Mila zadarła głowę do góry i w napięciu śledziła podnośnik; nie zauważyła nawet pani Tyczyńskiej, która znienacka pojawiła się w pobliżu. Tekla miała na sobie wiosenny płaszcz, kapelusz i eleganckie rękawiczki. Pomachała do Witolda, który właśnie zbliżył się do okna i

usiłował przez nie zajrzeć.

– Tak się zastanawiam... – powiedziała zamyślona. Mila ocknęła się. – Przepraszam, nie zauważyłam cię – wyjaśniła, wskazując ręką na balansujący w powietrzu balkonik.

– Nie szkodzi, nie mam żalu – uśmiechnęła się dziedziczka. – To pasjonująca sprawa i liczę na to, że nie spadną...

– Ja też mam taką nadzieję – zapewniła Mila. – Ale nad czym się zastanawiasz?

– Czy powinnam im powiedzieć, gdzie jest wejście na wieżę...

Mila spojrzała na nią ze zdumieniem. – A wiesz, gdzie jest?

Tekla wzruszyła ramionami. – W piwnicy... Tylko nikt mnie o to nie pytał!

– To Witold nie przyszedł do ciebie w sprawie tej wieży? – zdziwiła się Mila, która wielokrotnie to proponowała i była pewna, że Mossakowski z jej rady skorzystał.

– Widocznie proste rozwiązania go nie interesują, co zresztą dobrze o nim świadczy – roześmiała się starsza pani.

– Powiesz im? – Mila wskazała ręką na dźwig i Witolda, który wpełznąwszy okno do środka, przełaził właśnie przez futrynę.

– Nie... Za dobrze się bawią – uśmiechnęła się Tyczyńska.

Kiedy Witold zniknął w oknie, Tekla skinęła na Milę i obie podeszły pod ścianę budynku. – Myślisz, że możemy wejść bez pytania? – zastanowiła się dziedziczka.

Mila wzruszyła ramionami. – Nie sądzę, żeby Witold miał coś przeciwko...

Pani Tyczyńska zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi balkonowe i weszły do pałacu przez taras.

– Ależ tu pięknie – zachwyciła się, wchodząc do hallu, wyłożonego już kamiennymi płytkami.

– Witek bardzo się stara... – pochwaliła go pani sołtys z dumą.

– Nawet udało mu się dokładnie odtworzyć wzór!

– dziwiła się Tekla, dotykając podłogi.

Z kuchni wyszła, zwabiona hałasem, pani Gertruda. Na ich widok rozpromieniła się. – Witam panią dziedziczkę! Przyszła pani popatrzeć na ten idiotyzm?

– W pewnym sensie – uśmiechnęła się pani Tekla.

– Możemy wejść do piwnicy?

– Oczywiście. – Gospodyni wskazała im drogę do kuchni.

– To drzwi do piwnicy są w kuchni? – zdziwiła się Mila.

– Byłam tam kilka razy i nie zauważyłam ich.

– Są za piecem – wyjaśniła pani Gertruda. – Weszliśmy tam nawet z panem mecenasem, ale piwnica okazała się pusta. Same dziurawe beczki i trochę drewna...

– Kiedyś była to piwnica na wino – wyjaśniła dziedziczka. – Bardzo się cieszę, że żadna beczka nie ocalała. Z tego co pamiętam, wino było wstrętne, smakiem przypominało zleżały ocet

– ojciec dał się naciągnąć jakiemuś włoskiemu spryciarzowi, który sprzedał mu kiepski trunek w hurtowej ilości.

Pani Gertruda i Miła się roześmiały. Tekla zapaliła podaną przez gospodynię latarkę i otworzyła drzwi. – No, drogie panie – w imię Boże! – i jako pierwsza weszła do środka.

Piwnica była obszerna i zarzucona różnymi gratami. Półokrągłe sklepienie nadawało jej niesamowity i nieco bajkowy wygląd.

– Fantastyczne, jak w jakiejś włoskiej tawernie – szepnęła Miła, ale pani Tekla nie dała jej dużo czasu na rozglądanie się.

– Pomóż mi odsunąć ten szmelc – rozkazała. Miła posłusznie zabrała się do oczyszczania kąta pod ścianą z resztek starych balii i beczek. Po kilku minutach wytężonej pracy odsłoniły się małe drzwiczki z zardzewiałą klamką.

– Na pewno są zamknięte – wyraziła wątpliwość Miła.

– Nie sądzę. Nigdy w nich nie było zamka, tylko taki zatrask w klamce. – Pani Tyczyńska dłubała przy drzwiach kawałkiem drutu.

– *Voilà* – krzyknęła zadowolona po chwili. Rzeczywiście drzwi stały otworem. – Teraz twoja kolej – powiedziała do Mili. – Musisz sama wejść na górę, bo to nie na moje zdrowie...

Miła bez przekonania wzięła latarkę. – Czyja wiem? Jeżeli Witek z panem Kowalem schodzą z góry, to mogą się śmiertelnie wystraszyć... – Wszystkie te obiekcje okazały się zbędne, gdyż w tej chwili na schodach wewnątrz wieży zadudniły kroki i w drzwiach pojawiła się zdumiona twarz Witolda.

– Co wy tu robicie? – wykrzyknął, wchodząc do piwnicy.

– Przyszliśmy od drugiej strony – że tak powiem – roześmiała się pani Tekla. – Widzę, że schody są w dobrym stanie...

– U góry trochę przegniły, ale można to bez trudu zreperować – dodał pan Kowal, który w tym momencie także ukazał się w pomieszczeniu.

– Czemu mi pani nie powiedziała, że drzwi na wieżę są w piwnicy? Nie musiałbym organizować tego cyrku z dźwigiem... – zwrócił się z wymówką Witold.

– Bo pan nie pytał – uśmiechnęła się pani Tekla. – No, ale za to przeżył pan przygodę w stylu „National Geographic Explorer”!

– Niech pani lepiej zobaczy, co znaleźliśmy – wtrącił się mąż gospodyni, wlokący po schodkach jakieś spore pudło, a właściwie dość zmurszałą skrzynkę.

– A cóż to za diabeł? – zdziwiła się pani Kowalowa, gdy wraz z Witoldem wnieśli ją do kuchni.

– To pewnie jakiś skarb rodzinny – wydyszał Witold, gdyż skrzynka była dość ciężka.

Pani Tekla przecząco pokręciła głową. – Nigdy tego nie widziałam, naprawdę...

– Musiała stać na wieży ze 60 lat – ocenił fachowo Kowal. – Przegniła od deszczu, bo tam dach przecieka i trzeba to będzie naprawić – zwrócił się do Witolda, który skinął potakująco głową.

– To co? – zwrócił się do hrabiny. – Otwieramy? Godzi się pani?

Pani Tekla wzruszyła ramionami. – Kupił pan pałac z dobrodziejstwem inwentarza, więc chyba i ta skrzynka należy do pana... Oby tylko nie było w niej granatów, bo w czasie wojny stacjonowali tu partyzanci...

Witold również nie był zachwycony tą perspektywą.

– Też mam taką nadzieję, bo w przeciwnym razie koszty ludzkie mogą być wysokie – powiedział, majstrując nożem przy zamku.

– Tu trzeba łomu – sprzeciwił się mąż gospodyni i czym prędzej postarał się o to pożyteczne urządzenie. Po podważeniu wieka zebranych w kuchni ukazała się zawartość – na wierzchu leżało kilka rodzinnych albumów, które pani Tekla chwyciła ze zdumionym okrzykiem.

– Myślałam, że Rosjanie to spalili – zawołała uszczęśliwiona. – Cudowna niespodzianka, naprawdę!

– Cieszę się, że mogła je pani odzyskać – powiedział Witold, odsłaniając kolejne warstwy skarbów ze skrzynki. Jako następny pojawił się starannie zapakowany porcelanowy serwis. Pani Tekla ponownie wydała okrzyk zaskoczenia.

– Słuchajcie! Ja wiem, co to jest! To musiał schować mój brat, tuż po wkroczeniu Rosjan! Patrzcie na daty na gazetach! – Istotnie gazety, którymi owinięto porcelanę, nosiły daty z końca września 1939 roku.

– Nie niszczy ich. – Witold zaprotestował przeciwko darciu gazet. – To białe kruki! Ja w każdym razie chętnie je sobie poczytam!

– Proszę bardzo. – Pani Tekla zaczęła odkładać opakowania na bok. – Jak pan sobie życzy. Popatrzcie, jaki piękny ten serwis! – Rzeczywiście był uroczy. Przeznaczony do herbaty na sześć osób, został wykonany z delikatnej porcelany w subtelny wzorek z błękitnych chabrów.

– Moja matka sprowadziła go z Limoges! Była do niego niezwykle przywiązana. Podejrzewam, że brat ocalił go wyłącznie ze względów sentymentalnych, bo wierzcie mi, w tym domu mieliśmy wiele cenniejszej porcelany... Niestety... Jak mniemam, „przejechały po niej tanki”, jak słusznie napisał pan Miłosz...

– Piękne... – powiedziała Mila, oglądając z bliska czajnik do herbaty. – Aż się boję dotykać, takie to delikatne...

– Moje dziecko – roześmiała się starsza pani. – Ta porcelana jest trwalsza, niż można przypuszczać... Przetrwała mnie i mojego brata, Sowieców, a nawet lata rządów kołchozu pegeerowskiego... I ty jej nie zaszkożysz...

– Ciekawe, co tu jeszcze mamy? – zainteresował się Witold, wyciągając niewielki przedmiot owinięty w kilka warstw gazet i dodatkowo w haftowany obrusik. Gdy wreszcie z ogromną ostrożnością zdjął ostatnią zabezpieczającą warstwę, zobaczył niewielkie naczynie, przypominające kielich, wykonane z bladezielonego agatu. Od typowego pojemnika na wino różniła go tylko dziwaczna przykrywka Witold oglądał znalezisko ze zdumieniem, bo nigdy nie widział czegoś podobnego.

– A cóż to znowu jest? – zainteresowała się pani Gertruda, odbierając mu naczynie i patrząc na nie pod światło. Dziwny kielich świecił jakimś niezwykłym blaskiem.

– Proszę pani? – Witold usiłował zwrócić uwagę pani Tekli, zajętej przeglądaniem albumów, na ostatnie odkrycie. – Co to jest?

– A, to! – machnęła lekceważąco ręką. – To jest święty Graal...

– Co? – krzyknęli jednocześnie i, co tu ukryć, niezbyt grzecznie – Witold i Mila.

Pani Tekla ponownie wykonała ruch ręką, który miał najwyraźniej oznaczać, że dystansuje się od całej sprawy. – Tak podejrzewałam, że go tu znajdziemy... Jak wiecie, mój ojciec, Panie świeć nad jego duszą, był człowiekiem mądrym, ale nieco ekscentrycznym... Za młodych lat studiował na Oxfordzie i zafascynowała go literatura średniowieczna... Te wszystkie *Beowulfy* i *Parcivale*... Zbierał te książki i zaczytywał się w nich do zwariowania... Zresztą z dzisiejszej perspektywy moich 80 lat nie jestem pewna, czy on rzeczywiście nie był wariatem... Wtedy jednak mówiło się, że papa jest oryginalny... W każdym razie mój dobry ojciec wmówił sobie, że odszuka świętego Graala... Co bynajmniej nie było trudne...

– Pani chyba żartuje – zaprotestował Witold, który miał wrażenie, że się przesłyszał. – Słabo znam opowieści o rycerzach Okrągłego Stołu, ale wydawało mi się, że ten Graal to był raczej unikat.

– Jak kiedy, mój chłopcze – powiedziała starsza dama i poprosiła zasłuchaną panią Gertrudę o kawę.

Mąż gospodyni, znudzony opowieściami o Graalach, wymknął się tymczasem z kuchni. Bardziej niż fantasmagorie ziemiaństwa polskiego interesowały go sprawy praktyczne – trzeba było w końcu odprawić operatora dźwigu, który czekał na swoje pieniądze.

– Może w czasach Artura był tylko jeden Graal... ale już w średniowieczu każde szanujące się miasto miało jakiś...

– Zgadza się! – potwierdziła Mila. – Ja widziałam Graala w Walencji w katedrze... Tylko że tamten był z onyksu, nie z agatu...

Pani Tyczyńska zgodziła się z jej słowami ruchem głowy. – Graali jest pełno w Europie. W Hiszpanii jest kilka, podobnie we Francji. Tego mój ojciec przywiózł z Anglii... Należał do jakiegoś szalonego szkockiego lorda... Zdaje się, że odkryli wspólną namiętność i ten lord podarował kielich mojemu ojcu w spadku... Tato przechowywał Graala w swoim gabinecie – to ten pokój z labiryntem na podłodze i „Mszą świętego Idziego”, jak to słusznie wysłuchiwał pan Mossakowski...

– Boże święty! – wykrzyknął zafascynowany Witold. – To cudowna historia! Muszę koniecznie wprawić te witraże... . Może pani być pewna, że doprowadzimy gabinet do stanu dawnej świetności...

– Może się pan nie wysilać, jeśli o mnie chodzi... Ta namiętność mojego ojca zawsze mi się wydawała dość głupia. – A widząc, z jakim wniebowziętym wyrazem twarzy prawnik ogląda kielich, dodała: – Niech go pan sobie weźmie, skoro się panu tak podoba...

Witold najwyraźniej nie wierzył swemu szczęściu, bo zwrócił na nią pełen zaskoczenia wzrok. – Naprawdę? Nie chce go pani zatrzymać? Na pamiątkę po ojcu?

Starsza pani nie wiadomo który już raz wzruszyła ramionami. – Mój biedny papa znalazłby w panu znakomitego następcę... Widzę, że szaleństwo zaczyna pana opanowywać, drogi chłopcze... Niech panu pójdzie na zdrowie, skoro pana to bawi...

– Ale to... Graal... – nie ustępował Witold. Tyczyńska popatrzyła na niego jak na zbiegłego klienta kliniki psychiatrycznej.

– Naprawdę pan w to wierzy? Takich kielichów na świecie jest pewnie ze sto tysięcy i każdy ma ambicje być tym prawdziwym... To tylko urocza bajeczka, w którą wierzył mój nieszczęsny ojciec... Ale tamte czasy były inne... Nie mogę zrozumieć, jak tak rozsądnie wyglądający młody człowiek może ulegać temu obłędowi...

– Trzeba w końcu czemuś ulec – roześmiał się Witold. – A „gralizm” jest bardziej elegancki niż na przykład alkoholizm...

Pani Tekla uniosła brwi ku górze, ale nie skomentowała tego ostatniego stwierdzenia. – Mam nadzieję, że zgodzi się pan, że Mili też musimy coś podarować?

Witold oczywiście nie miał nic przeciwko, zwłaszcza że był całkowicie pochłonięty oglądaniem Graala. Agat, z którego go wykonano, był naprawdę piękny – jasnozielony i poprzecinany bladymi żyłkami. Miał zaledwie 20 centymetrów wysokości, ale sprawiał wrażenie niezwykle dostojne.

– Miła, mam nadzieję, że przyjmiesz ode mnie ten serwis – zapytała pani Tekla, odwracając uwagę pani sołtys od Witolda i jego kielicha. – Ty pijesz dużo herbaty, to ci się przyda...

Miła była równie uszczęśliwiona, co przed chwilą Witold. Nie mogła nacieszyć się prezentem i po kolei oglądała wszystkie filizanki, spodki i dodatkowe akcesoria – pękaty czajnik, cukiernicę, miecznik i solidny podgrzewacz, który zamykał komplet. Wszystko to było w doskonałym stanie, zachowane mimo zawieruch historii.

Starsza pani sięgnęła na dno skrzynki i wydobyła ostatnią schowaną w niej rzecz. Był to niewielki portrecik przedstawiający młodą dziewczynę czeszącą włosy przed oknem.

– Mój Boże! – powiedziała z uśmiechem i zapatrzyła się na obrazek. – Moja holenderska dziewczynka! Ten obrazek przywiózł mi ojciec z Antwerpii, obaj z dziadkiem interesowali się malarstwem holenderskim. Przez całe lata wisiał nad moim łóżkiem... Pewnie nie uwierzycie, ale gdy go ostatni raz widziałam, miałam tyle lat, co ta namalowana dziewczyna... No cóż... Ja się zestarzałam, a ona wciąż czesze swoje włosy... Na tym właśnie polega potęga sztuki... – Chwilę milczała z rozmarzeniem, wpatrując się w niewielki portrecik, a potem zwróciła się do Witolda: – Myślę, że pozwoli mi go pan zatrzymać? Witold postawił na stole Graala i spojrzał na nią z przykrością. – Naprawdę, uważa mnie pani za jakiegoś wampira! – oznajmił, najwyraźniej dotknięty do żywego.

– Przecież to wszystko są pamiątki po pani rodzinie, nic nie musiała pani nam ofiarować...

Pani Tekla uściśnęła mu ramię, próbując go udobruchać. – Niech się pan nie gniewa...

Wyraziłam się niezręcznie, ale naprawdę... Pałac należy do pana i zgodnie z prawem nie mogę niczym, co się w nim znajduje, rozporządzać...

– Może pani wszystkim rozporządzać, a zwłaszcza tym, co jest w tej skrzynce... – zdecydowanym ruchem uciął te rozważania Witold.

– No to dobrze! – powiedziała pani Tekla. – Witek dostaje Graala, Mila serwis, a albumy i portret zostają dla mnie... W ten sposób jest mniej więcej sprawiedliwie. I poproszę o kieliszek nalewki pani Gertrudy...

W tym momencie w kuchni pojawił się mąż gospodyni.

– Panie mecenasie, zapłaciłem chłopu z dźwigiem. Teraz niech się pan zastanowi, gdzie budować schody...

– Chce pan budować schody na zewnątrz wieży? – zapytała pani Tyczyńska. – Nie boi się pan, że to popsuje wizualny układ domu?

Witold skinął głową. – Też mi się tak wydaje, ten pomysł nie był najlepszy... Chcę zrobić wejście od strony domu...

– No to musimy obejrzeć pokoje na piętrze – podsumował pan Kowal.

– Chodźmy od razu – zdecydował Witold. – Nie ma na co czekać. Idziesz, Mila? – Pani sołtys dopiła kawę i rażno wstała od stołu. Gospodyni i była dziedziczka zdecydowanie odmówiły wyprawy na wyższe piętra.

Kiedy znaleźli się na górnym balkoniku, z którego prowadziły drzwi do wszystkich pomieszczeń, pan Kowal fachowo rozejrzał się po pokojach.

– A więc, panie mecenasie, sytuacja jest jasna – powiedział po chwili, notując coś w swoim podręcznym kajecie. – Wieża sąsiaduje z dwoma pomieszczeniami: pańską sypialnią oraz małym pokojem do pracy, który znajduje się po drugiej stronie.

– No, nie będziemy ci raczej łązić po sypialni... – stwierdziła Mila, uśmiechając się.

– Cóż... Byłoby to spełnienie marzeń Mireczka o zjawach w księżycowe noce – powiedział Witold, wchodząc do niewielkiego pomieszczenia, w którym do tej pory studiował plany architektoniczne i prowadził wielogodzinne dyskusje o interesach przez telefon. – Przenieś stąd swoje rzeczy do pokoju nad loggią, nawet lepiej, bo będę bliżej labiryntu, natomiast sypialni wolałbym nie ruszać, bo jest stamtąd przepiękny widok...

– Naprawdę? – zainteresowała się Mila.

– Tak. Zapraszam, możesz się przekonać – i wskazał jej drzwi. Pan Kowal tymczasem rozpoczął pomiary ściany w gabinecie.

Mila weszła do pokoju z wykuszowym oknem. – Rzeczywiście, ładnie tu! – popatrzyła na pochyły sufit mansardowego dachu i skromne urządzenie pomieszczenia. Na ścianie wisiała oprawiona w ramki XVII-wieczna mapa Morza Karaibskiego, kilka rycin przedstawiających galeony, a na zastawionych książkami półkach uwagę zwracało astrolabium i duży sekstant.

– Piękne – zachwyciła się Mila, dotykając z atencją astrolabium. – Skąd je masz?

– Kupiłem na aukcji w Sewilli. Zbieram stare mapy i książki o morzu.

Mila przyjrzała się półkom: znajdowały się na nich zaczytane wydania Conrada (głównie po angielsku), XX-wieczne wydanie *Moby Dicka* i cały rząd powieści Rafaela Sabatiniego, również w oryginale.

– Lubisz Sabatiniego? – zapytała, a właściwie stwierdziła, Mila, dotykając grzbietu *Sokoła morskigo*, ukochanej powieści Witolda.

– Bardzo. – Chwilę milczał, a potem powiedział z dziwnym błyskiem w oku: – Sabatini stał się zresztą powodem mojego starokawalerstwa...

Zaintrygowana Mila natychmiast odwróciła się od półki z książkami.

– Jak to?

Witold wzruszył ramionami: – Obiecałem sobie kiedyś, że ożenię się tylko z kobietą, która czytała *Sokoła morskigo*... Jak się domyślasz, nie spotkałem jeszcze takiej...

Mila spojrzała na niego z rozbawieniem. – No to spróbujmy – powiedziała, biorąc książkę do ręki, ale nie otwierając jej. – O ile pamiętam, zaczyna się tak: „Oliver Tressilian rozsiadł się wygodnie w pięknej sali jadalnej okazałego pałacu Penarrow”. Uwielbiam te początkowe zdania u Sabatiniego: „Już od urodzenia posiadał dar humoru i świadomość, że świat jest szalony. Było to całe jego dziedzictwo”...

– To *Scaramouchel* – wykrzyknął zdumiony do granic możliwości Witold.

– Tak. Albo „Z fregaty był piękny okręt... Żeniąc pobożność z wiemopoddanstwem, nadano mu imię »Święty Filip. „,

– To *Szczęśliwa gwiazda kapitana Blooda*. Jak ty to zapamiętujesz? – nie mógł wyjść z podziwu.

Mila machnęła ręką. – Mam taką dziwną umiejętność, pamiętam pierwsze zdania wszystkich przeczytanych książek...

– Żartujesz – nie dowierzał Witold.

– Poważnie. Zauważyłam, że każdy człowiek ma jakąś dziwną umiejętność, jeden maluje, inny haftuje, a jeszcze ktoś potrafi usmażyć jajecznicę. Ja mam właśnie taką, ale obawiam się niestety, że mój umysł jest jak śmietnik. Setłti szufladek, zapelnionych nie wiadomo czym i nie bardzo wiadomo po co...

– Daj spokój – z podziwem powiedział Witold. – Taka pamięć jest bezcenna, mogłabyś zrobić karierę w wywiadzie albo w informacji kolejowej – bezbłędnie recytowałabyś z pamięci wszystkie połączenia albo rysopisy agentów... Ja pamiętam tylko jeden początek: „Imię moje: Izmael”, i nawet wiem dlaczego: to po prostu moja ulubiona powieść!

– Ja chyba wolałabym mieć gotować – z westchnieniem powiedziała Mila, odkładając książkę na półkę.

– To przynajmniej jakaś praktyczna umiejętność, a to... Sam widzisz – proponujesz mi karierę pani z dworca o blaszanym głosiku.

Oboje się roześmiali. Wychodząc z pokoju, Mila odwróciła się i dodała: – Oczywiście, nie musisz od razu się ze mną żenić! Ale pamiętaj, że kiedyś mogę tę obietnicę małżeństwa

wyciągnąć, jak pani Beardsley w *Klubie Pickwicka*.

– Rozumiem. Kiedy ci to będzie pasowało, wtrącisz mnie do mamra za „niedopełnienie przyrzeczenia”...

Pani sołtys poważnie pokiwała głową. – Powiem ci w sekrecie, że zadowolę się obserwatorium astronomicznym na wieży... I jeszcze jedną kawą... – odwróciła się i zbiegła po schodach. Witold jeszcze raz popatrzył na swoje mapy, rysunki galeonów i maleńki sztych z Moby Dickiem. Westchnął i ruszył na dół, spotykając po drodze męża gospodyni, niezwykle uszczęśliwionego faktem, że znalazł odpowiednie miejsce na przebicie drzwi na wieżę.

Wieczorem, przeglądając album ze zdjęciami rodzinnymi Tyczyńskich, który wypożyczył jako jedyną dostępną dokumentację dworu, Witold coś zauważył. W pierwszym momencie nie wierzył własnym oczom. Potem spędził jeszcze dwie godziny w internecie, żałując, że nie ma dostępu do większej biblioteki, chwycił album i pobiegł do Mili. Zapomniał jednak o cotygodniowych obserwacjach astronomicznych; w domu pani sołtys było podejrzenie gwarno. W środku nie paliło się światło, a na wieżyczce panował ruch. Uświadomił sobie, że trwają obserwacje Lirydów; musiał więc poczekać.

Kiedy dzieci wreszcie wyszły, Mila nastawiła wodę na kawę. – Nie za późno? – powiedział głosem zrędliwego tetryka, który zawsze ją śmieszył, a ona wzruszyła ramionami. – Podobno chcesz pogadać... Myślałam, że to nas nieco przetrzeźwi w tę piękną noc...

Witold zrobił nieokreślony ruch ręką mający oznaczać zgodę i wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę papierosów, chwilę się wahał, ale ponieważ nie zaprotestowała, wysupłał jednego i zapalił.

Mila obserwowała go z uśmiechem, ustawiając filiżanki pani Tyczyńskiej na stole. – W filmach bohaterowie zawsze palą lucky strike'y, ciekawe dlaczego? Jak myślisz?

– Pewnie koncern im za to płaci. Ja akurat nie lubię tych papierosów...

Pominęła tę uwagę milczeniem i siadła przy stole, nalewając kawę do filiżanek. – Co mi chciałeś pokazać? – Wskazał ręką na album, a Mila uważnie go przekartkowała. – No i co? – zapytała, najwyraźniej nie rozumiejąc, o co mu chodzi. – Rozpoznałeś kogoś z członków rodziny Tekli? To jakiś przedwojenny kidnaper albo morderca?

– Ty to masz dziwne podejrzenia! – stwierdził zniesmaczony. – Powinnaś kryminały pisać! Nie chodzi bynajmniej o ludzi. Popatrz na ogród na tych zdjęciach – stuknął palcem w fotografię przedstawiającą pięć osób na de sadzawki. Mila przyjrzała mu się uważnie, zanurzając ręce we włosy, co robiła zawsze, gdy nad czymś głęboko się namyślała. Potem podniosła wzrok i wzruszyła ramionami. – Nic nie widzę! Sadzawka jak sadzawka, nawet słabo ją widać, a w środku fontanna...

– No właśnie – powiedział Witold, wyjmując jej album z rąk. – Pamiętasz, co pani Tekla powiedziała, gdy otwarliśmy skrzynię i znaleźliśmy tę holenderską miniaturę?

– Że jej ojciec i dziadek byli miłośnikami sztuki flamandzkiej. Ale co to ma wspólnego z sadzawką? – dalej nie rozumiała Mila.

– Bardzo wiele. Popatrz na tę fontannę... Ile strumieni wody wypływa ze środka?

Mila ponownie przysunęła do siebie album. – Cztery... I co z tego?

– Spójrz na kształt fontanny... To zodiakalny Rak, symbol Księżyca. Cztery strumienie wody oznaczają Fontannę Życia albo, inaczej mówiąc, Fontannę Czterech Rzek. To stary kabalistyczny znak. Fontanna Życia miała wytryskać w raju ziemskim... Chyba czytałaś Dantego?

– popatrzył na nią wyczekująco.

– „W życia wędrówce, na połowie czasu” – wyrecytowała natychmiast i bez wahania.

Skinął głową. – Zapomniałem, że jesteś mistrzynią pierwszego zdania! Kula, na której stoi rak, to Księżyc. Sadzawka ma przy tym wykrój w muszlę. A muszla to z jednej strony symbol ciała, bo ukrywa duszęperłę, a z drugiej symbolizuje otwarcie na świat...

Mila w skupieniu przeglądała zdjęcia. – To fascynujące! Jak na to wpadłeś?

Witold machnął ręką i zapalił kolejnego papierosa.

– Podsunął mi to ten mały obrazek. Holenderski mistrz. Taka symbolika była w obrazach Boscha, czytałem o tym kiedyś...

– Bosch interesował się naukami tajemnymi? – zdumiała się Mila.

Witold machnął ręką, wypuszczając przy okazji kilka kółeczek dymu. – Istnieją podejrzenia, że był członkiem sekty Wolnego Ducha... Jego obrazy są pełne takich zagadek... To naprawdę interesujące!

– Niewątpliwie – stwierdziła Mila, dalej oglądając album. – Ale po co przodkom Tekli to wszystko?

– Może interesowali się hermetyczną wiedzą z pogranicza religii i demonologii, sam nie wiem... Chcę ci jednak pokazać coś innego, zupełnie zdumiewającego. – Wskazał na ostatnie zdjęcie przedstawiające ogród z – najprawdopodobniej – jednego z okien pałacu. – Popatrz na ten labirynt z mirtów.

Mila zbliżyła oczy do zdjęcia i długo się wpatrywała.

– Nic nie widzę – powiedziała po chwili.

Witold wskazał jej ołówkiem obrys labiryntu. – To typowy dla XIX wieku labirynt ogrodowy, jego wzorem był układ z Hampton Court. Najchętniej robiono takie kompozycje z mirtu lub z żywopłotu i ziół, chodziło o zapach. Rozumiesz, jak to pięknie komponuje się z moją historyjką: labirynt, tajemnicza sekta i na dodatek święty Graal! Jestem po prostu w siódmym niebie!

Mila pokiwała głową i sięgnęła na półkę. – Mam coś dla ciebie. Chciałam dorzucić ciekawe powiązanie pomiędzy Graalem a świętym Jakubem.

Witoldowi zapaliły się oczy. – No dawaj! Zamieniam się w słuch.

– Masz tu książkę *Droga do św. Graala*, kupiłam ją przez internet. Autorka tej książki twierdzi, że drogą do świętego Graala był szlak pielgrzymkowy do Santiago de Compostela.

Uważa, że teologia średniowieczna, która przywiązywała wielką wagę do pielgrzymek – był nawet „sakrament pielgrzymki”, który zlikwidowano na jednym z późniejszych soborów – to symbol duchowego odrodzenia. Czyli Graal to tak naprawdę jest przemiana duchowa, odkupienie. Graalem mogła być też po prostu Ewangelia. Z drugiej strony na szlaku pielgrzymkowym już w Hiszpanii jest mały kościółek San Juan de la Pena, w którym ponoć ukrywano kielich Graala przed Saracenami. Teraz twoje muszelki, labirynty, Chartres pasują do siebie idealnie. Tylko jeszcze musisz kogoś ukatrupić, mam oczywiście nadzieję, że nie mnie, i masz prawie gotowy kryminał o Graalu!

Witold zastanowił się, przeglądając książkę. Postanowił zaryzykować i wprowadzić Milę w swój projekt.

– Mam nadzieję, że mnie nie wyśmiejesz, ale od dłuższego czasu zastanawiam się nad jedną rzeczą... Ten remont nieźle mi wydrenował kieszeń i nie ukrywam, że kusi mnie, żeby odzyskać poniesione nakłady... Poza tym uważam, że Ida to nieodkryty skarb, magiczne miejsce. Od pewnego czasu myślę, żeby z połowy pałacu zrobić hotel... Jak uważasz?

Mila z entuzjazmem pokiwała głową.

– Masz rację! Ida jest cudowna, ta wieś ma niepowtarzalny urok, a pałac Tyczyńskich – niezwykle klimat. Ja też miałam takie plany, nie myśl sobie! Niestety, koszty remontu dworu przekraczały możliwości spółdzielni, poza tym brakowało mi jakiegoś motywu przewodniego. Kombinowałam tak – pensjonatów, nawet na wysoki strzał, są tysiące, dlaczego ktoś ma przyjechać właśnie tu, na ten koniec świata? Co z tego, że Ida jest wyjątkowym miejscem? Ale ta historyjka o Graalu to może być żyła złota! – dodała po chwili namysłu. – Gabinet przerobisz na muzeum, będziesz wystawiał tam kielich, tylko musisz jeszcze parę starych książek dokupić. Wprawisz w okna te „Msze św. Idziego”, postawisz posąg Karola Młota i diaboliści wszelkiej maści będą tu walić drzwiami i oknami... Masz lepszy zmysł biznesowy ode mnie... Idę po wino – stwierdziła.

Witold był uszczęśliwiony, że tak entuzjastycznie poparła jego pomysł.

– Trochę się boję tych wariatów – powiedział poważnie, gdy wróciła z dwoma kieliszkami. – A nuż zaczną mnie podejrzewać, że jestem depozytariuszem jakiejś tajemnicy, i zrobią mi krzywdę?

Mila wzruszyła ramionami, zgrabnie manipulując korkociągiem.

– Ryzyko zawodowe. Ja się obawiam, że i tak jest już za późno. Był wczoraj u mnie Piotrek i wypytywał o Karola Młota. Przypuszczalnie niedługo w naszej poczytnej gazecie ukaże się artykuł na ten temat, więc czuj duch! Takie prowincjonalne pisemka mają ogromną siłę oddziaływania w środowisku wariatów, jako jedyne wiarygodne...

– Brr, aż mnie dreszcze przeszły... – westchnął Witold. – Od razu mam projekcję tortur w stylu Edgara Allana Poe *Studnia i wahadło*, przywiążą mnie do stołu, a gigantyczne wahadło będzie mnie kroić na cząstki...

Mila roześmiała się. – No, kolego, to by dopiero rozkręciło biznes turystyczny! Musisz się

poświęcić, nie ma rady. .. Wiesz, jak to mówią, „bez pracy nie ma kołaczy”, a w twoim przypadku będzie to „bez poświęcenia nie ma nadzienia”.

Witold spojrzał na nią ze smutkiem. – Nie tylko mi nie współczujesz, ale drwisz, a to niesprawiedliwe...

– A kto rozpoczął tę aferę, kto szukał idiotycznych powiązań? Ty! Musisz teraz ponosić odpowiedzialność.

Przez chwilę rozważał jej słowa. – Ale powiedz poważnie, uważasz, że to dobry pomysł?

– Bardzo dobry, moim zdaniem – powiedziała z przekonaniem. – Masz kupę znajomych w Warszawie, tych różnych ministerialnych snobów, niech ci rozreklamują przedsięwzięcie. To mogłoby być trendy w pewnych środowiskach – weekend w niezwykle nastrojowym miejscu.

– Nie zapominaj o warsztatach dla frustratów, koronkowych stringach i trąbach!

– Właśnie! I jeszcze dobijemy ich Graalem, oczywiście intelektualnie – po prostu nadmiar wrażeń jak dla takich mieszczów! Wrócą do pracy całkowicie odnowieni! To lepsze niż pobyt w nudnym i przereklamowanym spa!

Tego samego dnia Witold wybrał się do pani Tekli, której także przedstawił pomysł zamiany pałacu w wytworny hotel.

– Mógłbym zamówić stylizowane meble we Włoszech, już przeglądałem katalogi. Trzeba jednak będzie przebudować trochę piętro, wydzielić część hotelową i zrobić dodatkowe łazienki. To trochę potrwa, ale myślę, że ma sens.

– Oczywiście, że ma! – Dziedziczka z radością odniosła się do tego pomysłu. – A te opowieści o Graalach i masonach to doskonały chwyt marketingowy! Trzeba zaproponować jakąś „wartość dodaną”, jak to mawiał Marks, i pański pomysł jest na pewno taką wartością.

Witold nie był pewny, czy akurat Marks mówił o czymś takim, ale generalnie się zgadzał – dobry pomysł to połowa sukcesu. Już widział swój hotel „Pod Graalem i Labiryntem” (albo jakoś podobnie) starannie urządzone, ze świetną kuchnią pani Gertrudy... Tak, to się mogło udać!

Wyszedł z domu pani Tekli z pudełkiem książek po jej ojcu. Obejrzał je dokładnie w domu: były to istotnie XX-wieczne dziełka o zakładaniu ogrodów, które jednak mogły się bardzo przydać, bo zawierały kolorowe ilustracje przedstawiające labirynty, jeden traktat o magii, już bardziej utrzymujący się w stylistyce spiskowej opowieści, oraz słynny notatnik z podróży.

Witold zrobił sobie dobrej herbaty, napalił w kominku i umościwszy się wygodnie w fotelu, zaczął czytać.

Oprawiony w skórę notes formatu *in octavo* liczył około 200 pożółkłych kart, zapisanych ciemnym atramentem. Widać było, że osoba, która sporządzała te notadki, musiała się bardzo spieszyć – krój pisma był dość chwiejny i chaotyczny, linie biegły ciasno, ale niekiedy całe zdania były ledwie czytelne, zapewne z powodu wilgoci, która niestety dostała się do skrzynki. Witold musiał przyznać, że z równie wykwinną francuszczyzną jeszcze się nie spotkał, nie licząc oczywiście tej, którą posługiwała się jego nieodżałowanej pamięci babcia. Początkowe karty notesu – w najgorszym stanie, zżarte wilgocią i czymś w rodzaju niezbyt estetycznej pleśni –

opisywały podróż z Warszawy do Londynu przez Paryż. Autor narzekał głównie na niewygody i brud w hotelach, co natychmiast wywołało u Witolda skojarzenia z Władimirem Nabokovem, który jak wszyscy dobrze wiedzą, woził ze sobą „gumowy tub”, czyli dmuchaną wannę, wyłącznie w tym celu, by uniknąć kontaktu z niezbyt higieniczną hotelową łazienką. Ojciec Tekli był najwyraźniej zwolennikiem podobnych rozwiązań, gdyż szeroko rozpisywał się na temat śmiertelnych mikrobów czyhających nań wszędzie, dowodząc tym samym, że jedyną chorobą, na którą naprawdę cierpiał, była hipochondria – słabość z gatunku psychicznych, nie somatycznych.

Po przyjeździe do Londynu (podróż statkiem wywołała u pana Tyczyńskiego mdłości i obawy przed jakąś nieznaną, a straszną zarazą) i rozlokowaniu się w hotelu udał się niezwłocznie do British Museum. W bibliotece zabrał się do czytania wszystkich ważniejszych dzieł na temat Graala – studiował zatem Wolframa von Eschenbacha i de Boróna, uzupełniając ich o pomniejszych autorów. Na kilkunastu następnych kartach znajdowały się szczegółowe i dosyć nużące wyciągi z tej lektury. Witold przejrzał je z roztargnieniem i przeskoczył kilka dni.

30 września 1934

Wczorajsze posiedzenie w bibliotece przyplaciłem bólem głowy. Dwa razy brałem laudanum. Posiłki w hotelowej restauracji urągają wszelkim zasadom kucharstwa. Nie da się ich po prostu przelknąć. Nie jestem wybredny, naprawdę potrafię zadowalać się byle czym i nie narzekam, ale to, co podano mi na kolację, wzbudziło moje oburzenie.

Nie sposób było tego nazwać mięsem. .. A ta zupa... Dobry Boże, gdybym miał takiego kucharza, kazalbym go poszczuć psami! Dzisiaj po śniadaniu znowu wróciłem do biblioteki, by zrobić dokładny wykaz wszystkich źródeł opowiadających o Graalu. W hallu spotkałem mężczyznę, typowego angielskiego dżentelmena, dystyngowanego, choć zażywnego. Pewnie nie zwróciłbym na niego uwagi, lecz ów pan przyglądał mi się uważnie, a nawet zbyt uważnie, biorąc pod uwagę wymogi dobrego wychowania. Zacząłem więc obserwować go i ja. Ma się rozumieć, bardzo dyskretnie. Wszedł do sali głównej i usiadł przy pobliskim stole. Rozłożył przed sobą papiery, ale nie odniosłem wrażenia, by pracował. Raczej rozglądał się tylko bacznie, a gdy zauważył, jak zmiierzam z naręczem książek do wyznaczonego mi stołu, schylił się nad swoimi notatkami, udając, że jest bardzo zajęty. Głowę bym dał, że patrzy na mnie ukradkiem. Nie wiem, kto to, ale wolę się mieć na baczności. Dzisiaj czytam Chretien de Troyes i bardzo wciągnęły mnie jego opisy Graala. Ponieważ zażywny dżentelmen nadal mnie obserwuje, postanawiam zakończyć na dziś moje studia

I PAŹDZIERNIKA 1934

Od rana pada drobny, denerwujący deszczyk. Nie mogę wyjść z hotelu, gdyż boję się zmoczyć palto i zaziębić. Myślę zatem o tym, co przeczytałem do tej pory, i próbuję wydedukować, gdzie

umieszczono Graala po ucieczce Józefa z Arymatei z Jerozolimy. Podejrzewam, że była to Walia, ponieważ większość opowieści artuzańskich ma ten rodowód. .. Ponieważ po południu dalej padało, kazałem sobie przynieść do pokoju obiad oraz termofor, który niezwłocznie umieściłem w pościeli. Niestety, moja zapobiegliwość na nic się zdała – przeziębilem się okropnie. Był już lekarz, rokowania nie są dobre – przez kilka dni będę musiał leżeć.

Leżeć... Bardzo mnie to martwi... A jeśli pojawią się powikłania? Zapalenie płuc, suchoty... Może już zresztą mam pewne symptomy... Ci angielscy lekarze, co oni wiedzą... Pamiętam, jak studiowałem w Orfordzie i biedny Bernard Radcliffdoznał lekkiego urazu... Dość powiedzieć, że ucięli mu nogę, a przecież był to drobny upadek z konia...

Witold westchnął głęboko i przerzucił kilka kartek, opisujących szczegóły ciężkiej choroby autora, która unieruchomiła go w hotelu na dobry tydzień. Z dokładnego, niemal klinicznego opisu tych dolegliwości wywnioskował, że ojciec Tekli zapadł po prostu na anginę. W końcu po tygodniu pan Tyczyński wystawił nos z pokoju i z wielką ostrożnością (postanowił między innymi wszędzie nosić rękawiczki, by nie dotykać klamek, na których czają się śmiertelne mikroby) udał się do biblioteki. Książki o Graalu ciągnęły go jak magnes. Podejrzany nieznajomy pojawił się znowu i wprawił polskiego podróżnika w wielkie zaniepokojenie.

10 PAŹDZIERNIKA 1934

Deszcz nadal pada, ale nie zważając na niebezpieczeństwo choroby, od rana byłem w bibliotece. Czytam dalej tzw. Cykl Vulgaty, czyli dwie opowieści o Graalu z początku XIII wieku. W pierwszej z nich, Lancelocie, jest wyraźnie powiedziane, że Graal to święta księga, którą Artur otrzymał od Chrystusa. Miałaby to być Ewangelia? Sam popelnilem kiedyś artykuł na ten temat, niestety krytyka nie zostawiła na mnie suchej nitki...

Witold ponownie westchnął. Na kolejnych kilku stronach ojciec Tekli oddawał się úlipikom przeciwko niedouczonym krytykom. Odsądzał ich od czci i wiary, lżąc do dziesiątego pokolenia. Mossakowski zaczął się poważnie zastanawiać, czy pan Tyczyński był wariatem z gatunku nieszkodliwych. Tyrada przeciwko zoilom w końcu dobiegła kresu i Witold przeczytał, co następuje:

Po powrocie z kawiarni z ogromnym zdumieniem stwierdziłem, że ktoś przeglądał moje książki, leżące na stole. Przywołany czym prędzej pomocnik bibliotekarski potwierdził, że był tutaj jakiś dżentelmen (z opisu odpowiadał dokładnie mojemu nieznajomemu), który zostawił dla mnie krótki liścik. Karteczka napisana była po francusku i przeczytałem ją z ogromnym zdumieniem: „Wielce szanowny panie. Wiem, nad czym pan pracuje, i mogę pomóc. Proponuję spotkanie w pańskim hotelu o siódmej. Będę czekał w restauracji”. Oczywiście podpisał się imieniem i nazwiskiem, ale ze względu na ostrożność wolę go nie wymieniać, zbyt jest to znana rodzina. Nazwę go zatem Percimlem, co wydaje mi się bardzo adekwatne. Liścik od Percivala całkowicie mnie rozstroił i rozproszył. Ponieważ nie mogłem już dłużej czytać w skupieniu,

wróciłem do mego hotelu. Zazwyczaj dobrze znoszę czekanie, ale tym razem nie mogłem usiedzieć w jednym miejscu. Ciągłe spoglądałem na zegarek, nie mogłem zmusić się nawet do przeczytania gazety dla zabicia czasu, wreszcie zrobiłem coś, czego się wstydzę – odsunąłem firankę i zacząłem wyglądać na ulicę, wypatrując Percivala. Wreszcie tuż przed siódmą zszedłem do jadalni. Nieznajomy już na mnie czekał; uścisnęliśmy sobie dłonie i usiedliśmy. Mój tajemniczy rozmówca chwilę milczał, jakby namyślając się nad tym, co ma mi do powiedzenia.

– Studiujecie pan średniowieczne manuskrypty, związane ze świętym Graalem? – zapytał, choć oczywiście doskonale znał odpowiedź. Skinąłem więc tylko głową, oczekując, że za chwilę wyjawia mi powód swej wizyty. Nie myliłem się.

– Wiemy, kim pan jest. Pańskie artykuły na temat cudownych relikwii nie pozostały niezauważone. – Percival wyciągnął z kieszeni srebrną papierośnicę z tłoczeniami w kształcie labiryntu, co zauważyłem z pewnym zdziwieniem, i poczęstował mnie egipskim papierosem. Przyjąłem z wdzięcznością. Zaskoczyło mnie, że zauważył mój skromny dorobek publicystyczny, z którego byłem bardzo dumny, mimo iż nie wzbudził spodziewanego przeze mnie oddźwięku. Interesowały mnie bowiem związki labiryntów średniowiecznych i świętych relikwii, bo aż nazbyt często trafiałem w źródłach na związki pomiędzy świętym Graalem i Drogą Jakuba.

– W gruncie rzeczy – ciągnął Percival – podejrzewamy, że pan się myli co do istoty świętego Graala.

– Podejrzewamy? Czyli kto? – przerwałem mu, może niebyt grzecznie, ale zmitygowałem się dopiero po fakcie. Byłem w stanie najwyższego wzburzenia i sądzę, że mój rozmówca nie miał mi tego wybuchu za złe.

– Stowarzyszenie, które reprezentuję. Nie jestem upoważniony do przedstawiania panu szczegółów mej misji, ale jeżeli jest pan zainteresowany, ma pan otwarty umysł i jest pan gotów doświadczyć spraw o najwyższej tajemniczości, proszę przygotować się jutro rano do drogi. Zawiozę pana na spotkanie z naszym Mistrzem.

Byłem ogromnie podniecony. Oczywiście zgodziłem się bez wahania, ponieważ nie było takiego szaleństwa, na które nie zdecydowałbym się, aby tylko zbliżyć się do mojej tajemnicy. Być może moja decyzja wydaje się lekkomyślna lub pochopna, ale taki już jestem – kieruje mną żądza przygód i brawura w podejściu do życia.

Witold z westchnieniem przerwał odcyfrowywanie manuskryptu i nalał sobie herbaty. Szlachetny ojciec pani Tekli, poza lekką odmianą hipochondrii, cierpiał najwyraźniej na manię wielkości. Widział w sobie błędnego rycerza w stylu Amadisa z Galii czy innego bohatera średniowiecznego romansu, a był jedynie prowincjonalnym Don Kichotem. Miało to jednak swój wielki urok. Tak duży, że Witold nie miał serca zatrzymywać pamiątnika dla siebie. Starannie złożył wszystkie kartki i wybrał się pieszo do domu pani Tekli.

Mimo dosyć późnej pory zastał ją w trakcie skomplikowanych działań laboratoryjnych.

– Dobrze pana widzieć, młodzieńcze! – zawołała radośnie. – Co pana sprowadza?

Pomachał trzymaną w rękach książką. – Memuary pani ojca.

– Tak? – zdziwiła się. – I co pan tam takiego wyczytał? Jak już mówiłam, odcyfrowałam tylko kilka pierwszych stron, potem nie chciało mi się już trudzić. Same brednie o karakonach w pokojach hotelowych i chorobach.

– Niesłusznie się pani zniechęciła. Potem pan Tyczyński trafia na ślad zagadki związanej z Graalem.

Była dziedziczka wzruszyła ramionami, wyraźnie zaznaczając swój dystans do tej historii. – Tym bardziej jestem pewna, że dobrze zrobiłam, nie czytając tego. Podejrzewałam, że to musi mieć jakiś związek z Graalem, bo po co papa by się pchał do Londynu?

Witold pokrótce streścił jej, co przeczytał do tej pory. Pani Tekla potwierdziła wszystkie fakty. W 1934 roku, jesienią, ojciec wyjechał na jedną ze swoich wypraw badawczych. Wrócił do domu uradowany wraz z kielichem z agatu, ale przestał interesować się relikwiami jako takimi, poświęcając się studiowaniu tekstów teologicznych.

– Ten kielich stanowił dla niego coś w rodzaju pamiądd. Nie przywiązywał do niego najmniejszej wagi. Stał sobie po prostu w gabinecie, niechroniony w żaden sposób – wyjaśniała.

– Albo ojciec przekonał się, że to bezwartościowy falsyfikat, albo stało się jeszcze coś innego.

– Przekonamy się, gdy dokończę czytanie manuskryptu – stwierdził Witold, przerzucając karty. 1

– Proszę bardzo, niech się pan nie krępuje – życzliwie I powiedziała była dziedziczka, która właśnie zakończyła I jakiś skomplikowany etap destylacyjny. – Mam trochę I czasu, zanim przystąpię do kolejnych zabiegów perfumierskich, a ta historia zaczyna mnie wciągać.

Witold rozłożył pamiętnik, poprawił okulary na nosie i zaczął czytać.

II PAŹDZIERNIKA 1934

Rankiem, gdy tylko zszedłem do hallu mego hotelu, by uregulować rachunek, zbliżyło się do mnie dwóch dżentelmenów. Jednym z nich był Percival, drugi natomiast pełnił najwyraźniej rolę jego kierowcy, bo od razu zabrał moje bagaże i umieścił je w samochodzie. Percival przywitał mnie miło i z uszanowaniem, zaznaczając, jak bardzo się cieszy, że przyjąłem zaproszenie jego mistrza. Wsiadliśmy do auta i wyruszyliśmy w drogę. Nie była długa, opuściliśmy miasto i jechaliśmy kilkanaście mil w kierunku Rugby, gdy kierowca skręcił w boczną, polną drogę prowadzącą do ponuro wyglądającego domu. Był to posepny dwór przypominający dzieła pani Charlotte Bronte. Patrząc na niego, miałem pewność, że pojawiają się tu duchy lub mieszkańców prześladowujących krzyki nieszczęsnej wariatki trzymanej na strychu. Wnętrze domu wydało się równie nieprzyjemne. Ściany wybite kirem i ciężkie ciemne meble dopełniały tego smutnego obrazu. Na nasze przywitania wyszedł milczący lokaj, który odebrał okrycia i zaprosił nas ruchem dłoni i do gabinetu.

Było to chyba jedyne pomieszczenie nieco weselsze od reszty domostwa. Na kominku palił się ogień, pokój rozjaśniało światło elektrycznej lampy, na podłodze leżał kosztowny, lecz mocno

zżyty dywan. Na nasze powitanie z głębokiego fotela podniósł się starszy mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu. Ze zdumieniem rozpoznałem w nim lorda S. , wybitnego parlamentarzystę i męża stanu. Powitał mnie z wielką serdecznością.

– Pamiętam go! – przerwała pani Tekla, klasnąwszy w dłonie. – Przyjechał kiedyś, tuż przed wojną, do ojca, z jakimś brodatym duchownym. Zamknęli się na długie godziny w gabinecie, a potem szybko wyjechali, a właściwie zniknęli. Nie widziałam, żeby opuszczali dwór, ale rano ich nie było. Być może przespaliśmy moment ich wyjazdu, ale mój brat, który szczególnie interesował się tym księdzem z brodą, zaklinał się, że nie zmrużył przez cały czas oka i obserwował z okna drogę. Nie pojawili się na niej przez całą noc, nie przyjechał po nich powóz ani auto, a następnego dnia już ich nie było. Po prostu rozplynęli się we mgle, która tej nocy była wyjątkowo gęsta.

– To na pewno sprawka ducha z Upiornej Kapliczki – mruknął Witold i wrócił do przerwanej lektury.

Lord S. przedstawił się jako członek stowarzyszenia, zwanego Bractwem Graala, co wywołało u mnie wielkie poruszenie, i podobnie jak wcześniej Percival, zapewnił o uznaniu, jakim darzy moje niewielkie prace naukowe na temat świętej relikwii. Powiedział, że za moją zgodą chce mi odsłonić jedną z tajemnic, która być może ujawni prawdę o nurtujących mnie zagadnieniach. Choć czułem duże zaniepokojenie, zgodziłem się chętnie. Zaprowadzono mnie do wygodnego pokoju na piętrze, gdzie mogłem odpocząć i zebrać myśli. Przejrzałem także swe notatki, próbując uporządkować całą historię. Byłem zdenerwowany i podniecony, do wieczora oczekiwałem pojawienia się mego gospodarza, obiad zjadłem jednak samotnie w małym saloniku, gdzie jedynym towarzyszem był mi milczący służący.

Było już dobrze po zmroku, gdy lord S. zapukał do mego pokoju, zapraszając mnie na dół. W gabinecie czekało na mnie jeszcze kilku dżentelmenów, wśród których rozpoznałem przedstawicieli brytyjskiej arystokracji, polityki i finansjery. Nie to jednak było istotne. Główne miejsce w pokoju zajmował mężczyzna o groźnym i mistycznym wyglądzie. Zobaczyłem postawnego mnicha, ubranego w habit, o pałających czarny oczach i z długą zmierzwioną brodą. Poznałem go od razu i nie mogłem powstrzymać okrzyku zdumienia. Był to słynny rosyjski teolog i filozof ojciec Sergiusz Bułgakow.

Witold podniósł pytający wzrok i spojrzał na panią Teklę, która już dawno zaprzestała doglądania swojej aparatury i paliła w milczeniu papierosa.

– Tak – powiedziała po chwili. – To wiele wyjaśnia. Nie wiem, czy słyszał pan o Sergiuszu Bułgakowie?

– Szczerze mówiąc, nigdy. Pomijam fakt, że jego nazwisko kojarzy mi się wyłącznie z pisarzem Michaiłem Bułhakowem, nic o nim nie wiem. Czy to jakaś znana postać?

Pani Tekla wstała i zabrała się do parzenia kawy w swoim arabskim kociołku. Po chwili postawiła filiżanki na stole. Witold przyjął poczęstunek z wdzięcznością, ale nadal miał nadzieję, że dowie się czegoś na temat tajemniczego księdza.

– Ojciec Sergiusz to niezwykle ciekawa postać. Był potomkiem słynnego rodu prawosławnych duchownych, znanych w Rosji od czasów Iwana Groźnego. Wstąpił do seminarium, ale szybko stracił wiarę. Pod koniec XIX wieku nawrócił się na marksizm i wykładał nawet filozofię marksistowską na uniwersytecie. Potem z kolei zwątpił w komunizm, nazywając go szkodliwą utopią, miał zresztą pełną rację, a doszedł do tego na początku XX wieku, jeszcze przed rewolucją 1905 roku. Jak pan rozumie, wkrótce nie miał już czego szukać w Rosji, zwłaszcza że w międzyczasie znowu się nawrócił, tym razem religijnie, i nawet przyjął święcenia kapłańskie. Gdy wybuchła rewolucja październikowa, wyjechał za granicę, najpierw do Paryża, potem do Londynu, gdzie wykładał teologię.

– Pasjonująca postać – zachwycił się Witold, kartkując notatnik ojca pani Tekli w poszukiwaniu jakichś informacji. – O, tutaj pani tato pisze o Bułgakowie, że był twórcą jakiejś oryginalnej koncepcji religijnej.

Była dziewczynka kiwnęła głową i znowu na chwilę się zamyśliła. – Słabo już pamiętam te wszystkie historie, ale zdaje się, że Bułgakow był wyznawcą panteizmu, uważał, że Bóg objawia się we wszystkich przejawach życia – w człowieku, zwierzęciu i roślinie. Kościół głównego nurtu zdaje się niezbyt popiera tego typu teologię... Oprócz tego zajmował się gnozą. Była to starożytna nauka głosząca, w największym skrócie, że nie wszystko na świecie zmierza ku dobremu i nasze życie nie musi skończyć się szczęśliwie nagrodą w niebie. Rozumie pan – taki fatalizm trochę. Gdzieś na początku świata w akt stworzenia wplątały się złe siły i świat jest tym złem skażony...

Witold pokiwał głową. – Rozumiem, dość oryginalny jak na duchownego.

– Bardzo – powiedziała pani Tekla. – Z tego, co pan tutaj czyta, zaczynam rozumieć, że to właśnie Bułgakow odwiedził nas tamtej nocy tuż przed wojną, ale co tu robił – nie mam pojęcia.

Witold przejrzał kilka zapisanych maczkiem kartek.

– Pan Tyczyński pisze tu, że został wprowadzony do czegoś w rodzaju tajemniczej loży, pod nazwą *Anima Mundi*, czyli Dusza Świata. Właśnie w tej loży odkryto przed nim tajemnicę świętego Graala. Proszę posłuchać.

Ojciec Sergiusz długo ze mną rozmawiał tego wieczoru. Wyjaśnił, że wszystkie moje badania nad świętą relikwią są błędne. Choć jeden trop wydaje się mieć pewien sens. Była grupa badaczy uważająca, że Graal to Ewangelia, zapisany zwój, który przechowywano w ukryciu. Oczywiście badacze ci podejrzewali, że była to któraś z ewangelii gnostycznych, odrzuconych przez Kościół rzymski, jak na przykład Ewangelia Tomasza, głosząca panteistyczny pogląd, że Bóg znajduje się wszędzie, także pod kamieniem czy w trawie.

– Moim zdaniem – powiedział Bułgakow – wszyscy błędzą, błędzi też pan, choć uznałem, że akurat pan znajduje się na dobrej drodze do prawdziwego oświecenia.

Czekałem niecierpliwie, co powie dalej. Ojciec Sergiusz milczał najpierw długo, a potem przedstawił mi swoją filozofię świętego Graala. Mówił o boskim pierwiastku, który znajduje się w przyrodzie. Dowodził, że właśnie ta boska obecność jest świętym Graalem ludzkości.

– *Może Kościół kiedyś to zrozumie, tę ciągłą obecność Graala na ziemi, do tej pory tylko przeczuwaną w średniowiecznych pieśniach i opowieściach rycerskich. Wtedy ujrzemy prawdziwy Monsalvat i zrozumiemy, że cały świat jest świętym Graalem...* – powiedział w końcu, opuszczając głowę.

Zadumałem się nad jego słowami. Zrozumiałem, że są prawdziwe i pełne mądrości. Opuszczałem to miejsce rozradowany, pełen nadziei; wszystko, o czym do tej pory czytałem, ułożyło się w całość. Księgi średniowieczne mówiły przecież właśnie to, o czym przed chwilą powiedział mi ksiądz Bułgakow – byłem ślepy, że tego nie widziałem! Lord S. dał mi przy pożegnaniu maty kielich wykonany z cennego agatu.

– *Przechowywałem tę relikwię przywiezioną ponoć z Konstantynopola przez wiele lat – powiedział. – Ale kiedy poznałem ojca Sergiusza, zrozumiałem, jak się myliłem. To nie kielich jest istotny, to nie naczynie jest święte, lecz jego zawartość, a tę każdy z nas ma w sobie. Wszyscy jesteśmy świętym Graalem.*

Witold przerwał czytanie i spojrzał na panią Teklę wyczekująco. Ona skinęła głową.

– Właśnie tak. Pamiętam, że od czasów tej podróży ojciec przestał zajmować się kielichami, poświęcił się prawom przyrody, labiryntom, fascynowało go bractwo Wolnego Ducha, szukał dróg doskonalenia wewnętrznego.

– A co się stało z Bułgakowem? – zainteresował się Witold.

– O ile wiem, zmarł podczas drugiej wojny światowej. Był chory na raka, cierpiał przez wiele lat. Myślę, że wówczas, w 1939, przybył do mego ojca z jakąś ostatnią misją. Niestety, nie wiem jaką...

– Fascynująca historia – powiedział, oddając jej notes. – Nie myślałem, że znajdzie takie rozwiązanie.

– Ja też nie. Ale to przecież nie psuje pańskiego „romansu o Graalu”, prawda?

– Oczywiście, że nie! To go tylko ulepsza... – Witold czuł takie podniecenie, że gotów był fikać koziołki. Widział już oczami wyobraźni swoje Muzeum Graala wraz z multimedialną prezentacją o zapomnianym duchownym.

Szybko przypomniał sobie nazwiska wszystkich znanych dziennikarzy, którzy niegdyś zatruwali mu życie, indagując o traktat europejski. Teraz karta się odwraca – to on ich wykorzysta do reklamy swego hotelu. „Nieznana prawda o Graalu – czy Dan Brown się mylił?” – takie nagłówki wkrótce pojawią się w kolorowych tygodnikach. Rewelacyjna reklama dla hotelowego biznesu!

Pożegnał panią Teklę wylewnie, obiecując wystawić dziennik jej ojca w najbardziej reprezentacyjnej gablocie swego minimuzeum, i pobiegł wykonać kilka telefonów. Był przekonany, że takiego „motywu przewodniego” nie ma żaden ośrodek wypoczynkowy w Polsce, no, może poza Arłamowem i Wilczym Szańcem (jeżeli tam jest jakiś ośrodek).

Po zakończeniu kolejnego spotkania piłkarskiego na szczycie Witold, którego wszystkie plany wchodziły właśnie w fazę realizacji, postanowił delikatnie wysondować nastroje.

– Eee, słuchajcie... Tak sobie myślałem o tym Harrym Potterze...

– Ty chyba za dużo o nim myślisz – wyzłośliwił się na zawołanie Albert, ale Witold go zignorował.

– I tak się zastanawiam nad twórczością dla dzieci... Pamiętacie, jakie fajne były za naszych czasów dobranocki?

– No – rozmarzył się Wojtek. – Przeważnie ruskie: *Wilk i zając* i jeszcze o tych dwóch psach i wronie...

– O psach była węgierska – sprzeciwiła się Mila. A *Wilk i zając* był odjazdowy...

– Jasne, dyskretna propaganda komunizmu pod płaszczykiem bajki ezopowej – sprzeciwił się Albert.

– Wcale nie – nie zgodziła się Mila. – Zając był wywrotowcem. Ciągłe śpiewał „a nam wsio rawno”...

– No tak, zając był wywrotowcem – zgodził się Albert.

– Ale wilk stanowił wcielenie stalinowskiego samowładztwa; ciągle powtarzał „Nu, zając, pagadi”!

Wszyscy się roześmiali. Chwilę milczeli, uśmiechając się do swoich dziecinnych wspomnień, po czym Wojtek powiedział: – Mówcie, co chcecie, ale ja bym to jeszcze raz chętnie obejrzał: *Kredka i Wodnika Szuwarka*...

– A ja, ponieważ w odróżnieniu od was udało mi się w międzyczasie dorosnąć, chętnie bym zobaczył *Hydrozagadkę* i ten film o oranzadzie *Operacja nektar* – stwierdził Albert.

– Tego ostatniego nie widziałem – stwierdził Wojtek.

– Ale wiekopomny serial *07 zgłoś się* czemu nie!

Cała czwórka niezwykle się ożywiła.

– Szczególnie ten odcinek, w którym porucznik Jaszczuk mówi: „Pojęcie »podatki« obce jest socjalistycznej formacji społecznej” – dorzucił Wojtek.

– Żartujesz – nie uwierzył Witold. – W którym odcinku tak mówił?

– W jednym z pierwszych, w których się pojawił, zastępując swojego uroczego wuja, porucznika Zubka...

– Zubek był moim idolem – stwierdziła Mila. – Nie wiem, czy zwróciliście uwagę, że on do wszystkiego używał swojej brudnej chusteczki: wycierał w nią nos, ręce, czoło, a nawet szklanę; „zabezpieczał” dowody rzeczowe...

Odpowiedziało jej powszechne obrzydzenie. – Masz dość specyficzny gust – stwierdził Albert.

– W ogóle Borewicz to był prawdziwy macho – rozmarzył się Witold. – W każdym odcinku miał inną babę...

– A czasem nawet kilka – dodał Wojtek. – I zawsze pokazywali jakieś golaski: a to striptiz w

Kongresowej, a to półgoła pilotka śmigłowca...

– Nieprawda! Nie było odcinka z pilotką – zaprotestował Albert.

– Właśnie, że był! To był pościg za szpiegiem. Pilotka była ubrana w rozpięty do pasa kombinezon, pod którym nic nie miała, i meldowała co chwilę – patrząc znacząco na porucznika Sławka – „mam go pod sobą” – dorzucił matematyk.

– Zalewasz – nie wierzył Witold. – Nic takiego nie pamiętam...

– Wojtek jest wielbicielem tego serialu oraz milicyjnych powieści i komiksów z lat 70. – wyjaśnił Lipski.

– No, z dialogów to można było boki zrywać!

– Niesamowite, że tak ci się to dokładnie wryło w pamięć – podziwiał prawnik.

– Najbardziej podobają mi się bon moty przełożonego Borewicza, majora Wołczyka, w stylu „w radiowozach też nie same dupy siedzą”, lub wiekopomne maksymy porucznika Sławka, na przykład „myślenie ma kolosalną przyszłość, także w milicji”.

– Była to właściwie „maksyma Gorkiego” – z przekąsem rzucił Witold, sięgając po kolejne piwo. – Wiecie co? Jak byłem mały, to strasznie mi się podobała ta wysoka technologia, która była pokazywana w tym filmie – dodał, wypijając kilka łyków, a widząc, że nie bardzo rozumieją, wyjaśnił: – Był taki odcinek z helikopterami, amfibią i całą masą tego wojskowego chłamu, żeby tylko olśnić widza... Mnie w każdym razie to olśniło, a najbardziej jak z armijnego śmigłowca ni z tego, ni z owego wyjechał samochód marki Polonez...

– W powietrzu? – spytała zaintrygowana Mila. – To rzeczywiście sztuka...

– Nie w powietrzu, ciemno, tylko na ziemi! – wtrącił się Wojtek. – To był właśnie ten odcinek z gołą pilotką... O szpiegu, który likwiduje dawnych wrogów... Ciekawe, że te cuda techniki pamiętasz, a jej nie...

– Freud miałby tu coś do powiedzenia – wymądrzył się Albert, patrząc na Witolda znacząco.

– Ciekawe co? – zainteresował się Witold. – Że moją podświadomą tęsknotą jest wstąpienie do milicji? Już chyba na to za późno... ustrój od milicjantów mi się zbyt szybko skończył.

– Poważnie zbierasz te powieści milicyjne? – zainteresowała się tymczasem Mila, zwracając się do Wojtka.

– Jak najbardziej. Mam ich z 500. Najpierw kupował je mój ojciec do pociągu, bo on dużo jeździł w delegacje. Potem już sam to kolekcjonowałem... Najgłupsza, jaką mam, nosi tytuł *Plaszcz z wielbłądziej welny...*

– Wojtek posiada w swych zbiorach nawet legendarny, wyśmiany przez Barańczaka kryminał *Bransoletka z rubinowym oczkiem* – powiedział z niekłamaną dumą Albert.

– Dlaczego legendarny? – dopytywała się Mila, którą niespodziewanie zainteresował temat. – O czym był?

– Nieważne o czym – wyjaśnił Wojtek, starając się jednocześnie uporządkować trochę stół zarzucony przekąskami, brudnymi filiżankami po kawie i pustymi butelkami, ale było to zajęcie zgoła syzyfowe. – Ważne jest to, że po trzystu stronach akcji okazywało się, że – jak to było w

Brunecie wieczorową porą Barei – „mordercą jest goryl”, czyli jakiś przypadkowy facet, który mignął raz, na samym początku książki...

– No cóż... – usprawiedliwił autora *Bransoletki* Albert. – Wydaje mi się, że możliwości w dziedzinie powieści kryminalnej są mocno ograniczone... „Wszystko już było, rzekł Ben Akiba” – tak śpiewał Kabaret Olgi Lipińskiej przed laty... A mój mistrz, Umberto Eco, stwierdził, że pozostało napisanie takiej powieści, w której mordercą okazałby się czytelnik...

Wszyscy roześmiali się z uznaniem (i nie wiadomo, czy bardziej dla Alberta czy włoskiego semiotyka). Witold uznał, że niespodzianka najprawdopodobniej się spodoba. Wstał i zwrócił się do reszty kibiców: – Zbierajcie się. Idziemy do mnie.

Wojtek i Albert zaczęli protestować, wskazując na niedojedzone kanapki i niedopite piwo, ale Witold był nieugięty. – Możecie to zapakować w siateczki i zabrać ze sobą...

Ociągając się nieco, towarzystwo skierowało się do wyjścia. Miła jak zwykle zbadła sytuację obserwacyjną.

– Słaba widoczność – powiedziała z wyraźnym zawodem. – Dzisiaj nic się nie zobaczy...

– A co ty chcesz dzisiaj obserwować? – zdumiał się Albert, próbując wyplątać nogę z krzaka, w który wszedł po ciemku. Zapobiegliwy Wojtek zapalił latarkę.

– Chciałam przygotować wszystko do obserwacji Saturna...

– Obserwujecie kółka? – zainteresował się Witold.

– Lodowe pierścienie – sprostowała Miła. – Choć właściwie najlepsza widoczność będzie za rok, ale i teraz jest niezłe...

– Powiedz, Miła – Wojtek skierował latarkę na drzwi, żeby umożliwić Witoldowi otwarcie zamka. – Czy potrafisz przewidzieć pogodę, obserwując gwiazdy?

– Albo przyszłość – dodał złośliwie Albert.

– Pogodę tak – roześmiała się. – Obserwuje się gwiazdozbiór Raka i jeśli gwiazdy konstelacji Persepe świecą jasno, pogoda jest bardzo piękna... Gwiazdy Kosiarza zwiastują jesień. Halo wokół Księżyca może zapowiadać opady śniegu i tak dalej. Co do przepowiadania przyszłości, to chyba lepiej to wychodzi Wojtkowi.

– No, otwarte – zadowolony Witold wpuścił gości do środka – Zawsze mam kłopoty z tym zamkiem!

– A jutro jaka będzie pogoda? – Dopytywał się Wojtek.

– Chcę dzieci zabrać na wycieczkę.

– Obejrzyj sobie prognozę – zdenerwowała się Miła.

– Dzisiaj w ogóle nie widać gwiazd...

Witold wprowadził gości do salonu i zapalił światło. Cała trójka krzyknęła z zachwytem. Pod jedyną ścianą pozbawioną okien zamontowany był duży ekran kinowy. Z tyłu, na specjalnym podwyższeniu, stał projektor. Przed ekranem rozstawione były fotele, a nawet kanapa.

– Kupiłeś kino! – emocjonował się Wojtek.

– Miła mi to doradziła – wyjaśnił Witold. Albert i Wojtek popatrzyli na nią wyczekująco.

– Nie patrzcie tak na mnie – zaprotestowała. – Nic mu nie doradzałam. Powiedziałam tylko, że ta sala jest taka wielka, że mogłoby tu być kino...

– I on od razu kino nabył – pokiwał głową Albert.

– Nie było drogie – wyjaśnił Witold. – Dodali całą bibliotekę starych filmów, głównie dla dzieci...

– To dlatego tak się nas wypytywałeś o te dobranocki – zrozumiał Wojtek.

– I co dostałeś? – emocjonował się Lipski.

– Kiwaczka alias Czeburaszkę, bo tak się nazywa po rusku, *Wilka i zająca*, długometrażowe filmy o Bolku i Lolku... Reszty jeszcze nie przejrzałem...

– Fantastyczne! – wykrzykiwał Wojtek, zaglądając do pudełek. – Jest nawet *Do przerwy 0:1*, czyli film na adekwatne, piłkarskie tematy...

– Prosimy o projekcję! – zażądał Albert, rozsiadając się w pluszowym fotelu.

– A co chcecie zobaczyć?

Zachwycona ekipa kibiców nie bardzo mogła się zdecydować. Wojtek nadal grzebał w pudełkach. – *Wakacje z duchami?* – zapytał, myśląc oczywiście o nawiedzającej Mirka białej damie. Odpowiedziały mu liczne okrzyki zachęty, a Wojtek, zwinąwszy dłonie w trąbkę, zaczął wrzeszczeć legendarną kwestię z tego filmu, czyli „Przebac mi, Brunhildo!”.

– Wiecie co? – powiedział Albert, gdy już skończyli oglądać. – My jesteśmy niezbyt poważni. To trzeba dzieciom pokazywać!

– Kupiłem to głównie z myślą o nich, choć oczywiście liczyłem również na wasz infantylizm i muszę przyznać, że się nie zawiodłem... – roześmiał się Witold.

– Potrzebujesz więcej krzeseł – stwierdziła Mila, rozglądając się po sali.

– Nie sprzedawali do kompletu foteli kinowych? – dopytywał się Wojtek.

– Sprzedawali. Nawet chcieli mi je dać za darmo, ale nie wziąłem.

– Czemu? – Nauczyciele umościli się wygodnie na kanapie i rozglądali za podręcznym barem. Niestety lokal na razie nie serwował ani coli, ani też popcornu.

– Bo za mojej młodości te fotele były strasznie zapchłone. Po seansie zawsze byłem pogryziony...

– Chyba przesadzasz – zaprotestowała Mila, ale dość niepewnie, i od razu zaczęła się nerwowo kręcić na fotelu.

– On ma rację – poparł Witolda Albert. – Fotele były z grubego pluszu i naprawdę Bóg jeden wie, co się w nich gnieździło.

– Pchły miały w nich hotel, jadłodajnię i prywatne lotnisko – roześmiał się Wojtek.

– Przydałby się jeszcze taki projektor, który rzucałby na ekran obraz wideo – rozmarzył się Witold. – Moglibyśmy puszczać porucznika i inne fajne knoty...

– Ciekawe, czy dodali ci jakieś ciekawe filmy edukacyjne – powiedział Albert, zaglądając do pudełka. – Kolega mi kiedyś mówił, że jak był w wojsku, rekordy popularności bił film oświatowy pod chwytliwym tytułem *Żołnierzu, strzeż się trypra...*

– Tak, tak. To był wyjątkowo kasowy film. Też o nim słyszałem – roześmiał się Wojtek.

– I jaka obsada – dodał Witold.

– Nie bądźcie obleśni – zmitygowała ich Mila, również przerzucając taśmy. – Masz tu prawie wszystkie ekranizacje Bahdaja... Dzieciom się to powinno podobać.

– Jak będzie ten projektor, to nagramy sobie finał Ligi Mistrzów i będziemy przez całe lato oglądać, jak Juventus trzepie skórę Realowi... – dodał Albert, powoli zbierając się z kanapy, bo godzina zrobiła się już późna.

Odpowiedział mu jednogłośnie protest kibiców innych drużyn.

Wychodząc, Mila zatrzymała się. – Prawie zupełnie zapomniałam – uderzyła się otwartą ręką w czoło. – Rozwiązałam twoją piracką zagadkę!

– Jaką zagadkę? – zainteresował się Albert.

– Opowiem ci po drodze – uspokoiła go.

– Mówisz poważnie? Jak ci się to udało? – dopytywał się Witold.

– To było bardzo proste. Odpowiedź kryła się zresztą w twojej opowieści. Ale nie powiem wam teraz. Jutro wieczorem zapraszam na Saturna i Jowisza oraz kawę.

– My też możemy przyjść? – zapytał Wojtek. – Jasne!

– Może przygotuję jakiś adekwatny film? – zastanowił się Witold. – Chyba tylko *Wyspa skarbów* by się nadawała, ale jej nie mam.

– Możesz przyjść w pirackim kapeluszu i z zakrytym jednym okiem – poradziła mu Mila. – W taki sposób lepiej wprowadzimy się w nastrój...

Na spotkanie w sprawie skarbu Witold zabrał ze sobą Jodza. Nie mógł uwierzyć w to, że Mili tak łatwo udało się rozwiązać zagadkę rodzinki O'Shea. Nie miała dostępu do żadnych dokumentów i informacji, nie znała się na poszukiwaniu skarbów...

– To elementarne, drogi Watsonie – odparła zagadnięta na ten temat pani sołtys, gdy cała czwórka zgromadziła się w kuchni dziwnego domu z wieżyczką. Albert i Wojtek zostali wprowadzeni w całą sprawę już podczas pamiętnego wieczoru z Brunhildą i teraz kipieli chęcią wyjaśnienia tajemnicy. Pojawiały się sprzeczne i dość fantastyczne koncepcje, gdyż Albert i Wojtek nie pozwalali Mili dojść do głosu.

– Działy wiry podwodne i statek zapadł się pod ziemię – wykrzykiwał Wojtek.

– Pojawiła się gigantyczna ośmiornica i... – nie rezygnował Albert.

– Przestańcie! – zmitygował ich Witold. – Sprawa jest poważna i nie ma śmiechu. Mila twierdzi, że zna odpowiedź na pytanie, gdzie jest „San Pablo de Burgos”, który zatonął gdzieś w rejonie Silver Banks ze skarbem na pokładzie wartym kilkaset milionów dolarów...

– Masz rację – opamiętał się matematyk. – Dajmy Milce przemówić i wyartykułować swoją hipotezę... – Cała trójka zawiesiła wzrok na pani sołtys.

– No więc... – odchrząknęła Mila. – Tak jak już powiedziałam wczoraj, sprawa wydaje się

dość prosta... Punktem wyjścia są dwie informacje: jedną z nich jest zapis na dokumencie, którego Witek w ogóle nie widział, co będzie dla nas bardzo ważne, oraz opowiadanie o świętej pamięci Melu Fisherze i statku „Atocha”...

– Ale co ma jedno do drugiego? – nie rozumiał Wojtek, który już zdążył zapomnieć, że zobowiązali się nie przerywać pani sołtys.

– Ma, i to bardzo dużo – powiedziała poważnie Mila. – Witek opowiadał, że Mel Fisher odkrył wrak „Atochy”, kiedy się zorientował, że statek leży nie tam, gdzie go szukano, bo w XVI wieku nazwą Matecumbes Key nazywano wszystkie wyspy wokół Forydy, a nie tylko dwie, jak ma to miejsce dzisiaj...

– Uważasz, że „Burgos” leży gdzie indziej? – tym razem przerwał Witold, który – mimo iż zazwyczaj był bardzo opanowany – nie mógł już się doczekać rozwiązania całej historii.

– Tak – powiedziała Mila, popijając herbatkę ziołową.

– Ale gdzie? – dopytywał się Albert.

Mila pokiwała głową, odłożyła filiżankę i wzięła do ręki kartkę. – Zapiisałam sobie od razu, jak brzmiała informacja z tego hiszpańskiego dokumentu, żeby nie zapomnieć. Statek „San Pablo de Burgos” zatonął „10 leguas na wschód od Los Abrojos”. Przetłumaczyłam sobie to zdanie na hiszpański, bo od razu zaczęłam podejrzewać, że błąd tkwi w języku... No i miałam rację! „Legua” – moją uwagę zwróciła ta miara. Podejrzewałam, że to taka mila morska, tylko po hiszpańsku, ale zaciekało mnie, ile liczyła metrów...

– Mówiłem ci: około 7000 – wyjaśnił lekko zniecierpliwiony Witold, bo temat był już wałkowany.

– Otóż nie – triumfalnie oświadczyła Mila, wyciągając drugą kartkę. – Legua to miara, która pojawia się już w słynnym traktacie z Tordesillas...

– Co to za traktat? – zainteresował się Wojtek.

– Nie bądź głab – strofował go Albert. – To postanowienie niesławnego papieża Aleksandra VI Borgia, dzielące pomiędzy Hiszpanię a Portugalię wpływy w Nowym Świecie.

– Właśnie – przytaknęła Mila. – Borgia wyznaczył południk, poprowadzony jako linia prosta, od bieguna do bieguna i przebiegający 100 leguas na zachód od Wysp Zielonego Przylądka. To, co odkrywano na wschód od południka Tordesillas, należało do Portugalii, to zaś co na zachód, do Hiszpanii...

– Ile wynosiła wtedy legua? – zapytał Witold z rosnącym zainteresowaniem, bo zaczął się domyślać, dokąd zmierzają dedukcje dziewczyny.

– Około 6000 metrów... – stwierdziła, zerkając na kartkę.

– Jak to? Czy te wskaźniki się zmieniały? – nie rozumiał Wojtek. – A może znajomy Witka miał jakieś złe dane?

– Miał dobre. Wyczytałam, że z miarą nazywaną legua był problem: istniała „legua legal” licząca około 7000 metrów, z której najprawdopodobniej korzystali właściciele See Hole, ale także „legua juridica” długości nieco ponad 4000 metrów, „legua comun” – trochę ponad 5000 i

„legua de camino” – około 6000, i tej pewnie używał papież...

– No tak – zrozumiał Witold. – To mogła być inna legua! Rozbieżności są ogromne! Przy 10 leguas błąd może wynosić nawet 30 kilometrów! To jest ogromny obszar do przeszukania! Tylko o którą z tych miar chodzi?

– zapytał, patrząc na Milę, a ona wzruszyła ramionami.

– Tu trzeba by się odwołać do dokumentu i zobaczyć, czy nie ma tam jakiegoś skrótu przy nazwie „legua”.

To może być jakiś nic nieznaczący znaczek, wyglądający jak plamka albo załamanie pergaminu...

Witold pokiwał w skupieniu głową i widać było, że nad czymś intensywnie myśli. Albert i Wojtek nie kryli swego podekscytowania.

– Ale skąd ty to wszystko wiesz? – zainteresował się Wojtek. – Znamy się trochę, ale nigdy nie zauważyłem u ciebie skłonności do poszukiwania wraków...

Mila uśmiechnęła się. – Z popularnej książki pana Grobickiego *Skarby na dnio mórz*, która znajduje się w naszej bibliotece. Wiedziałam, że gdzieś czytałam o skrzyni Davye'go Jonesa, Fisherze i leguas... przeszukałam bibliotekę i znalazłam. To zresztą bardzo fajna książka i ciekawie napisana...

– No to teraz nie pozostaje wam nic innego jak zorganizować wyprawę i odnaleźć skarb – zaśmiał się Albert.

Witold przecząco pokręcił głową. – Nawet gdyby było to wykonalne, a raczej nie jest, to nie możemy tego zrobić. Po pierwsze, nie mamy dokumentu i nie wiemy, która to miara długości, po drugie licencję na wydobycie wraku posiada See Hole i nasza działalność byłaby piractwem... Możemy jednak zrobić coś innego...

– Co? – zapytał Wojtek.

– Mam pewien pomysł, tylko Mila się musi zgodzić...

– Na co? – zainteresowała się Mila.

– Na razie nie mogę ci powiedzieć, bo nie wiem, czy się uda. Daj mi zgodę *in blanco* i zaufaj mi...

– Hmm. – Mila zamyśliła się głęboko. – Mój ojciec zawsze mi powtarzał, że gdy ktoś mówi „zaufaj mi”, to trzeba jak najszybciej uciekać...

Wszyscy się roześmiali. – To żaden kant, jeśli o to ci chodzi – uspokajał ją Witold.

– Wiesz, Witek, ja może fascynuję się przygodami Colargola i kibicuję Valencii, ale biorę pensję od państwa i nie zrobię niczego, co jest nielegalne – powiedziała stanowczo Mila.

– Ja też jestem urzędnikiem państwowym, nie zapominaj o tym – obraził się lekko. – I nigdy nie namawiałbym cię na jakieś ciemne machinacje. Oświadczam uroczyście, że to, co zamierzam zrobić, nie jest nielegalne ani niemoralne ... Choć zapewne jest tuczące – powiedział po chwili namysłu. – Masz na to dwóch świadków, zresztą mój plan to na razie wstępna przymiarka, w ogóle nie wiem, czy chwyci. Jak będą konkrety, to ty będziesz musiała podjąć decyzję...

Mila spojrzała bezradnie na Alberta i Wojtkę. – Co o tym myślicie?

Albert wzruszył ramionami. – Bardzo to wszystko tajemnicze, ale ja bym zaryzykował. On wygląda uczciwie, choć kibicuje Ajaksowi Amsterdam.

– Dobrze – zdecydowała się Mila. – Snuj tę swoją tajemną intrygę, ale informuj nas na bieżąco...

– I pamiętaj, że będziemy ci patrzeć na ręce... – złowieszczo dodał Wojtek.

Na poczcie w Brzózkach Wielkich, gdzie Witold udał się z listem Alinki, a także wykonać pilny telefon do USA, napadła go (bo inaczej doprawdy trudno to nazwać) pani naczelnik. Była to osoba groźna i wymagająca. Pracownicy najwyraźniej drżeli przed nią ze strachu, bo w momencie, gdy odbywała się napaść na Witolda, gorliwie symulowali pracę i całkowitą głuchotę.

– Pan Mossakowski? – zapytała retorycznie pani naczelnik i skinęła na Witolda ręką. Gdy podszedł do jej stanowiska, zaczęła spod stołu wyciągać jakąś ogromną paczkę.

– To dla pani Tyczyńskiej – wyjaśniła, bo Witold zareagował przerażeniem na tę niespodziewaną przesyłkę.

– Nie mamy ludzi, żeby wozić takie wielkie paki! Może pan mógłby to zabrać?

Witold oczywiście mógł i przy pomocy chudego urzędnika w ciemnym kitelku wsadził paczkę do bagażnika, ale cały czas próbował zrozumieć, za co właściwie poczta bierze pieniądze. Listy notorycznie giną, inne przesyłki także, a opłaty wcale nie są niższe...

– Niech się pan nie przejmujecie naczelnik Słodką – wyszeptał konspiracyjnie ów urzędnik o wyglądzie świerszcza. – Ona nie lubi pani dziedziczki i, jak może, utrudnia jej życie. Gdyby ta paczka była do kogoś innego, to już by dotarła na miejsce... A tak to czekała trzy dni... Dobrze, że pan przyjechał...

– To naczelnik nazywa się Słodką? – zainteresował się Witold ze zdziwieniem.

– Niezbyt pasuje, prawda? – Urzędnik odpowiedział mu bladym uśmiechem i pomachał ręką na pożegnanie. W drzwiach poczty westchnął ciężko i skurczył się jeszcze bardziej – co Witoldowi wydawało się prawie niemożliwe.

Ciężka paczka pochodziła z Francji z jakiejś wytwórni szkła laboratoryjnego i porcelany. Mając na uwadze ewentualną zawartość, Witold jechał bardzo ostrożnie i wolno. Wiosenne burze sprawiły, że polna droga zmieniała się w ocean błota. Mimo tych niesprzyjających okoliczności już po godzinie dotarł do Idy i zaparkował pod domem pani Tyczyńskiej. Z dużym wysiłkiem wyciągnął paczkę z samochodu i wkroczył do domku myśliwskiego.

– Przepraszam, że bez pukania, ale nie miałem już wolnej ręki – oznajmił bezceremonialnie dziedziczce, która właśnie dopijała przedpołudniową kawę.

– Bardzo panu dziękuję! – wykrzyknęła pani Tekla. – Pani naczelnik Słodką przetrzymała ją na pewno kilka dni, ale na szczęście pan się zjawił w roli mojego wybawcy na białym koniu...

– Raczej w zabłoconym samochodzie, ale to już szczegół – z uśmiechem stwierdził Witold,

stawiając pakę na stole. – Upraszam się uniżenie o kawę...

– Oczywiście! – Tyczyńska ustawiła na piecu swą sprytną małą maszynkę. – Należy się panu więcej niż kawa! Zdradzę panu, co jest w paczce...

– Jestem zaszczycony! – wystękał Witold, opadając na krzesło. – Przepraszam bardzo, ale muszę zapalić... Za stary jestem na rwaniu ciężarów...

– Zapal sobie, synu! – Pani Tekla z uśmiechem podsunęła mu kryształową popielniczkę. – Będzie pan pierwszą osobą, z którą podzielę się moim nowym pomysłem... Zresztą to pan mi go podsunął... – Zaczęła powoli i ostrożnie rozpakowywać pudło. W kilku warstwach pakuł i bibuły znajdowały się jakieś apteczne utensylia.

– Co to jest? – zainteresował się żywo Witold.

– Różne naczynia laboratoryjne ze szkła ogniotrwałego i porcelany – powiedziała, pokazując mu liczne menzurki, lejki, małe pipety, buteleczki aptekarskie z ciemnego szkła, porcelanowe pojemniki i moździerz. – Na stare lata postanowiłam rozszerzyć działalność...

– To znaczy? – zapytał mocno zaintrygowany Witold, oglądając jednocześnie porcelanowy moździerz.

– Postanowiłam produkować naturalne kosmetyki... No, wie pan – kremy, szampony, toniki do twarzy...

– Fantastycznie! – zachwyił się prawnik, biorąc do ręki buteleczkę z ciemnozielonego szkła.

– Niech pan nie będzie taki bezkrytyczny! – zgasiła go pani Tekla. – Nigdy tego nie próbowałam... Mam co prawda całą bibliotekę starych książek dotyczących kosmetyków, ale co innego czytać o tym, a co innego robić...

– Na pewno da sobie pani radę – stwierdził stanowczo Witold, zapalając kolejnego papierosa. – Przecież jest pani farmaceutką z wykształcenia, myślę, że kręcenie kremów jest – *toutes proportion gardees* – podobne do przyrządzania maści na odciski...

– Dziękuję, że nie wspomniał pan w tym miejscu „szarej maści na mendy” znanej z literatury i nie tylko. – Starsza pani wyglądała wyraźnie na rozbawioną, a Witold w niemym geście zaprzeczenia uniósł ręce do góry.

– Mimo wszystko – kontynuowała pani Tekla – ma pan sporo racji. Kosmetologia jest podobna do farmacji, prawie tak jak alchemia do chemii... Jak pan widzi, mam wszystkie potrzebne urządzenia: wagi, pipetki, mieszalniki... I dużo potrzebnych składników: olejki eteryczne i stabilizatory...

– Stabilizatory? – przerwał Witold. – To brzmi groźnie...

– Dlaczego? – zdziwiła się starsza pani. – Pewnie chodzi panu o te stabilizatory i konserwanty spożywcze? Od stuleci w kremach były stabilizatory... Jednym z nich jest na przykład olbrot...

– Olbrot? – zainteresował się Witold. – Ten z *Moby Dicka*? – A widząc, że pani Tekla nie bardzo rozumie, wyjaśnił. – Marynarze ze statku „Pequod”, opisanego w powieści, polują na wieloryby. Główną zdobyczą był właśnie olbrot, niezwykle cenna substancja pozyskiwana – o ile

pamiętam – z głowy kaszalota...

– Rzeczywiście – stwierdziła Tyczyńska – właśnie o to chodzi. Jak widzę, to zainteresowanie powieściami marynistycznymi jest u pana bardzo poważne... Nawet kota pan nazwał tak z morską...

– Jodź – wyjaśnił Witold. – Tak nazywała się figurka gołego bożka, którego czcił przyjaciel głównego bohatera *Moby Dicka* niejaki Queequeg.

– Urocze imię – stwierdziła starsza pani, ale Witold nie wiedział, czy ma na myśli Jodź czy Queequega.

– Czy mógłbym kiedyś przyjść i zobaczyć, jak pani produkuje te szampony? – zapytał jeszcze. – Chyba że boi się pani, że mam robaki...

– Jakie robaki, na miłość boską?! – zawołała pani Tekla, również sięgając po popielniczkę.

– No, wie pani, słyszałem, że do takiej pracy trzeba mieć badania sanepidu, ale ja raczej robaków nie mam...

– Robaków nie, ale jednego małego robaczka na pewno, ten cię toczy, drogi panie... – stwierdziła pani Tekla, przyglądając mu się uważnie. Witold niespokojnie pokręcił się na krześle...

– Nie rozumiem, o czym pani mówi... – powiedział dość niepewnie.

– Bo jesteś głupi, chłopcze, albo udajesz – roześmiała się. – Chodzi mi o takiego małomównego, z gwiazdami...

Witold popatrzył na nią sponad okularów, co zdarzało mu się zawsze, gdy ktoś go trafnie zaskoczył.

– Hm... – powiedział, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. – Ja już chyba pójdę...

– Niech się pan nie obraża – wykonała ruch ręką, który w jej mniemaniu miał być uspokajający. – Już nie wtykam nosa w nie swoje sprawy i ani słowa o tych... no...

– Robaczkach – dokończył pogodnie Witold.

– Właśnie. Chciałam tylko powiedzieć, że 16 maja Miła ma urodziny...

– Naprawdę? – zainteresował się.

– Tak. Jakoś tak się utarło, że z tej okazji urządzamy Święto Wiosny... No wie pan, takie zabawy prasłowiańskie, które organizuje nasz pop... Zwykle robiliśmy to w pańskim parku... Ze względu na dużą przestrzeń i strumyk potrzebny do pławienia Marzanny... Zastanawiałam się, czy i w tym roku...

– Oczywiście! – zgodził się z entuzjazmem Witold. – Będzie mi bardzo miło! Co mam przygotować?

– Pan nic nie musi robić! Daje pan lokal i ewentualnie siłę kulinarną w osobie pani Gertrudy...

– Jeżeli tylko wyrazi zgodę... – powiedział Witold.

– Na pewno! Ona zawsze chętnie się w to włącza. Mireczek uwielbia te zabawy... Bardzo też liczę na jej cudowne nalewki...

– Ja również – roześmiał się Witold, żegnając się z panią Teklą.

„Prasłowiańskie harce w parku” – pomyślał, wychodząc, a zaraz potem zaczął się zastanawiać nad prezentem dla Mili.

Kilka dni później, wczesnym wieczorem, „Kiedy biała ćma pomyka, /I ćma gwiazd niebo zaciąga”* [William Butler Yeats, *Pieśni Aengusa Wędrowca*, tłum. Ewa Życieńska.], jak by powiedział poeta W. B. Yeats, czwórka kibiców rozsiadła się w salonie kinowym. Witold zaprosił ich na kolację, ale też, by omówić sprawę skarbu piratów.

– No to masz wszystkich uczestników spisku – zaczął Albert, gdy wszyscy już wygodnie rozsiadli się w fotelach.

– Milę, która rozwiązała zagadkę, i dwóch świadków. Co nam masz do powiedzenia?

Witold wyciągnął dużą kopertę. – Zaraz po naszej rozmowie o skarbie napisałem mejla do Pata, w którym wyjaśniłem sytuację i zaproponowałem układ... Potem kilka razy negocjowaliśmy go telefonicznie.

– Jaki układ? – zdziwiła się Milla, która nie sądziła, że cała sprawa będzie miała jakiś dalszy ciąg.

– Głównie finansowy. Zaproponowałem mu rozwiązanie problemu za pewną sumę...

– Najlepiej procent od zysków – emocjonował się Wojtek. – Od kilkuset milionów dolarów to byłaby ładna sumka...

– Właśnie te opcję, procentową, od razu odrzuciłem – wyjaśnił spokojnie prawnik. – Milla mogłaby zostać z niczym – oni znajdą lub nie znajdą, potem się będą procesować z władzami... Cała historia będzie trwała latami... Zaproponowałem sumę z góry...

– Bardzo rozsądnie – pochwalił Albert. – Chciwość wielu już zgubiła, na co mamy liczne przykłady w literaturze, choćby u Zoli i Balzaka... Nie mówiąc o Dickensie i naszym pocziwym Bolesławie Prusie.

– Przestań, Albert, zachowujesz się jak dziecko z ADHD! – uciszył go Wojtek. – Niech Witek powie, jak to załatwił.

Witold podziękował mu wzrokiem. – Zaproponowałem trzysta tysięcy dolarów pod warunkiem, że Mili uda się odczytać rękopis... Powiedziałem Patowi, że problem tkwi w małym szczególe językowym oryginału i Milla musi go zobaczyć... Pieniądze wypłacą wtedy, gdy zlokalizują wrak... Przygotowałem nawet umowę, która chroni cię przed wszystkim kantami typu „statku tam nie ma”, choć potem z prasy dowiemy się, że właśnie był... – I co? Zgodził się? – nie mógł wytrzymać Wojtek.

– Zgodził się na ćwierć miliona, w tym pięćdziesiąt tysięcy zaliczki wraz z dokumentem, który przyślą pocztą kurierską, oczywiście pergamin jest do zwrotu. Nawet jeśli nic na nim nie znajdziesz, zapłacą ci za wskazówkę... Po prostu przedstawisz im swoją hipotezę na piśmie... Te pieniądze to zapłata za pomysł – zwrócił się do Mili.

– Co ty o tym myślisz? – zapytał ją Wojtek.

Pani sołtys wstała od stołu i wyglądała na całkowicie oszołomioną... – Sama nie wiem... – zastanowiła się. – To chyba nie całkiem fair... A jak nic nie znajdę na dokumencie, a oni zapłacą tyle pieniędzy... Głupio bym się czuła, bo to przecież ze dwieście tysięcy złotych... Brać je tak za nic...

Albert machnął ręką – Dziwne skrupuły. To przecież oni zaproponowali... Widać im się opłaca, chyba że Witek to wydusił siłą...

– Niczego nie wyduszałem. Albert ma rację – na pewno im się opłaca, poza tym jestem pewien, że dostaniesz całą sumę, a to prawie milion złotych. Oczywiście będziesz musiała zapłacić podatek...

– Swoją drogą ciekawe, czy można sobie od tego odliczyć 50-procentowe koszty uzysku – zastanowił się niespodziewanie Wojtek. – To przecież „twórczość”, w każdym razie praca intelektualna.

– Raczej „konsultacja” – sprostował Lipski. – Już urząd skarbowy coś wymyśli, żeby dobrze na tym skarbie zarobić...

– To w tej chwili nieistotne – przerwał te jałowe rozważania Witold. – Chodzi o to, czy się zgadzasz i czy podpiszesz umowę – pokazał jej kopertę.

– Tyle forsy – zastanowiła się Mila. – Mogłabym zacząć hodować alpaki...

– Święci Pańscy – wykrzyknął Albert. – Ty chcesz hodować alpaki? Przecież one plują!

– To lamy plują – machinalnie sprostował Witold, ciągle patrząc na Milę, która nerwowo chodziła po sali kinowej.

– Lepiej hoduj selskiny śmieszki – poradził życzliwie Wojtek. – Są bardzo miłutkie...

– Tylko chichoczą jak hieny – dodał Albert.

– W tej chwili przestańcie – uspokoił ich Witold.

– To sprawa poważna. Mila, co o tym myślisz?

– Uważasz, że ta propozycja jest OK? – zapytała.

– Jak najbardziej! Ryzyko minimalne, przeczytaj sobie spokojnie umowę, możemy jeszcze ją skorygować... Oni są zdesperowani, chcą mieć ten statek za wszelką cenę... i w tym twoja szansa!

– Jest mi dodatkowo głupio, bo to twój pomysł i chciałabym się z tobą podzielić tymi pieniędzmi – powiedziała Mila, wyciągając umowę z koperty.

– Bardzo słusznie! – poparł tę decyzję Albert. – Witek ma prawo do tej forsy jak chłop do ziemi!

– W żadnym wypadku – zaprotestował Witold.

– To twój pomysł i mnie nic do tego. Choć przyznam, że gdy już dostaniesz ten milion minus podatek...

– Wysoki – uzupełnił Lipski, wykrzywiając się brzydkiem.

– Tego jeszcze nie wiemy – machnął ręką Witold i ciągnął dalej: – To przemyślisz pewną moją propozycję...

– Jaka? – podniosła głowę znad umowy.

– Nie będziesz inwestować w alpaki ani w śmiejące się jak hieny selskiny... przynajmniej wstrzymasz się z tym na jakiś czas... Tylko zainwestujesz w mój hotel... To znaczy zostaniesz moją wspólniczką...

– No nie! – wykrzyknął Albert. – Chyba nie zmusisz jej, żeby wyjechała do jakiejś idiotycznej Warszawy... Tu jest potrzebna...

– Stolica zapewne będzie zachwycona tym epitetem – machnął ręką Witold. – Wcale nie będziesz musiała wyjeżdżać... Będziemy przecież pracować na miejscu, od marketingu i PR wynajmiemy sobie ludzi...

Miła była najwyraźniej przytłoczona nagłością zmian – rzeczywiście, w ciągu kilku minut stać się milionerką, to była dosyć szokująca sprawa. Rozejrzała się bezradnie po wielkiej sali kinowej i powiedziała do Witolda: – Daj mi trochę czasu, muszę to przemyśleć... To wszystko zdarzyło się tak niespodziewanie... Dla mnie ta historia jest po prostu głupia – powiedziała szczerze. – Opowiedziałeś o swojej przygodzie, ja z ciekawości zaczęłam się zastanawiać nad rozwiązaniem zagadki... Ty potraktowałeś to serio... Po prostu ciężko mi się w tym wszystkim odnaleźć...

– Jasne – pokiwał głową Witold. – Przeczytaj umowę, może ci coś jeszcze przyjdzie do głowy.

– Nie rozumiem tych rozterek – dziwił się ciągle Albert.

– Przecież najprostsze pomysły są zawsze najgenialniejsze! Ja bym od razu podpisywał, nawet własną krwią! To okazja jedna na milion!

– No, co do tego ostatniego, jak nigdy się zgadzam – powiedział flegmatyczny Wojtek. – Okazja jedna na milion, żeby zdobyć milion!

Roześmiali się, ale Witold cały czas obserwował zaszępną Miłę. Zabrała się do czytania umowy, a jej mina niewiele wyrażała. Był ciekawy, czy się zgodzi – przeszedł go nawet dobrze znany dreszcz, który u niego nazywał się „pragnieniem przeżycia przygody”. Pomyślał o manuskrypcie i zaginionym statku, naprawdę chciał, żeby ta piękna bajka zamieniła się w rzeczywistość.

Następnego dnia rano, gdy tylko Witold wyszedł na taras i zaczął rozglądać się po parku, ujrzał zbliżający się samochód. Był to zielony łazik ze znakami Państwowej Służby Weterynaryjnej i Mossakowski się zorientował, że za chwilę pozna szalejącego doktora Karwałę. Włożył więc sweter i odważnie zszedł na podjazd przed domem.

– Witam pana! – wykrzyknął kordialnie szalejący doktor, gramoląc się z samochodu. – Pieskie przedpołudnie, co?

I choć Witold wcale tak nie uważał, skinął głową, ściskając podaną rękę. Przy okazji przyjrzał się swemu gościowi. „Był to mężczyzna w sile wieku, około pięćdziesiątki, o szerokim

czole, orlim nosie, przenikliwym spojrzeniu, prawej i szlachetnej duszy”* [Mario Vargas Llosa, *Ciotka Julia i skryba*, tłum. Danuta Rycerz, Poznań 1997, s. 22 i wiele, wiele razy w innych miejscach.]

. Witold nie mógł oprzeć się wrażeniu, że peruwiański prozaik opisał właśnie szalejącego doktora. Karwala dokładnie tak wyglądał i trzeba się było z tym pogodzić. Toteż pogodził się, zastanawiając się, jakie jeszcze niespodzianki przyniesie to spotkanie.

Szalejący doktor rozsiadł się wygodnie na werandzie, odmawiając wejścia do domu.

– Słyszałem, że ma pan jakąś żywiołę do zaszczepienia? – zapytał, gdy tylko pani Gertruda podała mu kawę.

– Tak. Ale jest to żywioła niskogabarytowa, czyli kot.

– Może być i kot – zgodził się doktor. – Ja i kotem nie pogardzę, choć sam osobiście wolę nietoperze... Ma pan może w tym swoim zamku jakieś nietoperze?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Witold, co było zgodne z prawdą, bo istotnie go nie miał.

– Szkoda! Bardzo na pana liczyłem. Koresponduję z profesorem Dobrowolskim z PANu, który jest specjalistą od nietoperzy... Światowa sława... Hoduje też żółwie...

– Żółwie i nietoperze? Dość dziwne zestawienie...

– zdziwił się Mossakowski.

– Czy ja wiem? – powątpiewał weterynarz, dopijając kawę. – Z tymi żółwiami to miał, proszę pana, ogromny kłopot. Przeczytał ustawę o identyfikacji zwierząt, wie pan, o konieczności kolczykowania wszystkich zwierząt i obowiązku posiadania przez nie świadectw pochodzenia, i wpadł w panikę...

– Dlaczego? – nie rozumiał Witold.

– No bo nie doczytał się definicji słowa „zwierzęta” i myślał, że te żółwie też podpadają pod ustawę...

– Kolczykowanie żółwi? – zainteresował się Witold.

– A czy one w ogóle mają uszy?

– Mają czy nie mają, to nie jest takie ważne – zniecierpliwiał się szalejący doktor. – Chodzi o te świadectwa. Żółwie są bardzo stare i w ogóle nie wiadomo, skąd one pochodzą, i to był największy problem. Profesor prawie zawału dostał, jak sobie wyobraził, co będzie...

– I co było?

– Nic. Na szczęście w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa wyjaśnili mu, że żółwie nie należą do zwierząt gospodarskich...

– A koty? – zapytał szybko Witold, bo jakoś nie mógł sobie wyobrazić Jodża z gustownym kolczykiem w uchu (choć może nadałoby mu to cech kota pirackiego, kto wie?).

– Co koty? – nie rozumiał doktor Karwala.

– No, czy należą... Bo mój kot jest gospodarski...

– A gdzie on tam gospodarski – zbagatelizował odpowiedzialną rolę Jodża szalejący doktor.

– Zjeść go pan chce czy co? Zwierzę gospodarskie to świnia, krowa, koza. Drób już nie... I króliki też nie... Nawet strusie może pan sobie trzymać bez kolczyka...

– Bo też uszu nie mają – wpadł mu w słowo Witold. – I nie ma go gdzie przymocować.

– Co pan ciągle z tymi uszami – zgorszył się weterynarz. – Króliki mają uszy, i to jeszcze jakie! A nie trzeba ich kolczykować...

– A alpaki? – zainteresował się nagle Witold, przypominając sobie marzenie Mili o hodowli tych zwierząt.

Doktorowi Karwali o mało filiżanka nie wypadła z ręki. – Święta Panienko Niebieska – wykrzyknął w strasznym zgorszeniu. – To się zaczyna szerzyć jak zaraza! Powiedziałem już pani Mili, że żadnych alpaki, lam, selskinów śmieszaków, krokodyli oraz waranów uraguti nie chcę tu widzieć! Ja się mało znam na zwierzętach egzotycznych i nie życzę sobie w Idzie wiejskiego kącika dziwnych kreatur!

– Dobrze, już dobrze – starał się go uspokoić Witold, ale szalejący doktor, wyraźnie dotknięty do żywego, zerwał się z fotela i spacerował wzdłuż werandy. Nie wiadomo, jak mogłaby się skończyć ta rozmowa, gdyby pani Gertruda litościwie nie przyniosła drugiej filiżanki kawy oraz protestującego głośno Jodża.

– Proszę bardzo, panie doktorze – powiedziała, wręczając mu kotka i jednocześnie mrugając znacząco do Witolda. Najwyraźniej doktor był znany ze swoich wybuchów, a przydomek „szalejący” Mili nadała mu nie bez powodu.

Doktor od razu się rozpogodził. Wziął do ręki piszcącego żałośnie Jodża i obejrzał go ze wszystkich stron.

– Bardzo miłutki kotek – stwierdził, stawiając go na stole i sięgając do swojej obszernej torby. – Choć przyznam, o nieco cudacznym umaszczeniu.

– Jest może dość nietypowy, ale szalenie sympatyczny – bronił swego ulubieńca Witold.

– Kapryśnik – podsumował zachowanie Jodża doktor Karwala. – To co, szczepimy na wściekliznę i odrobaczamy?

– Bardzo proszę – powiedział w imieniu Jodża Witold, choć szczerze wątpił, czy kotek popiera jego decyzję. A jednak mikstura na robaki mu chyba posmakowała, bo dość zachłannie oblizywał podaną mu do pyszczka strzykawkę.

– A... jaki spryciarek – zachwycił się szalejący doktor. – Z wszystkiego potrafi wyciągnąć jakąś korzyść dla siebie. Bardzo szczęśliwy charakter! – szybko zaaplikował Jodżowi zastrzyk i oddał kotka Witoldowi. – Taki stwór to prawdziwa pociecha – myszy będzie łowił, szczury gonił, nawet pająkiem nie pogardzi...

– Mam nadzieję, że szczurów tu nie ma – zaniepokoił się Witold. – Zresztą taki mały kot raczej by sobie z nimi nie poradził...

– No, ze szczurem kanalarzem, inaczej zwanym parciakiem, na pewno nie – stwierdził weterynarz, chowając sprzęt do torby. – Ale tu na szczęście takich nie ma. Ze szczurem polnym raczej tak... – Wstał i jednym haustem wypił kawę. – Powinienem już jechać, panie mecenasie, mam dziesięć krów do zakolczykowania, a na dodatek muszę zdementować pewną groźną plotkę...

– Jaka? – zainteresował się Witold.

– Ludziska wysłuchały w jakimś radiu, że krowa musi mieć paszport ze zdjęciem 10 na 12, w kolorze, i to w dodatku z czterech stron...

– A musi mieć? – nie ustępował Witold.

– Oj, panie mecenasie – pokiwał głową szalejący doktor. – Taki na pozór z pana inteligentny człowiek, a takie głupie pytania pan zadaje. Oczywiście, że nie musi. Ludzie to we wszystko wierzą... A jeszcze jak radio albo telewizja coś poda, to już umarł w butach... Ta telewizja to lepiej by pokazywała same telenowele brazylijskie, może ludzie byłiby od tego bardziej szczęśliwi...

– Panie doktorze – przypomniał sobie Witold, odprowadzając Karwałę do samochodu. – Nie podliczył mnie pan za Jodza...

– Nie ma pośpiechu – stwierdził doktor. – Wpadnę do pana na obiad po południu i pokaże mi pan tę wieżę, do której się pan dostał dźwigiem, i będziemy kwita. Muszę sprawdzić, czy nie ma tam nietoperzy...

Witold chwilę patrzył za odjeżdżającym doktorem, po czym puścił nieco obrażonego zamachem na swoją nietykalność cielesną Jodza na ścieżkę przed domem i wszedł do kuchni. Pani Gertruda krzątała się przy garnkach.

– Pani Gertrudo, doktor Karwała będzie u nas na obiedzie – powiedział, a gospodyni wzruszyła ramionami.

– On uwielbia gadać o nietoperzach...

– Zauważyłem. Nie lubi za to rozmów o zwierzętach egzotycznych...

– Bo nie ma poczucia humoru – oceniła gospodyni. – Podobno kiedyś zdechł mu kanarek jakiegoś siostrzeńca.

Od tej pory nie chce leczyć papug ani świnek morskich.

– A są tu takie? – zainteresował się Witold.

Pani Gertruda wzruszyła ramionami. – Raz dzieci miały patyczaki, ale je wypuściły i teraz te dziwadelka hulają po parku.

Witold roześmiał się, bo skojarzenie biednych patyczaków z „hulaniem” po parku wydało mu się bardzo zabawne.

Doktor Karwała powrócił późnym popołudniem i od razu zażądał zaprowadzenia na wieżę. Witold poważnie obawiał się, że sympatyczny, choć porywczy weterynarz może skrócić sobie kark na schodach, ale na szczęście zbyt nisko oceniał możliwości doktora. Po szczegółowych oględzinach wieży Karwała był wyraźnie rozczarowany.

– Ani śladu nietoperzy! Cóż za zawód! Miałem taką nadzieję, że znajdę je wreszcie u pana! Ale nic, trzeba będzie szukać dalej – i zmartwiony doktor wyruszył w powrotną wędrówkę po schodach. Gdy już zasiedli do obiadu – który stanowił kolejny kulinarny popis pani Gertrudy –

pomiędzy zupą a daniem głównym weterynarz rozchmurzył się trochę.

– Pewnie dziwi pana moja sympatia dla nietoperzy? – zapytał Witolda, który natychmiast zadeklarował, że nic podobnego nawet nie powstało mu w głowie, choć oczywiście było wręcz przeciwnie.

Od przedpołudnia, kiedy poznał Karwałę, zastanawiał się bez ustanku, jak ktoś może lubić te dziwne latające myszki o błoniastych skrzydłach. Te relikty epoki prawie lodowcowej, niezbędny rekwizyt każdego szanującego się horroru. Na myśl o tym, że nietoperze potrafią się wkręcać we włosy, skrzywił się w obrzydzeniu i poprawił spadające okulary. Karwała zrozumiał to opacznie, jako wyraz zaciekawienia.

– Proszę pana! Nietoperze to niezwykle inteligentne stworzenia! Mają doskonały zmysł równowagi i orientacji. Posługują się ultradźwiękami, które odbijają się od przeszkody...

– To dlaczego wkręcają się we włosy? – spytał Witold, który nie mógł się uwolnić od tej natrętnej myśli. – I podobno – dodał dramatycznym szeptem – wypijają krew...

Doktor Karwała zbagatelizował te informacje lekceważącym ruchem ręki. – Brednie – podsumował obawy Witolda krótko. – Wkręcają się we włosy... Akurat... Może w takie włosy, jak te bujne loki pani Mili! W pańskie włosy na pewno by się nie wkręciły... One po prostu „nie widzą” włosów – ich echosondy nie notują w tym przypadku żadnej przeszkody. A że piją krew... Gatunek nietoperzy •wampirów znany jest tylko w Ameryce Południowej, u nas takie nie występują. – Witold miał wrażenie, że w jego głosie brzmi nieutulona przykreść. – Zresztą nietoperze są bardzo lubiane w Europie – ciągnął doktor, objadając się ciastem. – Wiem z dobrego źródła, że nietoperz jest symbolem pewnego hiszpańskiego zespołu piłkarskiego... I co pan na to powie?

– Tak... Valencii – powiedział z ociąganiem Witold, który znał zarówno ten zespół, jak i źródło tej informacji.

– No widzi pan! – zatriumfował doktor. – Nie ma się co uprzedzać! Powinien pan zmienić swoje nastawienie do tych sympatycznych stworzeń.

Witold nie był pewien, czy te stworzenia kiedykolwiek w życiu będą dla niego „sympatyczne”, a głupio mu było przyznać się do tego, że po prostu się ich bał. Trochę. Właściwie więcej niż trochę. Bardzo.

Z ulgą pożegnał doktora, który dla odmiany był bardzo usatysfakcjonowany wizytą i ku wielkiemu przerażeniu Witolda obiecał wkrótce ją powtórzyć. Mossakowski postanowił wybrać się do Mili i dać jej odczuć swoje niezadowolenie – to w końcu przez nią Karwała zaczął go nachodzić. Była to pretensja z gruntu niegodziwa, bo przecież to sam Witold pragnął zaszczepić Jodźa, ale pretekst do wizyty dobry.

Na dworze było już bardzo ciepło. Mijając Upiorną Kapliczkę, Witold na wszelki wypadek zajrzał do środka – duch Majora nie pokazał się już od wielu dni i trochę go to smuciło.

W ogródku Mili wygrzewał się Galileo, ale jej samej chyba nie było w domu, bo nie odpowiedziała na pukanie. Zawiedziony Witold zaczął zaglądać do okien, a potem obszedł dom

naokoło. Mila leżała na ławce za budynkiem z pustaka, czytała książkę i zaśmiewała się do łez.

– Cześć – powiedział Witold, próbując sprawić, by już w tym pierwszym słowie odczuła jego niezadowolenie, jednocześnie starał się zobaczyć, co czytała. Złożyła książkę, żeby się z nim przywitać, i wtedy zauważył – był to wiktoriański romans Jane Austen *Duma i uprzedzenie*.

– Czyś ty oszalała??? Nigdy cię nie podejrzewałem o coś takiego... Myślałem, że ty tylko o gwiazdach czytasz...

– Indyk też myślał i co się z nim stało? – powiedziała pogodnie Mila, robiąc mu miejsce na ławce. – To bardzo pouczająca lektura. Albert wywalił to z biblioteki jako powieść „nieutrzymającą poziomu”, jak to ładnie ujął...

– Nie dziwię mu się – powiedział Witold, sadowiac się na ławce i wyciągając papierosa.

– A czytałeś to? – spytała. Witold uznał za stosowne zaprezentować w odpowiedzi cały repertuar grymasów.

– Nie krzyw się tak, bo ci zostanie – skrytykowała go Mila, ponownie otwierając książkę. – To boskie powieściśdło! Pełne humoru, podejrzewam niezamierzonego przez autorkę... gdybyś tylko słyszał ten język. Oto próbka: „człowiek nie jest monolitem”... I głębokich życiowych porad...

Witold parsknął śmiechem. – Nie wierzę... Jakie życiowe porady mogła przekazać stara panna, grzejąca sterane kości przy kominku?

– Na przykład na temat małżeństwa – powiedziała pogodnie Mila i odwróciwszy książkę na początek, zaczęła czytać: „Jest prawdą powszechnie wiadomą, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie brak do szczęścia tylko żony”* [Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*, tłum. Anna PrzedpelskaTtaeciakowska, Warszawa 1975, s. 5.].

– To tak bardziej o tobie, nie? – Mila szturchnęła go książką.

Witold zakrztusił się dymem. – Wcale tak nie jest napisane, wymyśliłaś to!

Mila podsunęła mu na dowód książkę. Pierwsze zdanie hrzmięło właśnie tak.

– No dobra, wierzę ci! I co radzą? Ożenić się? Nigdy w życiu! Żeby mi ktoś przestawiał moje statki...

– Tak, tak... – powiedziała. – Pamiętam o tej historyjce z *Sokołem morskim*...

– Wiele szczęścia mnie ominęło przez to, że urodziłem się dwieście lat za późno... – stwierdził sarkastycznie Witold, gdy zaśmiewając się z niego, zamknęła książkę.

– Co chcesz? To są mądre słowa. W tamtych czasach ludzie myśleli w prosty sposób – małżeństwo, rodzina, szczęście. Żadnych problemów egzystencjalnych...

– Widzę, że ci szkoda – dodał ironicznie, starając się popatrzeć na nią, ale długie włosy zasłaniały jej oczy.

– Trzeba było wyjść za mąż!

Po twarzy Mili przeleciał dziwny cień, ale zaraz się roześmiała. – Jasne! I trafić na bałwana, który nie odróżnia lunety od teleskopu...

– Wyrażnie do mnie pijesz!

– Ależ skądże, powiedziałam to dla przykładu! Ty za dużo rzeczy bierzesz do siebie. Drażliwy jesteś – uznała, wstając z ławki. – Napijesz się wina na zgodę?

– Zależy jakiego – powiedział całkowicie udobruchany, wyciągając się ponownie na ławce.

– Dobrego. Sol de Mediterraneo się nazywa i zrób na ławce trochę miejsca, bo też będę chciała usiąść...

– Daj mi odpocząć. Przez ciebie użerałem się z szalejącym doktorem przez trzy godziny. Ja tu przyszedłem z fajką pokoju, powiedziec ci, że Pat i jego poszukiwacze skarbów naciskają, żebyś jak najszybciej podpisała umowę, a ty mi się tak odpłacasz...

Mila zaśmiała się cicho. – To dlatego przyszedłeś w tak wojowniczym nastroju! Myślałam, że znowu czytałeś Conrada... Negocjacje biznesowe sprawiają, że zamieniasz się w Aleksandra Mecedońskiego skrzyżowanego z Hannibalem...

– Chyba Lecterem – mruknął Witold. – Ja nie żartuję, jak chcesz zarobić, to szykuj teorię na temat skarbu, tylko żeby była przekonująca...

Westchnęła. – Myślisz, że to uczciwe? To jest historyjka z cyklu opowieści o Graalu i masonach, przecież ja tylko wysnułam hipotezę...

– Bardzo trafną hipotezę – podkreślił. – Oni na to nie wpadli. Co ci szkodzi? Nie martw się, łatwo się nie dadzą oskubać, cwani są. Spokojna twoja głowa...

– Pocieszyłeś mnie – stwierdziła, wstając z ławki. – Masz ten instynkt zabójcy, charakterystyczny dla dobrego prawnika – rzucił za nią klapkiem, który zostawiła przy ławce, ale nie trafił, bo ze śmiechem wbiegła do domu.

Witold w samotności rozkoszował się wiosennym popołudniem. Ogródek za domem Mili był bardzo ładny.

Rosły w nim wiecznie zielone modrzewie i właśnie zaczynały kwitnąć kwiaty. Parkan porośnięty był dzikim winem i pnącą różą, która w lecie tworzyła nad ławką rodzaj małej pergoli. W donicach z terakoty Mila hodowała różne zioła, z których rozpoznał tylko charakterystyczny zapach szaławii i bazylii. Obok ławki zaczynała już kwitnąć upojnie pachnąca tawuła i różowy krzew tamaryndowca. Witold pożałował, że jego park jest tak okropnie zaniedbany, i po raz kolejny solennie przyrzekł sobie to naprawić.

– Powinnaś sobie zrobić oczko wodne – powiedział, podnosząc się z ławki na jej widok. – Mogę ci pomóc, jak chcesz.

Mila postawiła butelkę i kieliszki na małym stoliczku obok ławki i zaczęła szukać klapków. – Czy ja wiem... – powiedziała, marszcząc brwi. – Komary będzie przyciągać...

– Też prawda! – zgodził się Witold, nalewając wino. Sol de Mediterraneo okazało się bardzo dobre, miało lekki smak rodzynek i bardzo mu smakowało.

– Aha. Wino z Walencji – powiedział, oglądając butelkę pod słońce. – Dobre – pochwalił po chwili, rozkoszując się delikatnym smakiem.

– No... Myślę – zgodziła się Mila. – To moje ulubione wino i to wcale nie dlatego, że jest z Walencji, choć ten fakt ma również swoje znaczenie. I tak bym dziś z nim do ciebie poleciała...

Czekałam tylko, aż Karwala skończy się na tobie wyżywać...

– Jesteś podła! Uduszę cię jak Desdemonę! – jęknął. – A co to za okazja?

– Zrobiłam tak, jak poradziłeś! Postanowiłyśmy z Iwana i całym zarządem spółdzielni sprzedawać nasze towary w sklepie internetowym, chcę też zrobić stronę internetową i uderzyć do francuskich domów mody... Już odbyło się głosowanie i będziemy ciągnąć stałe łącze do Iwany, bo ona się tym zajmie, do mnie i do szkoły...

– Ja też chcę! – powiedział, krztusząc się winem.

– Sprzedawać przez internet? Mało ci, że za chwilę będziesz zarządzał zakładem wypoczynkowym w stylu niezapomnianego „Hotelu Zacisze” Basila Fawltly...

Witold zaczął się śmiać. Porównanie jego eleganckiego pałacu do koszmarnej budy Basila, w której częstowano martwych gości makrelą, a niemówiący po angielsku kucharz nie potrafił przygotować sałatki Waldorfa, było niezwykle krzywdzące.

– Stałe łącze chcę! – powiedział, gdy minęła mu wesołość – Mogę sfinansować wam to przedsięwzięcie...

– Aleś ty szybki do wydawania pieniędzy... – Mila pokręciła głową z oburzeniem.

Wzruszył ramionami, bo w końcu nie o to chodziło. – Skoro postanowiłem tu zostać...

– Postanowiłeś zostać? Na zawsze? – Mila była bezgranicznie zdziwiona. – Tutaj? A nie zwariujesz z nami? Z ciebie przecież jest człowiek wielkiego miasta. Myślałam, że zamierzasz zarządzać swym interesem ze stolicy, a tu wpadać tylko okazjonalnie.

Pokręcił przecząco głową. Podjął tę decyzję już jakiś czas temu. Postanowił złożyć dymisję, poświęcić się hotelowi, a w wolnych chwilach robić tylko ekspertyzy prawne. Nie wyobrażał sobie zupełnie rozstania z tym miejscem, które całkowicie go uwiodło. Przywiązał się do swojej posiadłości, codziennego porannego spaceru po parku, gdy rosa osiada na trawie, widoku mgieł nad polami i cudownego zapachu świeżych ziół i kwiatów, jakiego nie było nigdzie indziej.

– Pańskie oko konia tuczy – nie znasz tego przysłowia? – powiedział lekko. – A poza tym ja po prostu was kocham.

Zwłaszcza Alberta!

– Uwważaj! Wojtek może być zazdrosny, a on jest dwa razy większy od ciebie...

– Bez obaw! Moja miłość do niego nie jest tego rodzaju... To raczej uzależnienie od seansów piłkarskich i kłótni... Ponieważ chcę tu zostać, muszę mieć stały dostęp do internetu, bo jak będę pracować i zarabiać na cały ten kramik?...

– Ale numer – pokręciła głową Mila. – Ty to poważnie mówisz! Nasz Harry Potter zostaje! No wiesz... Nawet się cieszę... Przywykłam do ciebie i smutno by mi było, gdybyś się wyniósł.

– Czemu Harry Potter? – nie rozumiał Witold, ale było mu miło słyszeć jej słowa. Bardzo miło... Ciekawe, co naprawdę miała na myśli...

– Nie wiesz? Wszyscy tu cię tak nazywają! Oczywiście za twoimi plecami, ale myślałam, że dotarło... To przez te okulary i zielone oczy. Wyglądasz jak dorosły Harry Potter, tak przynajmniej sędzę...

– Akurat, nazywają! – powątpiewał.

Mila przytaknęła głową i nalała mu jeszcze jeden kieliszek wina. – Podarowanie książek było epokowym wydarzeniem. Te małe cię po prostu uwielbiają, zwłaszcza Alina, która chyba się w tobie kocha...

– Żartujesz – stwierdził pogodnie „Harry Potter”, przyjmując z wdzięcznością kieliszek. – Dla mnie jednak trochę za młoda, poza tym wolę brunetki...

– Szkoda – powiedziała, udając wielki zawód, Mila i odrzuciła swe rude loki na plecy. – Też bym się zapisała do twego fanklubu i chętnie nosiła znaczek organizacyjny z Moby Dickiem...

– Zapisz się. Zrobię dla ciebie wyjątek. Za *Sokoła morskigo* i w ogóle... – wiedział doskonale, że się z niego nabijała, ale w końcu miło się było tak poprzekomarzać z tą uroczą dziewczyną... Poza tym ciekawiło go, dokąd ich to zaprowadzi – co ona ma na myśli... „A co ja mam?”

– zastanowił się przez chwilę, ale nie było czasu na dłuższe myślenie na ten temat, bo w ogródku, poprzedzany przez kota Galileo, pojawił się Mireczek, który szukał go od dłuższego czasu. Albowiem przy Upiornej Kapliczce znowu pokazała się zjawą.

– W biały dzień? – Mila była pewna powątpiewania.

– Że też ja jej nigdy nie mogę zobaczyć – stwierdził ze smutkiem Witold i zaczął się zbierać, gdyż Mireczek najwyraźniej nie zamierzał go opuścić ani na krok, zanim nie zajrzy do kapliczki.

– Idziesz z nami? – zapytał z nadzieją, ale Mila przecząco pokręciła głową i wygodniej rozsiadła się na ławce, którą był zmuszony opuścić.

– Nie. Boję się ducha z Upiornej Kapliczki... Jeszcze mnie w nocy zaczniesz straszyć...

Mireczek był wniebowzięty, gdy szli drogą przez pałacowy park. Witold zatrzymał się tylko raz, by zapalić kolejnego papierosa. Chłopak popędzał go z całą bezwzględnością, na jaką go było stać. Upiorna Kapliczka wyglądała zupełnie tak samo jak wtedy, gdy mijał ją dwie godziny temu. Przez witrażowe drzwiczki zajrzał do środka.

– Nic nie widzę – stwierdził wyraźnie rozczarowany.

– W dodatku zamknięte, a klucza nie mam...

– Ja mam klucz! – krzyknął radośnie Mireczek, aż szyba w Upiornej Kapliczce zatrzęsała się niebezpiecznie.

– No, to otwieraj – zażądał Witold, a chłopak bez zwłoki spełnił to życzenie. Wnętrze było zupełnie puste, jeśli nie liczyć starego drewnianego krzyża i prymitywnego obrazka Czarnej Madonny, wiszącego na poszarzałej kolumie. Z kapliczki wiało przy tym wilgocią i – co tu kryć – raczej nie grozą.

– Eeee, tam... – mruknął rozczarowany głęboko Witold. – Rozsiewasz nieprawdziwe informacje, bracie. Żadnych duchów, białych dam i upiorów... Nic tu nie ma ciekawego...

Mireczek najwyraźniej też był rozczarowany, bo prawie natychmiast porzucił jego towarzystwo i swoim zwyczajem, nie zatrzymując się ani na chwilę, pomknął przez pola do wsi. Witold chwilę się zastanawiał, czy nie wrócić do Mili i nie opowiedzieć jej o fiasku tej

ekspedycji, ale w końcu zrezygnował. „Niech sobie nie myśli, że ze wszystkim muszę do niej latać” – pomyślał sobie niezłomie i niezwykle zadowolony z tego, że okazał twardość charakteru równą Romanowi Bratnemu, ruszył przez park do domu.

Ledwo przekroczył próg, odebrał telefon od Mili. Pytała o zjawę z Upiornej Kapliczki, ale przede wszystkim informowała o swej decyzji: po namyśle postanowiła podpisać umowę z firmą See Hole. „Niech się dzieje, co chce”

– powiedziała, gdy zapewniał ją, że jest to świetna decyzja, i przypominał o układzie biznesowym. „Żebyś tylko na tym nie stracił” – roześmiała się jeszcze, odkładając słuchawkę.

Wieczór szesnastego maja zapowiadał się bardzo pięknie. Pani Gertruda przeszła samą siebie – w sali kinowej ogromny stół zastawiony był smakołykami. Gospodyni pokazała cały swój kunszt kulinarny: były imbirowe pierniczki i ciemne ciastka z cynamonem. Ogród od strony tarasu udekorowano lampionami, które dzieci przez ostatnie dwa dni mozolnie wycinały z papieru. Święto wiosny miało być najbardziej udaną imprezą roku. Witold, niespodziewanie dla samego siebie, zaczął odczuwać dziwny smutek. Zupełnie nie chciało mu się wyjeżdżać do Warszawy. Musiał jednak pojechać, by uporządkować swoje sprawy zawodowe i prywatne. W ciągu kilku tygodni zachorował na typową dla prowincji przypadłość: strach przed wielkim miastem. Jakoś bez entuzjazmu myślał o korkach na Wisłostradzie czy o nowym moście. Nawet jego ukochane małe mieszkało, pełne książek o piratach i modeli statków, nie było w stanie obudzić w nim chęci do wyjazdu. Westchnął ciężko – decyzja była już przecież podjęta i czas zwijać żagle w stolicy...

Na tych niewesołych rozważaniach zeszło mu przedpołudnie. Do pałacowego ogrodu zaczęły przybiegać dzieci. Najwyraźniej lekcje się skończyły, bo od strony bramy, przy której stała Upiorna Kapliczka, zbliżała się siedmioosobowa grupa zaaferowanych dzieciaków pod przewodnictwem Alberta, dyrygującego tym niewielkim tłumkiem za pomocą dużego, białego parasola.

– Czołem – krzyknął, dostrzegając Witolda stojącego na ganku.

– Cześć! Wczesnie przyszliście!

– Chcemy jeszcze udekorować ogród – wrzasnął z pewnej odległości Albert i swoim parasolem wskazał dzieciom kierunki rozwieszania ozdób. Z wielkich pudeł wydobyto przepiękne gwiazdy ze srebrzonego i złoczonego papieru oraz liczne baloniki, które natychmiast – i z wielkim poświęceniem – zaczęto napełniać powietrzem z wątych płuc, zwanych też w literaturze lekkimi. Witold zdecydował się ruszyć z ganku i pomóc. Najpierw popędzany przez Alberta gromkimi okrzykami umieszczał gwiazdy na wysokich gałęziach drzew, a potem – gdy jasne się stało, że ilość baloników przekracza skromne możliwości dzieciaków – zabrał się do nadmuchiwania.

– Ty też mógłbyś coś zrobić – zwrócił się głosem pełnym wyrzutu do Alberta, który właśnie

pouczał jednego ze swoich uczniów, by wieszał ozdoby prosto.

– Jeszcze czego! – oburzył się pan od polskiego.

– Ja tu występuję w roli kierownika i odpowiadam za terminowość wykonania prac!

– Aha – powiedział Witold, choć wcale nie był przekonany. – I uważasz to za sprawiedliwe?

Albert roześmiał się gromko. – Braciszku, epoka sprawiedliwości społecznej już dawno minęła! Nie martw się zresztą za bardzo – idzie Wojtek, on ci na pewno pomoże – dodał arcyłaskawie.

– Kolejny niewolnik – mruknął Witold, dmuchając następny wielki balon.

– Cześć – powiedział Wojtek, wydobywając z torby gigantyczny łańcuch choinkowy. – Co kupiliście Mili na urodziny?

– Ja książkę – powiedział znad balonu Witold.

– To się niezbyt wysiliłeś – skomentował złośliwie Albert. – Milla ma pełno książek.

– Możliwe – powiedział bardzo ugodowo Witold.

– Ale ta jest wyjątkowa i na pewno się jej spodoba... A wy co macie?

– Ja i dzieci przygotowaliśmy świecącą mapę nieba – wyjaśnił Wojtek.

– A ja kupiłem jej wisior z kamieniem księżycowym. Uważam, że to do niej pasuje... i komplet chusteczek do nosa. Może wreszcie przestanie je od wszystkich pożyczać. .. – stwierdził Albert.

– Na pewno się ucieszy... – Wojtek był raczej sarkastyczny. – Milla „uwielbia” praktyczne prezenty...

– Może wyrzucić albo przekształcić w coś niepraktycznego – obruszył się Albert, nie zapominając o nadzorowaniu i napominaniu. Witold uświadomił sobie, że wcale nie miałby ochoty być jego uczniem. Chciał mu to właśnie zakomunikować, gdy nagle ktoś pociągnął go za sweter od tyłu. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył Alinę oraz jej dwie nieodłączne koleżankisatelidd, bliźniaczki Magdę i Martę, urocze szczerbolki, których – mimo najszczerszych wysiłków – nie rozróżniał. Jak później miał się przekonać, nie rozróżniał ich także Albert. Za plecami dziewczynek czaił się Piotruś Słobankiewicz, któryjak sobie właśnie Witold zdał sprawę – zawsze kręcił się w pobliżu Aliny.

– Co się stało? – zapytał dość nieprzytomnie, bo od napełniania balonów zakręciło mu się w głowie.

– Chciałyśmy pana o coś poprosić... – powiedziała Alina, zniżając głos do teatralnego szeptu. Witold wykonał zapraszający gest ręką. Dzieci miały miny zaaferowane i pełne powagi, więc niezwykle zaciekało go, o co im chodzi.

– Czy możemy przychodzić do pańskiego ogrodu? – spytała tymczasem Alina i widać było, że uczyniła to tytułem wstępu, bo najwyraźniej szykowała się do dłuższej przemowy.

– Oczywiście! Kiedy tylko zechcecie. – Dzieci wymieniły znaczące spojrzenia.

– A... czy możemy bawić się koło sadzawki? – Witold, którego do tej pory nie bardzo interesowała sadzawka, zastanowił się jedynie przez chwilę, czy jest w niej woda i czy może się

ktoś w niej utopić. Nie, wody raczej nie było, więc nie istniało też zagrożenie...

– Oczywiście! A w co chcecie się tam bawić? W piratów? Dziewczynki ponownie spojrzęły na siebie znacząco.

Alina wysunęła się krok do przodu i zakręciła w ręce różdżkę, z którą się nigdy nie rozstawała. – Będziemy się tam bawić w Hogwart!!! – powiedziała scenicznym szeptem, który oczywiście dotarł do Alberta. Ten wzruszył tylko ramionami i skrzywił się. Witold nie widział powodów, aby w jego ogrodzie nie mogło być Hogwartu. W końcu mieściły się tu dużo dziwniejsze rzeczy, na przykład Upiorna Kapliczka.

– Ale dlaczego nad sadzawką? – Tego jednego nie mógł pojąć.

– Bo w Hogwarcie też jest taka sadzawka. I drzewo nad nią rośnie, jak u pana... I za pańską sadzawką jest taka brama zawsze zamknięta... I my byśmy chciały się tam spotykać...

– I czarować... – dodała Marta lub Magda.

– Wydurniać się, jednym słowem, z tymi patykami – skomentował Piotruś, który do magii i czarodziejstwa odnosił się – delikatnie mówiąc – z dużą niechęcią.

– Cicho bądź! – zgromiła go Alina. – Tylko mamy kłopot... I to poważny...

– Jaki? – zaciekawił się Witold, przecierając swoje okulary, ale dziewczynki najwyraźniej wstydziły się odpowiedzieć, więc wyręczył je Piotruś.

– One by chciały, żeby pan im wymyślił nazwę...

– powiedział złośliwie, a Alina ugodziła go morderczym spojrzeniem.

– Jaką nazwę? – nie rozumiał Witold.

– Jakąkolwiek. One chcą się jakoś nazywać, jako te czarownice, ale żadna nazwa im się nie podoba...

– A jakie są już koncepcje? – zainteresował się prawnik.

– Właśnie, że nie ma żadnych – uprzedziła Piotrka Alina. – Może pan coś wymyśli... ? Żeby było ładnie i czarodziejsko...

– Ładnie i czarodziejsko... – zastanowił się Witold.

– Może w takim razie Czarowne Czarownice? – Dziewczynki najwyraźniej nie posiadały się ze szczęścia. Alina próbowała nawet spojrzeć z góry na Piotrusia, co było o tyle niewykonalne, że chłopiec był od niej wyższy o jakieś dwie głowy.

– Widzisz? Mówiłam ci, że pan Harry wymyśli... – i podziękowawszy wylewnie, dziewczynki, a właściwie Czarowne Czarownice, oddaliły się, prawdopodobnie udając się w stronę sadzawki. Piotrek został sam i nos miał raczej spuszczonej na kwintę.

– Nie przejmuj się – pocieszył go Witold, wyciągając z kieszeni wymiętego papierosa. – Z kobietami już tak jest, zwłaszcza gdy działają w damskim klanie...

– To dlatego chodzi pan z panią Milą? – zainteresował się Piotrek. – Bo ona nie ma „klanu”?

Witold zakrztusił się dymem po raz pierwszy od 20 lat.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Że ja chodzę z panią Milą? Przecież to nieprawda!

Piotrek wzruszył ramionami. – Alina tak mówi. Że pan jest jak Harry Potter, a ona jak Cho

Chang, dziewczyna tego smutnego debila... No, wie pan – wyjaśnił łaskawie.

– To było w tej książce *Czara ognia*... – Witold zrozumiał przy tym, że zdanie Aliny liczy się dla Piotrka ponad wszystko inne, choćby nie wiem jak jej dokuczał. Czy naprawdę mu czegoś to nie przypominało... Odchrząknął i miał już wygłosić jakąś naukę moralną z dominującym wątkiem „pani Mili i mnie nic nie łączy”, gdy na ścieżce od strony bramy pojawiła się ona we własnej osobie. Trzeba było działać szybko.

– Piotrek – powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to bardzo surowo. – Żeby was ręka boska broniła mówić coś takiego pani Mili... Słyszysz? Żadnych rozmów na takie tematy... Bo nie ręczę za siebie!!!

– Aha – filozoficznie powiedział Piotruś, wyciągając zza drzewa swój rower. – Boi się pan, że ona sobie pomyśli, że pan nas na nią napuszcza, co? – Witold przysiągł sobie solennie, że nigdy nie będzie miał dzieci, a już na pewno takich lotnych i wścibskich...

Mila podchwyciła natomiast ostatnie zdanie. – Na kogo ich napuszczasz?

– Na ciebie – powiedział Witold, wykrzywiając się groźnie za jej plecami do Piotrka.

– Żeby co?

– Żebyś mnie przyjęła do kółka astronomicznego – powiedział, bo tylko to przyszło mu do głowy.

Mila była wyraźnie zdziwiona. – Przecież ci już mówiłam, że możesz przychodzić, kiedy chcesz!

– No tak... – plątał się w zeznaniach. – Ale nie wiedziałem, czy mówisz poważnie... Zaciekały mnie te komety i planety. .. iw ogóle Mila spojrzała na niego krytycznie. – Czy ty, chłopcze, już zdążyłeś czegoś nadużyć? Jeśli tak, to szybko ci idzie! Przypominam, że mamy jeszcze całą noc prasłowiańskich płasów przed sobą i nie będzie zbyt wychowawcze, jeśli przed siódmą wieczór zaczniesz beczeć baranim głosem...

– Dlaczego baranim? – nie mógł zrozumieć Witold.

– Bo barani jest najtrudniejszy do wytrzymania, przynajmniej dla mnie... – powiedziała i pomachała do Alberta, który natychmiast zmaterializował się przy nich jak dżin z butelki.

– Co to za lenistwo! – huknął basem. – Do roboty, koledzy! Połowa ekipy mi nawiała. Piotrek uciekł na rowerze, Alina i Magdo-Marta też gdzieś przepadły...

– Czarowne Czarownice są nad sadzawką w Hogwarcie – wyjaśnił mu Witold. Ponieważ Albert wyglądał jak wielki znak zapytania, uznał za stosowne dodać: – Alina i Magdo-Marta nazywają się teraz Czarowne Czarownice i bawią się w rzucanie uroków nad sadzawką w głębi ogrodu...

– Fantastycznie – westchnął Albert. – Ciekawe, co pop powie na to, że załęgły się u nas czarownice...

– Radzę ci ich nie drażnić – powiedział Witold z ogromną powagą. – One już znają całą kupę zaklęć, a jak się jeszcze podszkołą, to możesz mieć poważne problemy...

– Dlaczego akurat ja? – sprzeciwił się.

– Bo jesteś okropnym, wstrętnym belfrem, gorszym niż profesor Pimko u Gombrowicza...

Biedny, spostonowany Albert wyglądał tak, jakby ktoś go huknął z rozmachem w ucho. – Czemu tak mówisz, wstrętny piracie? Łamiesz mi serce przepełnione wyrozumiałością pedagogiczną...

– Akurat! – podsumował Witold. – Ty i wyrozumiałość. Wszystkich gonisz do roboty, popędzasz, dyrygujesz, budzisz strach i przerażenie...

Albert wymienił spojrzenia z Milą. – Pomagać mu się nie chce – zdecydowała pani sołtys, pocieszając Alberta.

Gdy oboje odchodzili w kierunku obwieszonych łańcuchami choinkowymi drzewa, Witold usłyszał głos Lipskiego.

– Powiedz poważnie, jestem jak Pimko?

– Skądże znowu – odparła szybciotko Mila. – Ty jesteś łagodny jak ta Madzia Brzeska z *Emancypantek*...

– I pewnie chcesz dodać, że równie jak ona inteligentny? – oburzył się Albert. – Miałaś mnie pocieszyć, a ty mnie dobijasz... Nic mi nie pomagasz, a ja mam zgryz...

– No, faktycznie masz. Krzywy! – powiedziała ze śmiechem. – Najwyższy czas sprowadzić do wsi dentystę, może on coś zaradzi na twoje zgryzy...

– O czym gadacie? – włączył się Wojtek, który – jak to on – pilnie i szybko wykonał zleczone mu zadania, a teraz wrócił do kwatery dowodzenia po dalsze rozkazy.

– O zgryzie Alberta – wyjaśniła Mila.

– A co z nim? – zainteresował się matematyk, wybierając ozdoby z worka. Długo namyślał się nad choinkową gwiazdą.

– Jest krzywy.

– Ojejku, przestańcie! – zezłościł się Albert. – Tylko mnie dołujecie dzisiaj. Witold mnie Pimką obrzucił, a ta o zgryzie...

– Jaką pimką, na miłość boską? – nie rozumiał Wojtek.

– A zgryz masz naprawdę krzywy... Tu ci się z boku robią takie dwa kielki, jak wampirze ząbki... Poważnie...

Albert był bliski zawału. Nie mógł się zdecydować, kogo w pierwszej kolejności spiorunować wzrokiem: Wojtka czy Milę. Na domiar złego ponownie w polu widzenia pojawił się Witold, który wytargał z domu jakąś górę żelastwa. – Można powiesić na gałązkach – obwieścił radośnie. – To stare uchwyty do karniszy w kształcie ślimaków, jak wiatr zawieje, będą dzwonić... Co się dzieje?

– spytał zdezorientowany.

– Albert się na nas obraził – powiedziała Mila.

– Bo mu dokuczamy – dodał Wojtek. – A on tego nie lubi...

– Za to nam dokuczać lubi – skomentował Witold.

– Aha! Więc to było ukartowane – triumfalnie zawołał Lipski, wyraźnie pocieszony. – A

więc spisek! Chcieliście się na mnie zemścić za to, że wam prawdę w oczy mówię. .. O, węże... Ja was sobie sam wyhodowałem...

– W kieszeni... – dokończył pogodnie Witold, zajęty swoim żelastwem.

– Jak kangur – dodała Mila, a Wojtek parsknął śmiechem. Albert machnął ręką. – Wybaczam wam wspaniałomyślnie, bo nie wiecie, co czynicie... A teraz jazda do roboty! Mamy takie śliczne uchwyty do karniszy, musimy je rozwiesić... – i po swoim zaczął ich popędzać i nagać do pracy.

Gdy wszystkie dekoracje znalazły się na swoich miejscach, a dzieci obsiadły stół w komnacie z kinem, Witold podał Mili prezent urodzinowy. Zaciekawiona rozwinęła kilka warstw kolorowego papieru i wydobyła grubą książkę.

– *Dolina Tęczy i Rilla ze Złotego Brzegu* – wykrzyknęła zachwycona.

– Tak. Zwróć uwagę – wydana w roku twego urodzenia. Kupiłem ją w dziwnym antykwariacie w Przemyślu.

– Dlaczego dziwnym? – spytała Mila, kartkując książkę i przeglądając obrazki.

– Bo mieścił się w punkcie ksero – wyjaśnił.

– Poważnie? – zdumiała się.

– Tak. Wszedłem tam, żeby skserować kilka dokumentów, i spędziłem ponad godzinę, grzebiąc na półkach. Wiedziałem, że znajdę jakiś prezent dla ciebie... – Była to prawda. Pojechał do Przemyśla przesłać pocztą kurierską przesyłkę do firmy See Hole i załatwić kilka innych ważnych spraw, ale najbardziej pochłonął go spacer po mieście. Znalazł nie tylko ten antykwariat, ale także inne niezwykle sklepy, w tym najprawdziwszy „sklepek z czarami”, w którym sprzedawano ręcznie malowane karty i książki o Graalach – znacząco uzupełnił swoją kolekcję.

– Bardzo dziękuję. Zrobiłeś mi prawdziwą przyjemność – powiedziała tymczasem uradowana Mila. – To moja ulubiona książka z tego cyklu o Ani...

– Wiem. – Witold oczywiście nie zdradził, ile czasu zajęło mu zdobycie tej wiedzy. Wypytywał dzieci i dyskretnie przeglądał u niej książki na półkach. *Dolina Tęczy* występowała w największej ilości różnych wydań, toteż uznał, że jest to faworytka pani sołtys. Tymczasem uwagę Mili niespodziewanie przykuło to, co znalazła pomiędzy stronicami powieści. Były to zasuszone kwiaty i trawy.

– Widziałeś to? – spytała zachwycona. – Jakieś dziecko zrobiło sobie z niej zielnik!

– Między innymi dlatego ją kupiłem – stwierdził, wyjmując jej książkę z rąk. – Popatrz, jakie tu ktoś gałęzie powkładał... – Chwilę przyglądali się gałązkom modrzewia i sosny.

– To niesamowite – powiedziała Mila. – Jakaś dziewczynka, w roku, w którym się urodziłam, suszyła sobie kwiaty... Ciekawe, co teraz robi...

– Pewnie jest babcią! – wzruszył ramionami.

– Albo prababcią. – Oboje się roześmiali. Witold chciał jeszcze coś powiedzieć, ale od strony parku rozległ się krzyk Mireczka. – Duchy, duchy!!!!

Witold spojrział ponad balustradą werandy. Od Upiornej Kapliczki coś płynęło w powietrzu. Dwie jasne kule światła wirowały wokół własnej osi, unosząc się około metra nad ziemią.

– Piękne! – zachwyciła się Mila. – Co to jest? Tyto zrobiłeś?

– Coś ty! – obruszył się Witold. – Nigdy by mi to nie wpadło do głowy, ale gdzieś już widziałem podobne światło...

– Pewnie podczas lądowania UFO... Za dużo oglądałeś *Archiwum X*, albo *Żandarma i kosmitów* z de Funesem...

Witold, nie zwracając uwagi na jej żarty, wpatrywał się w światła.

– Już wiem! To są Światła Queena! Widziałem je w buszu... W Australii... To niezwykle rzadkie zjawisko...

– Światła Queena? – nie rozumiała Mila, także wpatrując się w jasne kule.

– One się chyba też nazywają błędnymi ognikami, ale w Australii mówią na nie Światła Queena, to efekt zapłonu gazów błotnych lub wydzielających się z fermentacji roślin...

– Skąd niby w Upiornej Kapliczce takie gazy? – zdumiała się Mila, wciąż zafascynowana światełkami.

– Nie wiem. Wiem tylko, że w Australii Światła Queena są uważane za zwiastuna ważnych zmian...

– Dobrych czy złych? – zainteresowała się Mila.

– To się okaże – roześmiał się i chciał jeszcze coś dodać, ale na ganku pojawił się zaaferowany Wojtek. – Widzieliście to? – Oboje skinęli głowami.

– Fantastyczny przykład prądu statycznego... – emocjonował się Wojtek. – Do tej pory tylko o czymś takim czytałem, nigdy nie widziałem...

– Witek to widział – wyjaśniła Mila. – W Australii.

– Poważnie? – zainteresował się Wojtek. – Wyglądało podobnie?

– Tak samo. Oni to nazywają Światła Queena...

– Pamiętacie, był nawet taki film o błędnych ogniach – przypomniał Wojtek. – *Czekając na światło*, uroczy wyciskacz łez...

Błędne ognie rozpląnęły się nad parkiem ku wielkiemu żalowi wszystkich zebranych. Na werandzie pojawił się triumfujący Mireczek. – A nie mówiłem!!! Są tu duchy... I zjawy...

– A w strumieniu mieszkają utopce i rusałki – dodał ksiądz Witalis, gramoląc się na werandę. – Przy okazji witam wszystkich.

– I Wodnik Szuwarek też mieszka w tym strumieniu – dodał poważnie Wojtek. Mireczek obraził się i szybko opuścił werandę.

– Cudowny wieczór – stwierdził ksiądz, sadowiąc się wygodnie w wiklinowym fotelu. – Zmęczyłem się bieganiem za dziećmi przez całe popołudnie – wyjaśnił przystępnie, gdyż Mila i Wojtek patrzyli na niego rozbawionym wzrokiem. – No i w ogóle głodny jestem. – Pasterz zerknął znacząco w stronę salonu, ale nikt z zebranych na werandzie nie ruszył się, żeby mu coś przynieść.

– Jesteś na diecie, nie naciągaj – powiedziała bezlitośnie Mila.

– Aleś ty podła – skomentował Witalis z pełnym obrzydzeniem. – Widzieliście te światła?

– Owszem – odpowiedział Wojtek. – To były błędne ognie.

– Myślę, że w Upiornej Kapliczce dzieje się coś dziwnego – stwierdził Witold. – Zamierzam to zbadać, natychmiast.

– Przecież już ją oglądałeś i nic tam nie ma poza obrazkiem Madonny na desce...

– Podejrzewam, że obejrzałem wewnątrz zbyt pobieżnie... Są ochotnicy?

Wojtek i Albert zgłosili się z entuzjazmem, Witold przyniósł z domu latarki i udali się w kierunku Upiornej Kapliczki. Weszli do środka i oświetlili wewnątrz.

– Mila ma rację – nic tu nie ma – stwierdził Wojtek, starannie obmacując ściany.

– Żadnych ukrytych pomieszczeń, tajnych schowków, ot wiejska kapliczka z nieudanym wizerunkiem świętej – dodał Albert.

– To jest Matka Boska z kościoła z Chartres, Pani Podziemi – wyjaśnił Witold, przyklękając przy kolumnie, na której umieszczono obraz. – Ta sama podobizna, tylko rzeźbiona, znajduje się w naszej kaplicy pałacowej.

– No i co z tego? – nie rozumiał polonista. – Ja wiem o tej twojej paranoicznej historyjce z Graalem i masonami, ale ty przecież nie na poważnie, prawda? – upewniał się jeszcze.

– To akurat są fakty – uspokoił go Witold. – Pani Tekla opowiadała mi o dziwnych wizytach różnych osób u jej ojca. Goście przybywali znikąd, a potem w tajemniczy sposób znikali. Początkowo lekceważyłem te opowieści. Oboje z bratem byli dziećmi, mogło im się coś wydawać, ale jedna z historii zaciekała mnie bardzo. Goście pana Tyczyńskiego zdaniem brata Tekli po prostu rozplynęli się we mgle – weszli do domu, ale nigdy z niego nie wyszli...

– Zamurował ich tu? – scenicznym szeptem zapytał Albert. – Zwabił ich do kapliczki i ukrył pod podłogą?

– Daj spokój – wzruszył ramionami Witold. – Jestem pewny, że żywi opuścili ten dom, bo obaj przeżyli jeszcze kilka lat w dobrym zdrowiu po tej wizycie. Myślę, że istniało jakieś tajne przejście pomiędzy pałacem a bramą parku i im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem pewny, że znajduje się ono właśnie tutaj.

– To brzmi logicznie – stwierdził Wojtek. – I jest całkiem możliwe. Tylko gdzie jest wejście do tego podziemia?

– Myślę, że tu. – Witold skierował snop światła na podstawę kolumny. – Z tyłu jest mały otwór, sądzę, że służył do włożenia metalowego pręta i przekręcenia całej konstrukcji. Prawdopodobnie pod kolumną znajduje się wejście.

– Musimy sprawdzić – zaproponował Albert, a Wojtek pobiegł do dworu po odpowiedni drut. Wszyscy uczestnicy balu w ogrodzie zaczęli się schodzić w pobliże kapliczki, licząc na wielką sensację.

Witold włożył przyniesiony metalowy pręt w otwór i przy pomocy Wojtka przekręcił kolumnę, która ruszyła z trzaskiem, odsłaniając schodki do podziemi.

– Idziemy? – zapytał z wahaniem Albert, który ze wszystkich mrozących krew przygód najbardziej lubił przygody intelektualne.

– No jasne. – Witold skoczył na schody, świecąc przed sobą latarką. Za nim pospieszył Wojtek, a po nich z ociąganiem Albert, który zdążył jeszcze przykazać panu Kowalowi, by pilnował wejścia, na wypadek gdyby kolumna sama się zamknęła, odcinając im drogę powrotu.

Znaleźli się w wąskim i ciasnym tunelu, w którym panowała śmiertelna cisza. W milczeniu, świecąc po ścianach latarkami, szli przed siebie.

– Myślicie, że tunel się zawali i zostaniemy tu uwięzieni jak krety? – zapytał z niepokojem Albert.

– Nie sędzę – stwierdził Witold. – Tunel jest wąski, ale w doskonałym stanie, widać, że ktoś go pomysłowo zaprojektował i dobrze wzmocnił. Do dworu już niedaleko, jestem bardzo ciekaw, gdzie wyjdziemy.

Zrobili jeszcze kilkadziesiąt kroków, aż tunel zaczął podnosić się w górę. Po kolejnych kilku metrach natrafili na ścianę, a właściwie drewniane drzwi. Witold naparł na nie ramieniem.

– Zaklinowało się – wydusił z wysiłkiem. – Pomóżcie!

Drzwi nagle obróciły się dookoła swej osi i niespodziewanie znaleźli się w ściennej szafie. Witold uświadomił sobie, że wyszli w gabinecie z rysunkiem labiryntu na podłodze.

– Niesamowite – powiedział Albert, gdy już wygramolili się z szafy i wskoczyli do pomieszczenia.

– Zagadka rozwiązana – podsumował Witold. – Wiemy już, jak goście pana Tyczyńskiego opuścili ten dom.

– Fantastyczna historia – zachwycił się Wojtek. – Bardzo to finezyjne. Zastanawia mnie jednak wciąż to światło, te błędne ognie. Nie ulega wątpliwości, że w Upiornej Kapliczce pojawiają się jakieś duchopodobne substancje, ciekawe, skąd one się biorą?

Witold wzruszył ramionami. – Trzeba zbadać tunel. Czytałem w niejednym kryminale, że dla odstraszenia niepowołanych instalowano w takich miejscach różne urządzenia wykorzystujące na przykład przepływ wiatru do wydawania niepokojących dźwięków.

– A ja myślę – dorzucił swoje Albert, starannie otrzepując ubranie z kurzu i pajęczyn – że tam pod spodem muszą być jakieś gejzery... Na sto procent gejzery lub wulkany... Ci masoni wykorzystywali ich siłę do swoich niecznych planów – produkowali mgły i zadymiali okolicę... Musisz zrobić odpowiednie badania, powiercić pod kapliczką i dokopiesz się do ciepłych źródeł, dzięki którym zamienisz swój hotel w Resort Spa. Mówię ci, bierz się za kilofek i zaczynaj kopać, byle tylko ci coś nie wybuchło przy okazji...

Wojtek i Witold popatrzyli na niego z politowaniem. Nie zdążyli nic powiedzieć, bo za szafą zaczęło coś trzeszczeć i w otworze pojawiła się zaniepokojona głowa męża pani Gertrudy.

– O, święta matko! – wykrzyknął, gdy zorientował się, gdzie jest. – To tajne przejście do dworu! Ludziska gadali, że jest tu coś takiego, ale nie wierzyłem.

– Kto gadał? – zaciekawiał się Witold, bo sam nigdy o tym nie słyszał.

– O, wszyscy, wszyscy, szczególnie starzy! Dziadek Słobankiewicz opowiadał, że sam na własne oczy widział partyzantów, jak wchodzili do dworu, a potem, kiedy przyjechali Niemcy, to już nikogo nie było. Rozpłynęli się w powietrzu. Myślałem, że stary tylko tak gada, ale proszę – to była prawda.

Najnowsze odkrycie zelektryzowało wszystkich. Mieszkańcy Idy przez pół wieczoru łazili tunelem do dworu i z powrotem, aż wreszcie znudzili się tą atrakcją i zajęli czym innym.

– Ten tunel jest bardzo praktyczny – stwierdziła Miła, która jako jedna z ostatnich wylazła z szafy. – Jak dokuczają ci goście, to będziesz mógł od nich uciec, tak samo jak bank naśle na ciebie komornika...

– Komornika to ja osobiście wsadzę za tę szafę i będę go tam trzymał. Błędne ognie na niego wypuszczę, co mu do reszty humor popsuje.

– E tam – zbagatelizowała. – Nie masz pojęcia, jacy oni są odporni. Noc w lochu im niestraszna.

– Straszna, niestraszna, jak mu Jodžo nogę odgryzie, to wtedy będzie już straszna – powiedział stanowczo.

– Zamierzasz wytresować kota do odgryzania nóg? – zaciekawiał się Albert. – Chciałbym zobaczyć, jak to zrobisz.

– To jest kot piracki. Koty pirackie są wyspecjalizowane w wygryzaniu wrogom różnych części ciała – wyjaśniła Miła.

Wszyscy się roześmiali i wiosenny bal w ogrodzie potoczył się dalej i trwał aż do rana.

Parę dni później pod pałac podjechał samochód i wysiadł z niego młody mężczyzna o charakterystycznej szopie nieuczestnych włosów.

– Nie mogę! – powiedział do siebie Witold, bo naprawdę nie wierzył własnym oczom. Miał przed sobą we własnej – blisko dwumetrowej – osobie Pata O’Shea.

– Cześć, stary – zawołał Pat, wydobywając z bagażnika wielką torbę. – Trudno tu trochę trafić, ale od czego jestem potomkiem wielu pokoleń poszukiwaczy skarbów. Piękny dom... – ocenił jeszcze, wspinając się po schodach na werandę.

– A cóż ty tu robisz? – zdumiał się bezbrzeżnie Witold, ściskając mu rękę.

– No wiesz, koleżko, też się cieszę, że cię widzę! – obraził się Pat. – Przeleciałem ocean, potem w Warszawie z trudem wypożyczyłem tego grata – wskazał na samochód – bo w tym twoim kraju chyba nie słyszano o automatycznej skrzyni biegów... Przebijałem się przez jakieś bezdroża... Gorsze niż australijski interior... W tym kraju nikt nie mówi po angielsku...

– Przestań! – przerwał mu ze śmiechem Witold. – Myślałby kto, że jesteś taki niezaradny i wrażliwy! W Afryce chyba było gorzej, więc nie zalewaj.

– Przepraszam bardzo! W Afryce przynajmniej było ciepło... – oburzył się przyjaciel.

– Wtedy ci się to wcale nie podobało... – westchnął Witold. – Ciężko ci dogodzić, ale cieszę

się, że cię widzę, stary byku. – Uścisnęli się wylewnie. Pat sięgnął do torby i wydobyl butelkę whisky. – Napijemy się? Trzeba oblać ten zamek, który kupiłeś...

– To eklektyczny pałac z początku ubiegłego wieku... – wyjaśnił cierpliwie Witold.

– O la la la! W Irlandii mamy lepsze zamki, ale za to w Stanach w ogóle ich nie ma... Chyba że ktoś sobie sprowadzi z Europy... Straszysz tu?

– Żebyś wiedział! – potwierdził Witold, podsuwając mu filiżankę z kawą. – Pojawia się duch Majora i diabelskie światła na łąkach...

– Super – uradował się Pat. – Teraz już wierzę, że będzie to prawdziwa atrakcja turystyczna, Amerykanie będą walić drzwiami i oknami... Ale teraz muszę się przespać... Ta różnica czasu mnie wykończy, za stary już na to jestem...

– Przyjechałeś z kurtuazyjną wizytą czy w interesach?

– zapytał Witold, wprowadzając go do środka. W westybulu Pat przystanął, zachwycając się balkonikiem na pierwszym piętrze. – Ale świetne rozwiązanie! Muszę sobie coś takiego zrobić w Nowym Jorku.

– Ciekawe gdzie – wzruszył ramionami Witold. – W tym mieszkanku przy snobistycznej 5 Av. ?

– Stary. – Pat poklepał go po plecach. – Kiedy wydobędziemy, oczywiście przy twojej wybitnej pomocy, ten statek, kupię sobie apartament albo nawet małą kamieniczkę... Swoją drogą nieźle nas wyżyłowałeś, wampirze...

– Na biednego nie trafiło – zbagatelizował sprawę Witold. – Zarobicie na tym ciężkie miliony. I tak cię ulgowo potraktowałem...

– Akurat! Walczyłeś z moim starym jak lew... Ale niech ci będzie... Szczerze ci powiem, że familia jest przyciśnięta do muru brakiem forsy i zgodziłaby się pewnie i na pół miliona...

– Nie chciałem przeciągać struny... – Witold wprowadził go do kuchni, gdzie nerwowo kręciła się pani Gertruda. Zauważyła gościa przez okno i bardzo zaniepokoiła ją prowadzona po angielsku rozmowa.

– Pani Gertrudo, to mój kolega, Pat O’Shea – przedstawił go Witold, a gospodyni wyraźnie westchnęła z ulgą.

– Chwała Bogu, bo już myślałam, że to jakiś antychryst.

– Szczery katolik! – roześmiał się Witold, powtarzając Patowi słowa gospodyni.

– Cała moja rodzina czci Panienkę z Gwadelupy i świętego Columbana – dodał Pat, ściskając dłoń pani Gertrudy.

– Co będzie na obiad? – zainteresował się Witold.

– Na razie nie wiem – odpowiedziała gospodyni, wyraźnie zafascynowana wysokim wzrostem Pata. – Czy to jakiś koszykarz, panie mecenasie?

– Bynajmniej. To prawnik-hipochondryk. Pracuje w ONZ-ecie.

– Aha – uspokoiła się pani Gertruda. – Będzie zestaw polski: grzybowa i schabowy z kapustą...

– No i słusznie... – zgodził się Witold, wyprowadzając Pata z kuchni. – Niech się chłop przyzwyczaja do bomb cholesterolowych, które go czekają w tym kraju...

Wyprowadził przyjaciela na piętro i pokazał mu pokój. Był to ostatnio wykończony apartament. Znajdował się po przeciwnej stronie niż sypialnia Witolda, nad tarasem z przodu domu.

– Ładny widok – stwierdził Pat, rzucając okiem przez okno, bo rzeczywiście park z tej wysokości wyglądał imponująco. – Czuję się jak bohater wiktoriańskiej powieści z epoki albo filmu w stylu *mystery*, zagadka goni zagadkę, a na końcu psychopata dusi głównego bohatera. Mam dla ciebie prezent – przypomniał sobie, sięgając do torby.

– Jeszcze jeden? – zdziwił się Witold, myśląc o butelce, która samotnie została na werandzie i, jak zauważył przez okno, wzbudziła podejrzenie zainteresowanie Jodza.

– Masz. – Pat wydobył ze swego bagażu płaską paczkę i podał mu. – I muszę skorzystać z łazienki.

– Witold wskazał mu drzwi, cały czas przyglądając się dziwnemu pakietowi. – Co to jest? – zapytał z wyraźnym niepokojem.

– Dwa kilo samteksu okręcone gazetą – powiedział Pat, wychodząc z pokoju. Za chwilę z łazienki rozległy się jego zachwycone okrzyki. – Ale fajna wanna! Ma nóżki w kształcie lwich głów... I piecyk na środku... Super...

Wykończenie tej łazienki stanowiło prawdziwą dumę Witolda, który wzorował się na pałacowych komnatach kąpielowych z Łańcuta, gdyż pani Tekla stanowczo oświadczyła, iż w jej czasach łazienka ograniczała się do małej porcelanowej wanny i niezbyt pięknej fajansowej muszli sedesowej. Dała mu przy tym do zrozumienia, że łaźnie wspominki uwłaczają damie, i nie chciała wchodzić w dalsze szczegóły.

Przeanalizowawszy kilka możliwych koncepcji, Witold zdecydował się na wariant łańcucki, gdyż bardzo spodobała mu się łazienka hrabiny Potockiej. Stojącą na środku pomieszczenia ozdobną żeliwną kozę wynalazł pan Kowal – ogrzewała warsztat samochodowy w Brzózkach Wielkich; mąż gospodyni nabył ją za nader umiarkowaną cenę, wypłaconą głównie w produktach polskiego monopolu spirytusowego, i triumfalnie przywiózł do Idy. Uważał przy tym, że właściciel warsztatu powinien oddać kozę za darmo, bo wcześniej na pewno ktoś z jego rodziny zrabował ją z pałacu (choć Tyczyńska nie rozpoznała w piecyku swojej własności). Kilka ozdobnych kafelków z epoki, umiejętnie wkomponowanych we współczesną glazurę, pan Kowal wygrzebał z gruzowiska pod gankiem.

Witold doszedł wówczas do wniosku, że mąż gospodyni spadł mu z nieba i jest nabytkiem wprost bezcennym, zwłaszcza z punktu widzenia renowacji pałacu. Uśmiechnąwszy się do swoich myśli, Witold rozpakował prezent. W środku paczki był maleńki sztych przedstawiający hiszpański galeon z XVI wieku, oprawiony w piękne srebrne ramki. Statek był śliczny i Witold jeszcze nie miał takiego w swojej kolekcji.

– Wielkie dzięki! – krzyknął w stronę łazienki, ale odpowiedziało mu tylko bulgotanie wody.

„Mam nadzieję, że się nie utopi”, pomyślał, wchodząc do swego pokoju, by zawiesić obrazek na ścianie. Albowiem Pat, jak każdy prawdziwy wilk morski, nie potrafił pływać.

Po kilku godzinach zasłużonego odpoczynku i staropolskim obiedzie, którym Pat był zachwycony, Witold zarządził wymarsz do Idy. Miał nadzieję, że o tej porze Mila zakończyła już swoje lekcje i jest w domu. Był nawet pewien, że zastanie ją studiującą „Uranie” w antycypacji nadchodzących zjawisk astronomicznych.

Ponieważ do domu pani sołtys było stosunkowo niedaleko, wybrali się tam pieszo. Pat – rozweselony obiadem i niedawnym wypoczynkiem – radośnie dźwigał pod pachą grubą aktówkę, w której – jak domyślił się Witold – mieścił się kluczowy dla sprawy dokument, i z zainteresowaniem rozglądał się wokół siebie. Widać było, że Ida mu się podoba.

– Jaka jest ta twoja Mila? Myślisz, że odczyta ten manuskrypt? – zapytał po chwili, przekładając ciężką teczkę z jednej ręki do drugiej. – Oglądaliśmy go ze starym chyba z tysiąc razy i nic ważnego nie zauważyliśmy...

– Zobaczmy... – powiedział Witold i zamyślił się głęboko. Kiedy cała sprawa była jeszcze w fazie planowania, miał pewność, że Mila bez trudu odczyta dokument. Teraz, gdy dobrze się nad tym zastanowił, widział rozmaite przeszkody. W końcu cała głodna skarbu rodzinka Pata głowiła się nad hiszpańskim rękopisem przez kilka lat i nic nie odkryła. To przecież niemożliwe, żeby coś umknęło ich sokolemu wzrokowi... „Istnieje niestety prawdopodobieństwo, że się wygłupimy” – pomyślał i westchnął, bo taką ewentualność trzeba było rozważyć wcześniej. Teraz już za późno na wątpliwości...

W końcu doszli pod dom Mili. Galileo dokonywał starannej toalety na ganku, co oznaczało, że pani sołtys jest w domu. Pat w osłupieniu przyglądał się domkowi złożonemu z samych dobudówek i słynnej wieżycze. Witold gratulował sobie w myślach, że wtedy, na początku miesiąca, kiedy przybył tu po raz pierwszy, nie zastał Mili w domu. Był przekonany, że miał wówczas równie idiotyczną minę jak Pat teraz.

– No to wchodzimy – powiedział, wskazując przyjacielowi drogę na ganek. – Możecie rozmawiać po hiszpańsku, mnie to nie przeszkadza, a nie wiem, czy ona zna angielski...

– OK, OK – uspokajająco powiedział Pat, stawiając teczkę pod drzwiami, które niespodziewanie się otwały. Hałas wywabił Milę przed dom.

– Cześć – powiedziała dość nieprzytomnie do Witolda (w ręce trzymała, tak jak się spodziewał, najnowszy numer „Uranii” i krzyki na ganku wyrwały ją z tej pasjonującej lektury).

– Co słysząc?

– Przyprowaździłem Pata O’Shea – wskazał ręką na przyjaciela, a Mila – podobnie jak pani Gertruda – zwróciła uwagę na jego wysoki wzrost. – Finalizujemy sprawę skarbu.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że on przyjeźdźca?!

– powiedziała z wyrzutem, nie spuszczać z Pata badawczego wzroku, pod wpływem którego nieszczęsny potomek poszukiwaczy skarbów poczuł się dość nieswojo.

– Bo sam nie wiedziałem – wyjaśnił cierpliwie Witold.

– Przyjechał bez uprzedzenia, zdaje się, że im się bardzo spieszy, a najwyraźniej boją się wypuścić dokument z rąk, więc przysłali tu tego – pozał się Boże – kuriera.

– Dlaczego ona mi się tak przygląda? – nie wytrzymał Pat. – Wiem, że jestem przystojny, ale bez przesady...

Witold nie zdążył odpowiedzieć, bo uprzedziła go Mila – Przepraszam. Po prostu u nas tacy ludzie nie występują...

– Jacy niby? – oburzył się Pat.

– No tacy... – Mila machnęła ręką, co chyba miało oznaczać wielkie gabaryty, ale widząc minę Pata, zrezygnowała. – No... Przystojni, jednym słowem.

Pat rozpromienił się i energicznie uścisnął jej rękę.

– Pat O’Shea z firmy See Hole, bardzo mi miło poznać.

– I do Witolda z naganą: – Ty barbarzyńco! Mówiłeś, że ona nie zna angielskiego! – i rzucił do Mili kilka słów po hiszpańsku, co było oczywistą zemstą, bo tego języka akurat Witold nie znał. Mila ze śmiechem odpowiedziała mu coś śpiewnie („Jakbym oglądał Almodóvara w oryginale”, pomyślał Witold) i wprowadziła ich do swego dziwaczego domku.

Zarzucony książkami i szpargałami salon był dzisiaj jakby trochę lepiej uprzątnięty. Tylko na stole piętrzyły się góry książek i papierów, które Mila bezceremonialnie przełożyła na krzesło. Był tam oczywiście *Atlas nieba*, ale i podręczniki astronawigacji, i kserograficzne odbitki dwóch najstynniejszych atlasów, o oryginałach których Witold skrycie marzył: XVI-wiecznego *Atlasu Katalońskiego* Cresquesa oraz XVI-wiecznego dzieła Pereiry *Esmeraldo de Situ Orbis*. Widać było, że Mila dobrze przygotowała się do swego zadania, nie ograniczając się jedynie do rejonu Morza Karaibskiego, ale rozszerzając swe zainteresowania na Afrykę i tak zwane Indie Zachodnie.

– Mam tego Pereirę – pochwalił się od razu Pat. – Serdecznie nie znosił piratów i gdy tylko krajowcy dopadli i zjedli jakiegoś „przemytніка”, pisał o tym z nieukrywaną satysfakcją.

Mila pokiwała głową. – Akurat opisy wybrzeża Afryki nie są nam do niczego potrzebne, ale chodziło mi o oznaczenia na mapach. Tak samo jest zresztą z Cresquesem – jego *Atlas* sięga tylko wysp Oceanu Atlantyckiego... Mam jednak kopie XVI-wiecznych map portugalskich i hiszpańskich przedstawiających basen Morza Karaibskiego. – Wyciągnęła je spod piramidy innych dokumentów i książek, które – jak słusznie przewidział Witold – natychmiast spadły.

Pat pokiwał głową i otworzył swoją grubą teczkę. Jako pierwsza na stole pojawiła się butelka whisky, podobna do tej z domu Witolda. Kolejnym przedmiotem był laptop, który Pat od razu podłączył do prądu. Po chwili na ekranie pojawiła się mapa Karaibów z zaznaczoną pozycją „San Pablo de Burgos”, to znaczy z tą pozycją, na której wówczas bezskutecznie szukali statku. Ostatnią rzeczą, jaką Pat wydobyl ze swej przepastnej torby, był dokument opakowany troskliwie w kilka warstw zabezpieczającej folii. Mila przyniosła kawę i szklanki do drinków. Sama odmówiła alkoholu, bo jak stwierdziła, nie przepada za whisky. Pat usiłował ją przekonać, że jego narodowy trunek, zwany z gaelicka *uisge beatha* – woda życia, lubią wszyscy, tylko nie

każdy znalazł już gatunek, który najbardziej mu odpowiada.

Mila bardzo ostrożnie rozwinęła hiszpański dokument. Witold niesłusznie podejrzewał, że będzie to mapa. Był to manifest okrętowy przedstawiający ładunek „Burgos”, który przyprawił o ból głowy. Na dole widniał mały dopisek z informacją o miejscu zatonięcia statku. Cała trójka pochyliła się nad manuskrytem.

– No cóż – powiedział po chwili Pat. – Nie ulega kwestii – informacja jest pełna „10 leguas na wschód od Los Abrojos” – wyciągnął tablet, rodzaj elektronicznego ołówka, i zaznaczył ten obszar na mapie. – Pewnie myślałaś, że brakuje kawałka tekstu? – zwrócił się do Mili, która przecząco pokręciła głową.

– Początkowo tak... – przyznała. – Ale później... Czy mogę go wziąć do ręki? – zapytała Pata, który uczynił zachęcający ruch.

Mila wzięła dokument, zapaliła lampę, którą wydoستاła spod stołu, a która przypominała lampy używane do przesłuchań w czasach stalinowskich, i wyciągnęła z szuflady ogromne szkło powiększające. – Ależ ten papier zniszczony... – powiedziała, badając każdy centymetr tekstu.

– Myślisz, że to atrament sympatyczny? – dopytywał się Pat. – Próbowaliśmy tego... Nie ma żadnych znaków zrobionych sokiem z cytryny. Myślałem też, że to może być abrewiatura...

– Co to jest abrewiatura? – zainteresował się Witold, który jako niezaangażowany bezpośrednio w odczytywanie zagadki wysączał kolejną szklanekę prawdziwej irlandzkiej whisky.

– Abrewiatura to rodzaj szyfru – wyjaśniła Mila. – Była stosowana głównie w książkach, ale nie tylko... Polegała na skracaniu słów lub zapisywaniu ich symbolami...

– Taka stenografia – domyślił się Witold.

– Coś w tym rodzaju. – Ze zmarszczonym czołem badała kartę. – I musisz wiedzieć, Pat, że tu jest właśnie coś w rodzaju abrewiatury... – Przerwała, oglądając dokument pod światło z ogromną uwagą.

Witold się nie odzywał, bo nie miał nic do powiedzenia, Pat zaś kręcił się nerwowo na krześle. Widać było, że nie chce przeszkadzać Mili, ale najwyraźniej nie mógł znieść napięcia. Wstał od stołu i zaczął krążyć po obszernym pokoju. Machinalnie podniósł z podłogi kopię jednej z map zaczerpniętych z *Geografii* Ptolemeusza i wpatrywał się w nią nieuważnie. – Tę książkę też pewnie macie w swoich zbiorach? – nie wytrzymał Witold, w głębi duszy śmiertelnie zazdrosny o kartograficzne zbiory rodzinki Addamsów.

– Owszem! – odpowiedział Pat, patrząc znad kartki na wysiłki Mili.

– A *Theatrum Orbis Terrarum* Orteliusa? – nie popuszczał Witold. W tym mniej więcej momencie ogarnęły go wątpliwości, czy Mila odczyta dokument, i ze wszystkich sił starał się odwrócić uwagę przyjaciela od nadciągającej nieuchronnie porażki.

– To mam również... Pokażę ci, kiedy mnie odwiedzisz w Nowym Jorku... A teraz zamknij się, bo rozpraszasz Milę. – Obaj popatrzyli na panią sołtys, która nadal w skupieniu badała manuskrypt. Położyła pergamin na stole i jeszcze raz oglądała go przez szkło powiększające. Witold obserwował jej zmarszczone brwi i skupione spojrzenie; widać było, że głęboko się

zastanawia, bo zanurzyła ręce we włosach, co robiła zawsze, gdy była zamysłona. W końcu po paru minutach pełnego napięcia milczenia podniosła głowę znad kartki i popatrzyła triumfalnie na Pata i Witolda.

– Dajcie tej irlandzkiej samogonki – powiedziała z najradośniejszym uśmiechem, jaki Witold widział na jej twarzy. – Wiem, gdzie jest statek!

Pat spojrział na nią z niedowierzaniem, ale trzęsącą się ręką nalał jej pełną szklankę, którą wychyliła jak bieszczadzki drwal bez skrzywienia i odpoczynku.

– Fuj! Ależ to wstrętne – powiedziała, odstawiając szklankę. – Zdaje się ten gatunek również mi nie odpowiada, ale co tam...

– Gdzie on jest? – spytał prawie bez tchu Pat. Mila wzięła porzucony przez niego tablet, sprawdziła skalę mapy i wykreśliła linię. – Tutaj. 30 kilometrów od miejsca, gdzie szukaliście.

– A więc legua juridica, czyli 4000 metrów – stwierdził Witold, wywołując (o ile było to w ogóle możliwe) jeszcze większe zdumienie i zaskoczenie na twarzy Pata.

– O czym wy mówicie? – spytał i widać było, że już całkowicie skapitulował.

– Wyczytałam, że w tym okresie były co najmniej cztery różne miary, oznaczane nazwą legua. Wy posługiwaliście się legua legał o długości około 7000 metrów?

Pat pokiwał twierdząco głową.

– Doszłam do wniosku – tłumaczyła dalej Mila – że jeżeli dokument był pełny i nie brakowało jakiegoś fragmentu tekstu – a teraz mogłam się przekonać, że niczego nie brakuje, problem tkwi w oznaczeniu odległości... Spodziewałam się jakiegoś skrótu przy słowie „legua” i rzeczywiście, zobaczcie – wskazała im miejsce na dokumencie, nad którym obaj pochylili się gorliwie. – Tu jest taki mały znaczek „j”...

– Ale czy to nie jest załamanie pergaminu? – zaniepokoił się Witold, oglądając dokument pod światło.

Mila przecząco pokręciła głową i podała mu szkło powiększające. – Zobacz przez to... Oglądałam przez szkło powiększające oznaczenia na kopiach tych starych map – wskazała na górę papieru porzuconą w kącie.

– i uważam, że zdobyłam w tym pewną wprawę... To na pewno jest ten symbol...

– Rzeczywiście – rozemocjonował się Pat, badając przez szkło powiększające swój manuskrypt... – Teraz to widać wyraźnie... Jak mogliśmy pominąć tak ważną rzecz, przecież wiedziałem, że istnieje więcej niż jedno oznaczenie tej odległości – nie mógł sobie darować amerykański Irlandczyk.

– Zawsze tak jest – pocieszyła go Mila. – W każdym dobrym kryminale, gdy morderca już jest znany, sprawa wydaje się od początku oczywista...

Zachwycony Pat uściśnął jej z rozmachem rękę i nie posiadał się z podziwu. – No wiesz... jesteś po prostu genialna... Zaraz dzwonię do starego... Niech złączą poszukiwania... – Pokręcił się przez chwilę po domu i wybiegł na zewnątrz.

Witold i Mila roześmiali się. – Jeżeli szuka zasięgu, to i tak go nie znajdzie... – powiedziała

Mila z promiennym uśmiechem.

– Jak go znam, ma telefon satelitarny – odparł Witold, patrząc na nią porozumiewawczo.

– Myślałam, że się nie uda – powiedziała po chwili milczenia, jakby zgadując jego myśli. – Tyle czasu poświęciłam na te mapy – zrobiła znaczący ruch ręką obejmujący cały pokój. – Bałam się, że to wszystko nie wystarczy, a sprawa okazała się dziecinnie łatwa...

– Jestem z ciebie dumny... – powiedział poważnie. – I rozumiem, że w ten oto sposób zostaliśmy współnikami?

Mila uśmiechnęła się niepewnie. – Chyba tak... Choć jeszcze nie dociera do mnie, że jest po wszystkim. Nie masz pojęcia, jak się tym denerwowałam, bałam się, że wyglupię się w sposób absolutny. Ale oczywiście dotrzymam słowa i zostanę udziałowcem „Hotelu Zacisze”.

– Bardzo się cieszę! – stwierdził, nalewając whisky do dwóch szklanek i nie zwracając uwagi na niechętną minę Mili. – Musisz wypić, bo inaczej interes się nie uda...

Mila nie zdołała już zaprotestować, bo drzwi otworzyły się z hukiem i wpadł przez nie Pat.

– Załatwione! Podalem ojcu pozycję statku... Chciałbym jeszcze wysłać mu mejla z mapą. – Nie zwracając uwagi na miny Witolda i Mili, usiadł do komputera i rozpoczął obliczenia.

– Mejla możesz wysłać ze szkoły – powiedziała Mila, a Pat odwrócił się od stołu, prezentując coś w rodzaju zaskoczenia i zdziwienia.

– Albo ode mnie – pospieszył z propozycją Witold. – Telefon jest tylko w szkole i u mnie... W Idzie nie ma stałego łącza internetowego...

– Ale będzie – pospieszyła z zapewnieniem Mila.

– Już przystąpiliśmy do takiego projektu, Wirtualna Szkoła...

– Boże święty! – jęknął Pat. – Mówiłem ci, że tu jest gorzej niż w Bangladeszu – zwrócił się do Witolda.

– Nie przesadzaj... – zaczął tłumaczyć Witold, ale przerwało mu gwałtowne pukanie do drzwi. Na progu stali Wojtek i Albert. Wojtek trzymał w ręce butelkę szampana, co dobitnie dowodziło, że doskonale wiedzieli, po co przychodzą.

– Aha – domyśliła się Mila, machając do nich ręką.

– Wiejskie tamtamy działają doskonale...

– No widzisz... – powiedział do Pata Witold. – Nie mamy internetu, bo nam niepotrzebny – tu każda wieść rozchodzi się lotem błyskawicy...

– Niesamowite... – zaczął Pat, ale nie zdołał dokończyć, bo Wojtek i Albert głośno domagali się prezentacji. Honorów domu dopełnił Witold, gdyż Mila poszła do kuchni szukać kieliszków.

– Wiedziałem, że jej się uda – obwieścił gromko Wojtek, ściskając z mocą dłoń Pata. – Ona jest geniuszem samorodnym...

– Tak – potwierdził Pat. – Piękna, inteligentna i niebezpieczna, jak królowa piratów Grace O'Malley...

– Rozumiem, że piękna i inteligentna, ale czemu niebezpieczna? – zaśmiał się Witold.

– Każda piękna kobieta jest niebezpieczna – wyjaśnił Pat, dopijając swoją whisky. – Ale nie

martw się – machnął uspokajająco ręką. – Nie zamierzam ci wchodzić w drogę...

Wojtek i Albert roześmiali się (Albert mściwie), a Witold nie zdążył zaprotestować, gdyż pojawiła się Mila z baterią rozmaitych kieliszków.

– Wybaczcie – powiedziała, łapiąc ich zdumione spojrzenia – ale nie mam kieliszków do szampana... W ogóle mam ich bardzo mało... – I była to prawda – Mila zaprezentowała swoim gościom zaskakującą mieszalinę szkła: kieliszki do wina, wódki oraz dwa dziwaczne, wysokie i wąskie kieliszki, które od razu porwał Pat.

– Patrzcie! – zawołał. – Autentyczne kieliszki do meksykańskiej tequili zwane caballeros!!! – i zaczął szybko mówić do Mili po hiszpańsku, wyrażając swój zachwyt i zadowolenie.

– O czym mówiliście, gdy mnie nie było? – spytała Mila, rozstawiając akcesoria na stole. Odpowiedziało jej pełne konsternacji milczenie.

– O Grace O'Malley, do której podobno jesteś podobna – rozładował atmosferę Wojtek, na którego zawsze w takich sytuacjach można było liczyć.

– O właśnie! – poparł go Albert. – O Grace...

– A kto to jest? – zainteresowała się Mila, siadając na kanapie i biorąc na ręce Galileo, który wykorzystując zamieszanie, przeniknął do pokoju.

– Królowa irlandzkich piratów – wyjaśnił Pat. – Żyła w XVI wieku i żelazną ręką rządziła na całym wybrzeżu... Walczyła przede wszystkim z Anglikami... Miała całą flotę okrętów i załogę złożoną z 200 mężczyzn...

– To zupełnie jak ty – pokiwał głową Albert. – Masz starego małego fiata i gotową na każde szaleństwo załogę złożoną z trzech mężczyzn – wskazał trzymanym w ręce kieliszkiem siebie, Wojtka i Witolda.

Wszyscy się roześmiali. Atmosfera zrobiła się bardzo rodzinna – Mila i Pat rozmawiali po hiszpańsku – jak zorientował się Witold, na temat uroków Ameryki Południowej, Albert z Wojtkiem zaś oglądali przez szkło powiększające słynny manuskrypt.

Kiedy wykończyli butelkę Pata, szampana przyniesionego przez chłopaków oraz nalewkę pani Gertrudy, którą Mila trzymała na „ważną okoliczność”, Witold zaczął się zbierać. Mieszanie alkoholi wyraźnie mu nie posłużyło, a poza tym wiedział, że Pat aż się trzęsie do wysłania wiadomości swemu ojcu. Po wylewnych pożegnaniach obaj ruszyli do pałacu. Na Irlandczyku wypity alkohol nie zrobił żadnego wrażenia; pogwizdywał wesoło jakąś swoją narodową poleczkę.

– To najszczęśliwszy dzień mojego życia – powiedział niespodziewanie. I po chwili jakby sobie coś przypomniał.

– Jak długo ona mieszkała w Ameryce Południowej?

– Mila? – zdziwił się Witold.

– No, tak. W Argentynie, prawda? – i nie czekając na odpowiedź Witolda dodał: – Strasznie fajnie się z nią rozmawia... Nie lubię Hiszpanów... Latynosi się tak pięknie wyrażają... Tak kwiecieście, znają dużo więcej słów... Ona właśnie tak mówi... Jakbym czytał jakiegoś

Marqueza... Moja bratowa jest Argentyńką i mówi podobnie, ale Mila ma o niebo lepszy styl wyrażania się. Rewelacyjna dziewczyna – zwrócił się do Witolda. – Doskonały wybór... A już myślałem, że nikogo sobie nie znajdziesz...

– Bo sobie nie znalazłem – stanowczo zaprzeczył Witold. – Przyjaźnimy się tylko, a dzięki twojej forsie za chwilę będziemy współnikami... I tyle...

– OK, OK – roześmiał się Pat. – Już nic nie mówię. I dobrze, że wspomniałeś o forsie... Stary upoważnił mnie do tego, by oddać ci czek na 300 tysięcy dolarów... 50 tysięcy do natychmiastowej wypłaty, reszta, gdy zespół da sygnał, że statek jest...

– Chyba 250 tysięcy – poprawił Witold.

– Mała premia – machnął ręką Pat. – Mówiłem ci, że stary już zaczął chorować z bezsilności... Obiecał nawet złotą szatę Panience z Gwadelupy w naszym kościele...

– Ale sprawę załatwiła mu panienska z Argentyny – powiedział do siebie Witold po polsku. I gdy Pat popatrzył na niego pytająco, dodał: – Jesteś pewien, że była w Argentynie? Bo mnie nigdy o tym nie mówiła...

Pat machnął ręką. – Na mój nos musiała tam mieszkać kilka lat... Mówi jak Jorge Luis Borges we własnej osobie...

– Skąd ty możesz wiedzieć, jak mówił Borges... – sprzeciwił się Witold, wpatrując się w wieżę swojego pałacu, do którego właśnie się zbliżali.

– Mój ojciec go znał – wyjaśnił Pat, klepiąc go po plecach. – A teraz, stary, pokaż mi, gdzie tu masz internet, bo muszę dokończyć robotę.

– Tak, tak – mruzczał do siebie Witold, prowadząc go na piętro. – Jak mógłbym zapomnieć; rodzina Addamsow zna wszystkich: żywych, umarłych oraz nienarodzonych...

Mały gabinet na piętrze, do którego wprowadził Pata, przedstawiał widok dość opłakany. Witold zapomniał, że rozpoczął się nowy etap remontu i że pan Kowal zaczął wybijać dziurę łączącą piętro domu z wieżą. Na podłodze wałały się kawałki kamienia odłupane ze ściany, wszędzie poniewierały się narzędzia i materiały budowlane.

– Co ty tu robisz? – zdumiał się Irlandczyk. – Granat wrzuciłeś, czy co?

– Buduję wejście na wieżę, od strony domu – wyjaśnił Witold. – Drugie będzie na dole, na zewnątrz... To dla Mili i dzieci...

Pat przyjrzał mu się z rozbawieniem. – No, no, przewidujący jesteś. Pewnie chcesz ją zwabić w środku nocy, a potem zamknąć...

– Jakbyś zgadł! Mila prowadzi kółko astronomiczne i dzieci chcą tu zainstalować teleskop...

Pat obejrzał oskrobaną z tynku ścianę i stwierdził: – Musisz mi pokazać tę wieżę... A teraz chcę się gdzieś podłączyć do prądu i sieci!!!

– Pójdziemy do pokoju nad loggią, to po drugiej stronie ganku. Tam będziesz mógł spokojnie pracować.

Zaprowadził go do pomieszczenia z labiryntem, a później wrócił do swej sypialni. Cały wypity alkohol wyparował mu z głowy. Mimo że wszystko było załatwione, poczuł silne

zdenerwowanie; zapalił papierosa i nerwowo zaczął chodzić po pokoju. Nie myślał właściwie o niczym konkretnym, jego uwaga przesuwiała się z jednego przedmiotu na drugi. „Ładnie się urządziłem” – stwierdził po chwili, gasząc papierosa. „Przyjechałem tu odpocząć i wyleczyć skołatane nerwy, a jest mi coraz gorzej”. Złapał się na tym, że jego myśli ciągle wracają do Mili, i to rozdrażniało go najbardziej. Miał do niej żal, że nie powiedziała mu nic o swojej przeszłości. „Tajemnice”, pomyślał. „Nie ma do mnie zaufania, nie chce zdradzić mi nic na swój temat”. Nie powiedziała, że mieszkała w Argentynie, ani też dlaczego stamtąd wyjechała. Nic. W sumie niczego o niej nie wiedział. „Z drugiej strony, niby dlaczego miała mi się zwierzać? Jestem sobie po prostu zwykły facet, z którym łączy ją oglądanie meczów w telewizji i teraz może wspólny biznes”. Wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, co sobie niby wyobrażał – są przecież tylko kumplami i tak pozostanie. Westchnął ciężko i położył się spać – z powodu nadmiaru wrażeń nie mógł jednak zasnąć do rana.

Po dwóch tygodniach z USA przyszedł entuzjastyczny mejl – statek został odnaleziony we wskazanym miejscu! W ślad za mejlem uczciwa do granic możliwości firma See Hole zaczęła nadsyłać raty honorarium.

– Jesteś bogata – powiedział Witold, gdy Mila notarialnie potwierdziła odbiór gotówki.

Wzruszyła ramionami. – Jakoś mi głupio. Ty na swojej łamigłówce z masonami i Graalem nie zarobiłeś ani złotówki, nawet ciągle do niej dokładasz... Muszę koniecznie napisać do agenta Dana Browna, sprzedasz ten pomysł i trochę się odkujesz...

Roześmiał się. – Dzięki za troskę, rozczuliłaś mnie!

– Twoja propozycja, jak rozumiem, jest ciągle aktualna? – zapytała, patrząc na niego z boku.
– No wiesz, żebym została inwestorem...

– Wspólnikiem – poprawił Witold.

– Cichym wspólnikiem, cichuteńkim – wyjaśniła Mila.

– Takim, co daje kasę, w nic się nie miesza i spija drinki z palemką na Hawajach za dywidendy...

– Spryčiuła z ciebie – pokiwał głową. – Nie chciałem cię do niczego zmuszać, ale jeżeli sama masz ochotę... Mam nadzieję, że do tego gestu nie popycha cię litość lub wyrzuty sumienia...

– Popycha mnie wyłącznie żądza pieniądza – uspokoiła go. – Myślę, że hotel będzie wielkim przebojem kasowym i inwestycja zwróci mi się tysiącrotnie!

Witold wyciągnął do niej rękę. – Dobrze, wspólniku! Jutro jadę do Warszawy opracować statut spółki, zadzwonię, żebyś przyjechała na podpisanie dokumentów. Muszę też znaleźć firmę, która zajmie się promocją i PR.

– Spróbuj znaleźć taką, która zareklamuje też przy okazji spółdzielnię Ida, taka oferta pakietowa, zapłacimy dwa razy mniej za dwa razy więcej roboty! – roześmiała się.

Pokręcił głową. – Co to pieniądze robią z porządnymi, wydawałoby się, ludźmi! Zdobędzie

pierwszy milion i już krwio pijca, wyzyskiwacz ząbkujący.

Wspólny biznes uczcili kieliszkiem nalewki ziołowej pani Gertrudy, która nie posiadała się z radości, że znowu będzie szefową kuchni. „Zwłaszcza w takim hotelu”

– mówiła, promieniejąc z dumy. Do obsługi recepcji Witold postanowił zatrudnić starszą siostrę Aliny, która, jak się okazało, studiowała europeistykę. Cała Ida żyła już tylko planowanym otwarciem hotelu, nie mówiono o niczym innym, a w wiosce panowała atmosfera pikniku i radosnego oczekiwania.

Witolda trochę to przerażało. A nuż pomyśl nie wypali? Dlatego też następnego dnia wsiadł do samochodu i pojechał do stolicy. Postanowił odnowić dawne znajomości, zając się „marketingiem szeptanym”, jak się to mówiło w branży.

Minęły dobre dwa tygodnie, nim zadzwonił do Mili. Był pełen entuzjazmu – wieść o jego hotelu rozeszła się lotem błyskawicy, wszyscy chcieli przyjeżdżać. Miał już nawet jedno zamówienie na ślub i wesele. Zainteresowało się nim też czasopismo „Modne Wnętrze”, które chciało fotografować wybrane pokoje.

W związku z tym Milla została wezwana w ekspresowym tempie do Warszawy, by dopełnić wszystkich formalności.

W ten sposób pewnego ciepłego wieczoru znalazła się wreszcie na rogatek stolicy. Wyjechała z Idy wcześniej rano, zaopatrzona w szereg dobrych rad Iwany i pani Tekli. Była pewna, że tak jak umówiła się z Witoldem, w Warszawie znajdzie się wczesnym popołudniem. Niestety, jak to bardzo często się zdarza w podobnych okolicznościach, obiektywne trudności sprzysięgły się przeciwko niej: dwa razy złapała gumę, potem przepaliła jej się żarówka w lewym migaczu, wreszcie – jakby tego wszystkiego było mało – zablokował się klakson, który donośnym trąbieniem oznajmiał pokonanie każdego zakrętu w prawo. Witold mieszkał w starej części Mokotowa, adres Milla musiała pokazywać kolejnym pięciu osobom, zanim jakaś poczciwa dusza, zlitowawszy się nad jej nieszczęściem, skierowała ją we właściwą stronę. Z wszystkich okien dał się słyszeć sygnał „Faktów”, gdy zaparkowała wreszcie pod wysokim, dziesięciopiętrowym tarasowcem. Zadarła głowę do góry, bezskutecznie starając się domyślić, które okno należy do Witolda, po czym z głębokim westchnieniem wyjęła z samochodu torbę i poszła w kierunku windy. Lustro zamontowane w kabinie pokazało jej żalną prawdę – była brudna jak nieboskie stworzenie, trudno było się więc dziwić, że wszystkie spotkane dziś osoby przyglądały jej się z takim zainteresowaniem, a nawet (niekiedy) ze strachem. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę do nosa i bezskutecznie usiłowała zetrzeć plamy ze smaru, nadające jej twarzy wyraz nieoczekiwane komiczny. Także próba doprowadzenia do porządku skołtunionych włosów spełzła na niczym. „No cóż”, pomyślała Milla, która w każdej sytuacji starała się dostrzec jakieś jasne strony, „przynajmniej udało mi się dojechać”. A każdy, kto posiada 15-letniego małego fiata, wie, że musiał to być prawdziwy wyczyn. Adres na kartce informował, że apartamenty byłego pracownika MSZ-u mieszczą się na ostatnim piętrze. Milla wysiadła z windy i w sposób bardzo zdecydowany zadzwoniła do drzwi. Witold otworzył prawie natychmiast,

jakby czał się za drzwiami.

– Cześć – powiedziała wesoło Mila, nie zwracając uwagi na jego przerażone spojrzenie nad drucianych okularków.

– Gdzieś ty była?! Myślałem, że miałaś wypadek... Pani Tekla dzwoniła tu już ze cztery razy...

– Fajnie, że ktoś się mną tak przejmuje – ucieszyła się, wpychając torbę do przedpokoju. – Samochód mi się zepsuł – dodała jeszcze, a opłakany wygląd w pełni potwierdzał jej słowa.

Witold obrzucił ją jednym krótkim spojrzeniem – Nic nowego... Powinnaś go wyrzucić...

– Nigdy w życiu! Jestem do niego bardzo przywiązana – stwierdziła, rozglądając się po mieszkaniu.

Było niezbyt duże, a wizualnie pomniejszało je dodatkowo niebywale zagęszczenie szpargałów na metr kwadratowy. Na ścianach wisiały oprawione w ramki stare mapy, sztychy przedstawiające hiszpańskie galeony oraz rozmaite dzieła malarskie o tematyce wybitnie marynistycznej. Podobny monotematyzm dominował na półkach i regałach: statki w butelkach, przyrządy nawigacyjne oraz rozmaite modele i książki głównie o tematyce morskiej.

– Brakuje ci jeszcze okrągłych okienek i żywego wieloryba w wannie – skomentowała Mila wprowadzona do największego pomieszczenia, czyli pokoju, który służył Witoldowi jako gabinet, jadalnia, living room oraz magazyn śmieci wszelakich. – Masz tu łazienkę? – zapytała po chwili. – Chciałabym się umyć...

– wyjaśniła.

– Łazienka jest na korytarzu. Wspólna. Jak w serialu o rodzinie Kiepskich albo w rodzinnym domu Guntera Grassa w Gdańsku.

– Świetnie! Zawsze chciałam zobaczyć coś takiego...

1 „Trybuna Ludu” zamiast papieru toaletowego...

– Aż tak wyrafinowany to nie jestem... Zresztą o ten towar jest bardzo trudno, w dzisiejszych czasach... – Mila pominęła te słowa milczeniem i zniknęła w łazience. Witolda przywołał do porządku dźwięk telefonu. Pani Tyczyńska dzwoniła już po raz piąty, ale wreszcie miał dla niej dobrą wiadomość. – Dotarła mimo problemów z tym gratem – powiedział, nawet nie czekając, aż pani Tekla odezwie się po drugiej stronie druta.

– To świetnie – powiedziała wyraźnie uspokojona.

– Daj mi ją do telefonu...

– Nie mogę. Jest w wannie, bo wygląd miała dość epicki – zwłaszcza po dwukrotnej wymianie koła i innych drobnych remontach...

– Aha. Powiedz jej zatem, żeby mi kupiła potaż... I to w dużej ilości.

Witold zapisał sobie to słowo na kartce i na wszelki wypadek poprosił o przeliterowanie. Okazało się przy tym, że była to jakaś substancja niezbędna do produkcji szamponu. Pożegnali się wylewnie i Mossakowski udał się do kuchni, nastawić wodę na kawę. Minęło już sporo czasu od chwili, gdy Mila poszła się myć, i od dawna nie słychać było stamtąd charakterystycznego

pluskania. Niepewnie podszedł do drzwi łazienki i chciał zapukać, ale nieoczekiwanie były otwarte, zajrzał więc do środka.

Dziewczyna stała boso przed lustrem i za pomocą suszarki oraz dziwnego urządzenia przypominającego skrzyżowanie szczotki z lokówką usiłowała rozprostować sobie włosy. Już na pierwszy rzut oka pomysł wydawał się niewart zachodu. Część jej długich włosów wisiała zatem w smutnych, pozbawionych uroku strąkach, druga zaś część uparcie nie poddawała się prostowaniu.

– Co robisz? – zainteresował się Witold, opierając się o framugę.

– Prostuję włosy – odparła zgodnie z prawdą Mila, szarpiąc jednocześnie szczotkę.

– Może lepsze wyniki dałoby żelazko – doradził zyczliwie Witold. – Albo takie urządzenie do prasowania spodni, widziałem to kiedyś w pralni. – Mila rzuciła mu coś w rodzaju morderczego spojrzenia.

– Przestań się ze mnie nabijać i lepiej mi pomóż... Przyglądałam się ludziom na ulicy, nikt nie miał takiego kołtuna jak ja...

– Może częściej się czeszą – zbagatelizował jej słowa Witold. – Ale pomóc ci rzeczywiście mogę. – Wyjął jej z ręki suszarkę i szczotkę, po czym zaprowadził nad wannę i odkręcił wodę; następnie wsadził jej głowę pod strumień, a chwilę później fachowo wykręcił włosy. – Proszę bardzo, zrobione i już jest ślicznie... – stwierdził z dumą, wycierając ręce. – Chyba nie ma sensu, żebyś walczyła z prawami natury... Kołtun, moja droga, jest ci przeznaczony, jak innym łysina...

Mila zastanowiła się przez chwilę. – Chyba masz nieco racji – powiedziała zrezygnowana.

– Zresztą kołtuny mają dużo uroku i wielowiekową tradycję... – ciągnął Witold, idąc do kuchni po kawę.

– Czytałem o nich już u księdza Kitowicza, a to było przecież w XVIII wieku... – Ponieważ Mila nie odpowiadała, zaczął jej szukać. Dalej bosa, z głową owiniętą ręcznikiem, stała na tarasie, który stanowił największą dumę Witolda.

– Ej, wracaj, bo się przeziębisz – powiedział do niej, gdy ustawił filiżanki na biurku, które służyło mu praktycznie do wszystkiego – jako stół do pracy, element jadalni oraz dodatkowa półka na wszelkiego rodzaju szpeja.

– Piękny widok – stwierdziła Mila, patrząc przed siebie.

– Tak – potwierdził. – Widzę, że odkryłaś największy paradoks mojego mieszkania, które przy 38 metrach powierzchni posiada 50-metrowy taras...

Przy kolacji rozmawiali o Idzie. Dzieci całkowicie przejęły kino i obserwatorium na wieży. Mila przeczytała wszystkie książki Sabatiniego z jego kolekcji i zaczęła się doń zwracać per „Señor Kapitanie”, co bardzo go rozbawiło. Pani Gertruda przysłała trzy serniki i nalewkę, Tekla zaś kilka swoich wyrobów kosmetycznych.

– No i jest jeszcze to – powiedziała na koniec Mila, wyciągając z torby niezgrabny pakunek.

– Czyli co? – nieufnie zapytał Witold, rozplątując sznurek. – Wygląda, jakby przysłał go Albert, i to w niecnym zamiarach.

– Albert go nie przysłał, możesz być pewny – powiedziała ze śmiechem.

Witold wydobyl spod papieru piękny ciemnozielony blezer, z fantastycznym wzorem w warkocze.

– Przepiękny – zachwycił się zupełnie serio, przymierzając prezent. Sweter był istotnie piękny, wykonany z wielkim smakiem i dużą starannością.

– Iwana go zrobiła? – zapytał, oglądając rękawy.

– Nie. To słynny gwiazdkowy podarek matki Rona dla Harr/ego Pottera – powiedziała Mila, ziewając. – Tak zwany sweter Wesleyów...

– O ile pamiętam, Harry nie dostawał zielonych swetrów, tylko kasztanowe...

– Kasztanowe dostawał Ron, bo był rudy, a Harry zawsze dostawał zielone, pod kolor oczu. Tak samo jak ty...

– A skąd ty wiesz, jakiego koloru ja mam oczy?

– zdziwił się Witold, zdejmując blezer i ponownie przyglądając mu się pod światło. – Poza tym tamte swetry były brzydkie, a ten jest fantastyczny... Powiedz, kto go zrobił.

Mila wzruszyła ramionami. – No przecież, że nie ja! Myślałam, że już chwyciłeś po tej delikatnej aluzji do Pottera...

– Alina!! – zdumiał się Witold. – Ta dziewczynka ma więcej talentów, niż można przypuszczać... Za parę lat może cię wygryźć ze stanowiska w Idzie...

– O niczym innym nie marzę – ziewnęła Mila – jak o zasłużonej emeryturze. Bardzo cię przepraszam, ale muszę iść spać, bo jak mawia pewien twój przyjaciel, „różnica czasu mnie zamęczy”...

– Poczekaj, musimy jeszcze porozmawiać o interesach – chciał ją zatrzymać Witold. Mila przecząco pokręciła głową. – Nie. O tym możemy pogadać jutro, zresztą ja jestem tylko cichym współnikiem, tak jak się umawialiśmy... Witold pokazał jej więc drogę do pokoju, który można by – oczywiście używając poważnego eufemizmu – nazwać gościnnym. Hiperbolizacja jest tu na miejscu, gdyż Witold nigdy nie przyjmował gości, a pokój był prawie zupełnie pusty. Na podłodze wałały się książki, a pod ogromnym oknem wychodzącym na gigantyczny taras stało duże sosnowe łóżko, które Witold dwa dni wcześniej kupił w pewnym popularnym szwedzkim sklepie.

– Cudnie – stwierdziła Mila, wlokąc do pokoju swoją torbę. – Widzę, że goście walą do ciebie drzwiami i oknami... Dałbyś mi jakąś lampę, bo ja muszę przed snem trochę poczytać...

Witold posłusznie przyniósł jej lampę, którą trzymał na swojej sypialnej antresoli. Zanim wrócił, Mila zdążyła już wskoczyć do łóżka i rozłożyć książkę. Ku zdumieniu Witolda nie był to podręcznik astronawigacji albo dzieło o gwiazdozbiorach, ale wybór poezji Garcii Lorki.

Następnego dnia Witold postanowił załatwić wszystkie formalności. W tym celu wyciągnął Milę z łóżka i zawiózł do sądu, gdzie mieli zarejestrować spółkę. Potem zaprowadził ją do firmy,

która miała zrobić im (a przy okazji spółdzielni Ida – w cenie promocyjnej) stronę internetową i zająć się ogólnie rozumianą promocją. Firma wzbudziła zaufanie Mili, ponieważ jej szefem był długowłosy chłopak w góralskim swetrze.

– Tacy w swetrach na pewno są uczciwi – dowodziła, gdy już z powrotem znaleźli się na ulicy. – Facet w garniaku ma zazwyczaj złe intencje, natomiast taki w swetrze, polarze lub flanelowej koszuli jest porządny. – Witold chwilę zastanowił się nad tą charakterystyką i stwierdził, że nie sposób odmówić jej pewnej racji.

– Mam nadzieję, że nie masz wątpliwości? – zapytał po chwili. – Pakujesz w ten biznes dużo pieniędzy i nie chcesz, żebyś czuła się przymuszana.

Wzruszyła ramionami. – Podkreślam, że jestem tylko cichym współnikiem, nie zamierzam zaglądać ci w garnki ani osobiście witać gości na ganku. Mnie to pasuje, bo jest to wygodne. Ty zajmiesz się robotą, ja będę spijała śmietankę...

– O ile będzie jakaś śmietanka – roześmiał się Witold.

– Rozumiem, że pochłania cię spółdzielnia Ida, obserwacje astronomiczne i amatorskie poszukiwanie skarbów, ale naprawdę nie chcesz się włączyć? Jesteś prawnikiem, masz doskonały zmysł do interesów, razem bylibyśmy niezwycciezeni...

Mila z niesmakiem pokręciła głową. – Właśnie tego się bałam. Wymagań. Ja chętnie ci pomogę, wymyślę promocyjną historyjkę o duchu z Upiornej Kapliczki, udostępnię teleskop do obserwowania gwiazd, ale nie chcę tego robić na etacie, czyli na okrągło kombinować, jak by uatrakcyjnić pobyt gości... Ja chcę mieć z tego przyjemność, a przyjemność jest wtedy, gdy nie ma obowiązku. Owszem, jestem prawnikiem, ale to stare dzieje i nie chce mi się już w to bawić.

– Rozumiem, że praca prawnika może być bolesna, ale nie wiem, dlaczego tak lekko to porzuciłaś – zaśmiał się nerwowo i zapalił papierosa.

– Nie wiem, czy jest bolesna. To zamknięty etap mojego życia, do którego już nie wrócę – powiedziała twardo.

– Pracowałam w kancelarii prawnej za granicą...

– Znaczy się w Argentynie? – zapytał po prostu, a ona popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Skąd wiesz?

Witold zrobił nieokreślony ruch papierosem. – Pat. Powiedział mi, że posługujesz się argentyńską odmianą hiszpańskiego. Ja jestem inteligentny, choć nie wyglądam.

Mila skinęła głową. – Mieszkałam w Argentynie przez kilka lat i pracowałam w kancelarii zajmującej się prawami autorskimi.

– Jakiej? – zainteresował się Witold, bo dużych firm o tej specjalności nie było wiele, a naprawdę liczyło się tylko kilka. No, ale może ona pracowała w jakiejś malutkiej agencji.

Mila skrzywiła się i wyraźnie nie chciała odpowiedzieć.

– Nie wiem, czy o niej słyszałeś – powiedziała po chwili.

– To kancelaria sióstr Rojas, Las Hermanas Rojas.

– Żartujesz?! – powiedział Witold, patrząc na nią z niedowierzaniem. – Hermanas Rojas z

Buenos Aires to jedna z najbardziej znanych firm tego rodzaju... Wszędzie o nich piszą... Zaczynały w połowie lat 90., praktycznie z niczego, a doszły do wielkiej pozycji i znaczenia... Reprezentują wszystkich najważniejszych pisarzy iberoamerykańskich, nawet Llose.

Mila wzruszyła ramionami i otrzepała spódnicę z jakiegoś niezauważalnego pyłku. – No więc widzisz...

– Siostry Rojas... – Nie mógł wyjść z podziwu. – Czytałem o nich ostatnio w magazynie „Forbes”... Niesamowite kobiety! Jak im się udało skaperować tego Llose! To był majstersztyk! Najmłodsza z sióstr Rojas, Millagros, podała mu podczas spotkania napar z zieleń *yerba luisa* z miętą, czyli napój, który pijał skryba z jego powieści, a on powiedział...

– A on powiedział – dokończyła Mila, patrząc przez okno: – „Skąd pani wiedziała, że to o mnie?”

– Niesamowite – powiedział Witold, ciągle patrząc na nią ze zdumieniem. – Naprawdę pracowałaś u nich?

– Mila skinęła głową. – I dlaczego to rzuciłaś? – Nie mógł zrozumieć.

Mila wzruszyła ramionami. – Ile można siedzieć w obcym kraju... Zresztą w Argentynie zaczynał się kryzys, robiło się niebezpiecznie...

Witold pokiwał głową. – No tak, rozumiem... Nie ma sensu się narażać, nawet dla tak fajnej pracy... Imperium sióstr Rojas i hotelik w Idzie to zapewne kolosalna różnica jakościowa...

Mila popatrzyła na niego badawczo.

– Myślę, że mnie nie rozumiesz. Zmęczyła mnie taka praca. Korporacje, kalkulacje, brak wolności. Dlatego zamieszkałam w Idzie i zajmuję się spółdzielnią, i tym wszystkim. W prowadzeniu hotelu ci pomogę, bo bardzo mi się ten pomysł podoba, ale nie będę codziennie siedziała w rachunkach i medytowała nad sposobem ściągnięcia kolejnych gości. To twoja działka, ja mogę podrzucić pomysły. Mówiłam ci już – cichy współnik i *calm down*, stary... Poza tym to twój biznes, chyba nie chcesz, żeby ci się ktoś stale wtrącał? Od zarządzania musi być jedna osoba – reszta główkuje w wolnym czasie, jak rozkręcić interes.

Choć było mu trochę przykro, rozumiał jej punkt widzenia. I po zastanowieniu przyznał jej rację. Hotel to nie sklepik z hot dogami, rządzić powinna jedna osoba, a on rzeczywiście nie lubił dzielić się władzą.

Gdy wstąpili do restauracji na wczesny lunch, Mila wyciągnęła z torebki plik papierów.

– Ale żebyś nie miał mnie za niewdzięcznego współnika, przygotowałam plan marketingowy. Możesz go uzupełnić, zaakceptować w całości lub odrzucić, nie obrażę się. Wymyśliłam kilka projektów pt. „Warsztaty dla frustratów” i mam sporo pomysłów, jak uatrakcyjnić pobyt. To będzie trochę kosztowało, ale da się przeżyć.

Witold przejrzał dokumenty. Mila proponowała oprócz zielarstwa, lepienia garnków, wyrobu koronek i nauki astronomii także założenie małej stadniny koni pod wierzch i minizoo dla dzieci. Uważała, że wszystkie posiłki powinny być robione z ekologicznych produktów, a do wyposażenia łazienek proponowała kosmetyki pani Tekli.

– Dobrze byłoby też otwarcie baru z kawiarnią, gdzie będzie się podawało owocowe i ziołowe wódki pani Gertrudy. Na przykład tę na arcydziegłiu. Zresztą we wsi jest mnóstwo specjalistek od domowych marynat, konfitur i tak dalej. Matka Piotrusia Słobankiewicza hoduje kozy i wyrabia z ich mleka oryginalne sery...

– Rozumiem, do czego zmierzasz – powiedział Witold z podziwem. – Widziałem we Włoszech takie sklepy przy pensjonatach – wino z własnej winnicy, oliwa z oliwek, domowe makarony...

– Właśnie! Już dawno o tym myślałam, ale w miejscowości, do której nie przyjeżdżał pies z kulawą nogą, nie miało to żadnego sensu. A teraz ma – dzięki hotelowi „Pod Graalem i Różą”...

Witold roześmiał się. Jeszcze nie postanowił, jak ma się nazywać jego hotel, ale czuł, że właśnie jakoś tak. Widział to wszystko oczami wyobraźni i ogarnął go entuzjazm.

– Na etykietkach damy Graala – stwierdził, uśmiechając się do Mili pochłaniającej jakieś danie z makaronem.

– I różę – uzupełniła. Doszedł do wniosku, że to był jego najlepszy pomysł w życiu, odczuwał niesamowitą radość na myśl o tym, jak wielka zmiana go czeka. Przypomniał sobie cudowny widok, witający go każdego dnia z tarasu pałacu – mgły nad parkiem i słoneczne błyski w kropkach rosy. Uśmiechnął się do siebie, bo wiedział, że znalazł swoje miejsce w życiu.

Przez całe popołudnie kompletowali potrzebne dokumenty. Miła podpisała całe góry papierów i czuła się zmęczona. Gdy wrócili wreszcie do domu, Witold postanowił jej to wynagrodzić.

– Mam znajomego ze studiów, który prowadzi snobistyczny klub w centrum – powiedział, gdy po zdjęciu butów na obcasach z ulgą wyciągnęła się na sofie w największym pokoju. – Zabawimy się i pośmiejemy z nich – zaproponował bezlitośnie. – Będziesz mogła przyjrzeć się z bliska naszym przyszłym klientomfrustratom.

Miła, aczkolwiek niezbyt chętnie, zgodziła się. Wieczorem, po długim grzebaniu w torbie i kilkuminutowym pobycie w łazience, ukazała się w swoich ukochanych spodniach i fantastycznym czarnym swetrze, jakością wykonania i oryginalnością wzoru żywo przypominającym blezer Witolda.

– O, widzę, że i dla ciebie Alinka była bardzo łaskawa – stwierdził, przyglądając się jej z uznaniem. – Bardzo ładnie wyglądasz...

Miła przejrzała się w lustrze i odrzuciła kasztanowe włosy na plecy. – Myślisz, że mnie wpuszczą? Podobno w takich klubach jest jakiś wykidajło płci żeńskiej na bramce, który ocenia człowieka pod względem przydatności towarzyskiej...

– Bym się nie martwił – wzruszył ramionami Witold. – Na pewno uda nam się – jak to mawiał Hłasko – wyrobić dramatycznie w tym lokalu...

Ta konstatacja okazała się niebywale trafna. W klubie o dźwięcznej nazwie „Dziurka”

jedyne, co można było osiągnąć, to wyrobienie dramatyczne. Lokal był mocno zakonspirowany – nie było żadnego szyldu, tajne hasło podawało się przez domofon. Wszystkie te zabezpieczenia przywodziły na myśl spelunkę w Chicago z czasów prohibicji. Ale widocznie o to chodziło.

W środku, we wnętrzach urządzonych z – delikatnie mówiąc – umiarkowanym gustem, tłoczyły się wygodne fotele klubowe, sofy i kanapy. Za barem, utrzymanym w stylu późnego *art deco*, stała mocno wymalowana blondynka. Knajpa była wypełniona stałymi bywalcami, z których sporą część stanowili znajomi Witolda. Przedstawiając ich Mili, Witold przyjrzał im się krytycznie – znał wielu z nich od lat i obserwował błyskotliwe kariery i upadki. Nowe posady, firmy, samochody i dziewczyny. W gruncie rzeczy było to śmiertelnie nudne.

Mila wzbudziła ogromne zainteresowanie Wandy, jego dawnej koleżanki ze studiów, obecnie szefowej dużej agencji medialnej. Bezceremonialnie zagarnęła ją do swego stolika, przy którym siedziały podobne jej dwie kobiety. Witolda zaczął Marek Wilczyński, chłopak Wandy, który niegdyś – eony temu, w innym życiu – zaproponował mu kupno *Idy*.

– Co to za panna? – zapytał, dopijając ze swej szklanki drinka.

– Moja współniczka – odparł Witold, zapalając papierosa i nadal obserwując Milę, która – zajęta rozmową ze znajomymi Wandy – nie zwracała na niego uwagi.

– Aha, to z nią zakładasz ten hotel – zaskoczył Marek.

– Właściwie już założyłem – odpowiedział z uśmiechem.

Marek skinął na blondynę przy barze. – Dwa razy to samo – rzucił. – Trzeba to uczcić! Bo inaczej interes ci nie pójdzie...

– Mam nadzieję, że pójdzie – stwierdził Witold z pewnym zniecierpliwieniem, dalej obserwując Milę, która najwyraźniej pokazywała nowym koleżankom zrobiony przez Alinę sweter.

– No, ale chyba sami nie będziecie prowadzić tego biznesu? – wyrwał go z zamyślenia głos Marka.

– A co? Chcesz się przyłączyć? – zaczepnie rzucił Witold, bo Wilczyński, nazywany w środowisku „Ryba Piła”, był znany z węszenia świetnych okazji. Rozważając sytuację, Witold uznał jego zainteresowanie sprawą za objaw wielce pozytywny.

– Ja nie. Ale Wanda tak. Chce rzucić pracę u kogoś w cholerę i zacząć coś innego...

Propozycję – bo była nią przecież ta informacja puszczona od niechcienia – zdecydowanie należało rozważyć. Na roku Witolda Wanda należała do najlepszych studentek, mówiono nawet, że weźmie ją po stażu Kancelaria Prezydenta, ale ostatecznie wybrała zachodnią firmę.

– No, no – powiedział ostrożnie Witold. – Trochę mnie zaskoczyłeś...

Marek zapalił papierosa i skinął na blondynę w zamiarze wypicia kolejnej wódki. – Wanda da wam świetne kontakty w branży medialnej... A to może być ładny kawałek chleba... Ty masz kupę forsy... Piękny team... A ta mała? – wskazał ręką na Milę, która ostatecznie zdecydowała się na martini z sokiem i właśnie z obrzydzeniem wyjmowała słomkę ze szklanki.

– Pracowała w Argentynie u siostrzycy Rojas – powiedział Witold, choć przecież nie zamierzał

się dzielić tą informacją.

– Zalewasz – skomentował Marek. – A kiedy? Ostatnio?

– Nie. Jakies pięć – sześć lat temu...

Marek zatoczył koło trzymanym w ręce papierosem. – Pięć lub sześć lat temu to ona musiałaby być jedną z sióstr Rojas... Panna cię nabiera, kolego, choć przykro to mówić, bo wygląda bardzo atrakcyjnie...

– Dlaczego tak myślisz, drogi Watsonie? – zdenerwował się Witold.

– To elementarne, Holmesie – wruszył ramionami Marek. – Wanda interesowała się tą firmą, gdy planowały ekspansję na Europę. Do 1997 pracowały tylko we trzy: Josephine, Carmen i Millagros, nikogo nie zatrudniały i same sobie ze wszystkim radziły. Potem postanowiły rozszerzyć działalność także po naszej stronie oceanu i zaczęły zatrudniać nowych ludzi, ale wtedy firma praktycznie się rozpadła...

– Jak to? – zainteresował się żywo Witold.

– Tam się coś stało. Jakaś tragedia rodzinna. Mąż tej najmłodszej zginął w wypadku z maleńkim dzieckiem, starsza Carmen wdała się w jakiś skandaliczny romans z piłkarzem i obie się wycofały... Firmę na nowo odbudowała Josephine Rojas i ona teraz w praktyce kieruje wszystkim... Twoja współpracownica nie mogła pracować w kancelarii Rojas przed 1997... Jesteś pewien, że to nie było później? – zapytał, widząc zbolaną minę Witolda.

– Niczego nie jestem pewien – wruszył ramionami, znowu patrząc na roześmianą i odprężoną Milę.

Było mu bardzo nieprzyjemnie. Nie widział powodu, dla którego miałyby go oszukiwać na temat swego doświadczenia zawodowego. Czy chciała się przed nim popisać? Dlaczego zmyślała? Tak niewiele o niej wiedział – gdyby nie Tekla i Witalis, nie miałby nawet pojęcia, kim jest z zawodu... Rzeczywiście coś tu było nie w porządku...

– Nie łam się, stary – zbagatelizował sprawę Marek. – Może chciała ci zaimponować... W końcu zamożny prawnik w MSZ-ecie to nie byle co... – poklepał go po ramieniu i podszedł do stolika dziewczyn.

Mila uśmiechnęła się do Witolda znad martini, więc i on, jakkolwiek z ociąganiem, podszedł do ich stolika. Rozmowa toczyła się wokół plotek o sławnych ludziach i nowościach w modzie. Mila prawie się nie odzywała, nie przeszkadzając brylować Wandzie, przypatrywała się tylko niezbyt zachęcającemu wyrazowi twarzy Witolda.

– Może już pójdziemy – powiedział po chwili, dość bezceremonialnie wtrącając się w pauzę, którą dla nabrania oddechu zrobiła Wanda. – Jutro mamy jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. – Mila od razu wstała i pożegnała się z nowymi znajomymi. Marek przyglądał się temu wszystkiemu z uśmiechem, Wanda protestowała. Jedna z jej koleżanek zaczęła namawiać Milę na niezwykle modne w Warszawie „fryzjer party”, które przy udziale znanego stylisty miało odbywać się następnego dnia w jej domu.

W końcu uwolnili się od wszystkich i wyszli.

– Śmieszni ci twoi znajomi – powiedziała Mila, gdy wsiadali do samochodu. – Miałam wrażenie, że zaraz po tej imprezie polecą opisywać wszystko w swoim blogu... Co się stało? – spytała, bo Witold, ledwie przejechał dwie ulice, zatrzymał się na chodniku.

– Musimy pogadać – powiedział twardo. – Rozmawiałem z Markiem, który powiedział mi, że nie mogłaś pracować u sióstr Rojas pięć lat temu, bo one wtedy nikogo nie zatrudniały... Wyszedłem na idiotę, a Marek obniesie nas na jęczorach po całej Warszawie... Dlaczego mnie oszukałaś?

Mila przyjrzała mu się z bardzo bliska. – No, no – powiedziała z uznaniem. – Wyszedł z ciebie dobry czekista... Nie wiedziałam, że mnie sprawdzisz... – Zaczęła grzebać w torebce i wyciągając małą książeczkę, dodała: – Ale dobrze. Mimo że obraziłeś mnie tym podejrzeniem o oszustwo, należy ci się parę słów wyjaśnienia – podała mu dokument.

Witold chciał zaprotestować, bo co mu mogła wyjaśnić czerwona książeczka, ale w końcu wziął. Był to argentyński paszport. Pod zdjęciem, które bez najmniejszej wątpliwości przedstawiało Milę, widniały dane osobowe „Emilia Rojas de Arboleda”, dalej dane o stanie cywilnym (mężatka) i dzieciach (jedna córka Aura Estrella). Popatrzył na Milę, a ona wzruszyła ramionami.

– Jak się już zapewne domyśliłeś, Emilia Rojas zwana Millagros to jestem ja. Dwie siostry i ich bratowa – oto firma Las Hermanas Rojas... Pewnie jesteś ciekawy, co się stało dalej – zimno cedziła słowa. – Dlaczego porzuciłam obiecującą karierę, firmę i wyjechałam z Argentyny, by pędzić nudne życie w wiosce na krańcu cywilizowanego świata... Bardzo proste – mój mąż i córka zginęli w wypadku samochodowym na autostradzie pod Buenos Aires... Ten paszport trzymam tylko na pamiątkę, choć jest jeszcze ważny dwa lata... – Mila zamilkła, jakby się zastanawiała, co ma jeszcze powiedzieć. – Chciałabym ci to wytłumaczyć – zaczęła jeszcze raz. – Ja po prostu nie mogę o tym myśleć, a co dopiero mówić... Aurita miała sześć miesięcy... Czołowe zderzenie z ciężarówką... Byłam wtedy w Vera Cruz na spotkaniu, jechali na lotnisko...

– Daj spokój – powiedział Witold, a wielki obślizgły kamień urósł mu w gardle. – Przepraszam cię tysiącrotnie. Jestem głupim palantem i tylko porucznik Zubek mi dorównuje w kretynizmie...

Mila wzięła od niego paszport i schowała go do torebki.

– Właściwie miałeś rację – powiedziała po chwili milczenia. – Jesteśmy współnikami, a w interesach obowiązuje szczerłość. Jak to było w *Misiu* Barei – dodała z bladym uśmiechem – „Szczerłość w naszym klubie to podstawa”?

Witold także się uśmiechnął i położył rękę na jej dłoni. – Przepraszam za podejrzliwość, a jeszcze bardziej za kretyńskie „oszukałaś mnie”... Zaraz palnę sobie w głowę ze sztucera garłacza, bo najwyraźniej jakieś echa wiktoriańskich romansów zapadły mi głęboko w pamięć...

– Raczej echa telenowel... argentyńskich – uśmiechnęła się Mila, a Witold odetchnął.

Ruszył z chodnika. – Może powinniśmy pójść coś zjeść? – zapytał, przysięgając sobie, że już nigdy nie poruszy południowoamerykańskich tematów.

– Dobrze – zgodziła się Mila. – Słuchaj – powiedziała po chwili. – Mogę ci opowiedzieć o siostrach Rojas, co tylko zechcesz, tylko nie jestem jeszcze gotowa na wspomnienia o tamtej sprawie.

– Zgoda – odetchnął z ulgą. – Nawet o skandalach towarzyskich? – zaczął przebiegle.

Mila znowu się uśmiechnęła. – Chodzi o tego piłkarza River Platę, z którym chodziła Menchu? Zrobiła się afera pod niebiosą, bo miał żonę i gromadkę dzieci... I w dodatku chmurę krewnych uczeponych jego sportowej pensji... Menchita zawsze miała zły gust... Kilka skandali wyciszono, jak na przykład romans ze znanym pisarzem, którego reprezentowała nasza agencja...

– Z którym? – zainteresował się Witold.

– A tego ci nie powiem, bo to tajemnica służbowa, zwłaszcza że po sprawie nie pozostał żaden ślad, poza złamanym sercem Carmen... Powinieneś ją zresztą poznać. .. – dodała po chwili. – Przyjechała za swoim Maradoną do Europy i mieszka teraz w Hamburgu...

– Zaprosimy je na otwarcie hotelu – powiedział, ale Mila nie była przekonana.

– Żebyś nie żałował... One są, delikatnie mówiąc, dosyć specyficzne – Józefina to ogromnie poczciwa osoba, o złotym sercu, ale wyobraża sobie, że jest co najmniej francuską księżną. Zachowuje się jak portret prababki – nie wychodzi z ram. Carmen jest zupełnie inna, strasznie postrzelona...

– Teraz mam jeszcze większą ochotę je poznać – uśmiechnął się.

– Wracajmy – powiedziała Mila. – Jestem zmęczona tym wszystkim, a jutro muszę jechać. Czeka szkoła i zebranie spółdzielni w sprawie sklepu internetowego.

Kiedy następnego dnia pożegnał ją pod domem i chwilę jeszcze patrzył, jak klekoczący i skrzypiący wszystkimi uszczelkami, amortyzatorami i czym tylko możliwe maluch oddala się powoli w kierunku głównej ulicy, pomyślał, że powinien jej w prezencie kupić nowy samochód. Wiedział jednak z góry, co by na to powiedziała – rozlatujący się fiacik był jej miłością i pewnie prędzej doczepiłaby go sobie do nowego samochodu na sznurku, niż rozstała się z nim.

Tak tęsknił za Idą i jej mieszkańcami, że chciał wracać natychmiast, ale sprawy niecierpiące zwłoki wciąż zatrzymywały go w Warszawie. Promocją hotelu w mediach i internecie miała się zająć świeżo powołana firma Wandy. Byli jej pierwszymi klientami, Witold liczył więc na specjalne traktowanie. Nie zawiódł się. Po dwóch dniach od podpisania umowy zadzwoniła Mila, że w Idzie zjawił się dziennikarz z czasopisma „Domy i Ogrody”, który zrobił z nią wywiad i obfotografował każdy kąt.

– Opowiedziałam mu o Graalach – mówiła rozentuzjasmowana. – Pokazałam kielich i labirynt, przegoniłam go nawet po parku. Był złachany jak pies, ale szczęśliwy.

– Dzielną dziewczynka – pochwalił ją Witold, któremu strasznie cknęło się za wschodami i zachodami słońca w wiosce na końcu świata, a kiedy przyszło mu oglądać mecz w samotności, po prostu wył do księżycy.

– Kiedy wracasz? – zapytała, dodając oczywiście, że interesuje ją to wyłącznie ze względów zawodowych. Swoje przybycie zaanonsowała gazeta „Modne Wnętrze”, a Wanda negocjowała już sesję zdjęciową pewnej popularnej aktorki, która lubiła się fotografować w stylowych komnatach.

– Jak najszybciej, boję się, że pan Kowal sobie nie poradzi – powiedział Witold zdecydowanym głosem. – Odbieram od niego dziwaczne meldunki na telefon komórkowy w stylu „Idzie”, „Opóźnienie”, „Ruszyło”...

– Bez strachu – uspokoiła go Mila. – Radzi sobie świetnie. On ma naturalny talent. Wczoraj meble przyjechały, dekoratorka je ustawiła.

– Sama? – zdumiał się Witold.

– Z pomocą Wojtka i Alberta. Tak się zmachali, że musiałam ich reanimować. Puściliśmy sobie „Gwiazdne wojny” w sali kinowej, chyba nie masz żalu?... Albert naśladował odgłosy wydawane przez Dartha Vadera, było bardzo śmiesznie...

– Jak ja żałuję, że mnie tam nie ma – westchnął Witold.

– To przyjeżdżaj – powiedziała.

– Nie mogę – to powtarzało się jak mantra.

Wanda umówiła go w jakimś radiu w programie o hobbystach odnawiających stare zamki i pałace, potem zainteresował się nim magazyn historyczny. Wanda uważała, że trzeba wykorzystywać każdą okazję do budowy portfolio hotelu. Te wszystkie wywiady i okładki wyglądały imponująco na stronie internetowej. Miał już pełno rezerwacji na święta, sylwestra i zimę.

Tylko otwarcie chciał zrobić skromne. Choć działał tu wbrew wszelkim regułom sztuki, tym wydarzeniem postanowił podzielić się wyłącznie z przyjaciółmi.

Kiedy opędził wreszcie najpilniejsze sprawy, z ulgą wsiadł do samochodu. Po południu był już w Idzie. Nie zwracając uwagi na panią Gertrudę, która od razu chciała podać obiad, i jej męża, pragnącego podzielić się refleksjami na temat remontu, wrzucił swoje rzeczy na ganek i popędził do Mili.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała z radością, a Witold miał ochotę ją uściskać. Nie zrobił jednak tego, bo nie wiedział, jak by to odebrała.

Nic się tu nie zmieniło – dom dalej był szeregiem dziwnych przybudówek, a Mila, ubrana w ciemnozieloną sukienkę z jedwabiu, wyglądała ślicznie ze swoimi rozczochranymi włosami. Witold poczuł się szczęśliwy.

Zrobiła herbatę i zaprosiła go do sporego saloniku, w którym nigdy nie był (pokój znajdował się w łączniku pomiędzy stodołą a budynkiem z pustaka, czyli – jak wywnioskował po namyśle Witold – niewielkiej dobudówce z cegły). Pokój miał dziwny, dosyć nieforemny kształt, a okna wychodziły na ogród. Prawie w całości wypełniały go książki i, jak zauważył, były to przeważnie książki dla dzieci. Stare ilustrowane wydania. Na półce pośród kolorowych tomów zobaczył duże zdjęcie oprawione w cienkie srebrne ramki. Przedstawiało uśmiechniętego mężczyznę o

łagodnych oczach. Mógł mieć około czterdziestu lat, ubrany był w rozpięty płaszcz, spod którego wyglądał rozwiany szalik.

– Kto to jest? – zapytał Witold, biorąc zdjęcie do ręki. Jego uwagę przykuło tło – jakaś manifestacja lub zgromadzenie. Wokół mężczyzny było mnóstwo ludzi, z którymi najwyraźniej rozmawiał.

Mila nawet nie spojrzała na zdjęcie. – To Pablo Diaz. – Powiedziała to takim tonem, jakby mówiła „Adam Mickiewicz” albo „Napoleon”. Witold popatrzył na nią wyczekująco. Zabrała mu zdjęcie i ponownie ustawiła je na półce. – Nie słyszałeś nigdy o *La noche de los lapices**?[Artykuł Artura Domosławskiego o tzw. nocy ołówków ukazał się w nr. 296 „Gazety Wyborczej” z 20 grudnia 2003 r. , a później w książce tego autora: *Gorączka latynoamerykańska*, Świat Książki 2004.]

Mimo niewinnej treści słowa te zabrzmiały w jej ustach dość nieprzyjemnie. Witold zrobił nieokreślony ruch ręką, który miał oznaczać, że nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

Mila kiwnęła głową. – Tak myślałam, choć to niezbyt zamierzchła historia... Zaledwie dwadzieścia osiem lat... *La noche de los lapices* znaczy „noc ołówków” i była to akcja faszystowskiej junty, która rządziła Argentyną do 1983, przeciwko uczniom szkół średnich.

– Żartujesz? – nie rozumiał Witold. – Junta organizowała akcje przeciwko uczniom? Dlaczego?

– Było wiele powodów. Jednym z nich były bilety tramwajowe...

– Bilety? – nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Tak – wyjaśniła Mila, przyglądając się zdjęciu Diaza.

– Uczniowie rzucili takie hasło: „Bilety za peso”, chodziło o obniżenie cen. 16 września 1976 roku 233 osoby zostały aresztowane... Po czterech latach z więzienia wyszła tylko jedna – Pablo Diaz.

– Co się stało z resztą? – zapytał Witold, choć doskonale zdawał sobie sprawę, jaki był ich los.

Mila potarła czoło. – Wszyscy zostali zabici. Ocalał tylko on – pokazała ręką na zdjęcie Diaza – choć ledwo przeżył tortury. Reszta ofiar jest nadal „zaginiona”. Dzięki zeznaniom Diaza w 1985 osądzono niektórych sprawców i choć większość z nich wyszła na wolność, świat się dowiedział o tej zbrodni. Prezydent Menem ułaskawił zbrodniarzy, ale Diaz i inni doprowadzili do powtórnych procesów już za demokracji i prezydenta Kirchnera... Odbyły się w ubiegłym roku... Większość morderców objęła amnestia lub zostali skazani na areszt domowy z powodu wieku. W latach junty w Argentynie „zaginęło” około 30 tysięcy ludzi... – powiedziała Mila cicho. – Jednym z uczniów „zaginionych” podczas „nocy ołówków” był przyrodni brat mojego męża Aimara, Jorge. Aimar uwielbiał Diaza, napisał książkę o „nocy ołówków” i o nim... Gdy ją przeczytałam, nie mogłam spać w nocy...

Witold milczał, patrząc na zatopioną w myślach Milę.

– Wydaje mi się czasami, że to dobrze, że Aimar nie dożył powtórnych procesów, bo wyroki były kpina, a on wierzył w sprawiedliwość. Diaz rzucił się w sądzie na generała Masona, jednego

z pomysłodawców „nocy ołówków”, i został pobity do nieprzytomności przez jego ochroniarzy...

– Rozumiem teraz, dlaczego masz to zdjęcie – powiedział.

– Chyba nie rozumiesz... Kiedy Aimar zginął w wypadku z małą, myślałam, że umrę z rozpaczy – powiedziała, patrząc na niego tak, jakby widziała coś poza nim. – Ten ból był tak wielki, że po prostu nie umiałam z nim żyć. Ciągłe płakałam i nie potrafiłam przestać, myślałam, że ta rozpacz nigdy się nie skończy... I wtedy pewnej nocy, kiedy siedziałam w ciemnościach w pokoju, światło ulicznej latarni odbite w szybie padło na zdjęcie Diaza stojące na półce. Na to zdjęcie... – Mila wskazała na fotografię uśmiechniętego mężczyzny.

– Popatrzyłam na nie i przypomniałam sobie, co opowiadał Diaz. Kiedy wyszedł z więzienia, nie mógł uwierzyć w to, że żyje. Nie rozumiał, dlaczego go wypuszczono. Wszyscy jego przyjaciele zginęli, w tym jego dziewczyna. Chciał popełnić samobójstwo i wtedy na ulicy podszedł do niego jakiś człowiek i zapytał o syna. Diaz znał go, bo siedział z nim razem w obozie, który według oficjalnych danych wcale nie istniał. Wtedy zrozumiał, że musi żyć, bo ma to swoją wartość...

– Ty też to zrozumiałeś? – zapytał Witold, choć wiedział, jak głupie jest to pytanie.

Mila skinęła głową.

– Tak. Na stole leżała książka Aimara o Diazie, musiałam doprowadzić do jej wydania. Zrobiłam to. Książka zdobyła ogromną popularność, była nawet tłumaczona. Dostałam za nią pieniądze... Bardzo dużo. Ale nie potrafiłam ich wydawać na swoje potrzeby... Nie mogłam... Postanowiłam założyć fundację badającą sprawy „zaginięć” i dokumentującą tamte lata. Uzgodniłam z Pepitą i Menchu, że prawa autorskie do książki przeżycemy na rzecz fundacji, zgodziły się.

Oddałam też organizacji nasz dom w Buenos Aires... Zabrałam tylko to zdjęcie.

Długo milczeli, Witold nie potrafił znaleźć słów pocieszenia, a Mila zamyśliła się głęboko, podpierając głowę rękami. Myślał o tragedii, jaką przeżyła, o niesprawiedliwości losu, która ją spotkała. Argentyna, odległy kraj pięknych krajobrazów i smutnych historii, zapach czerwonej ziemi i cierpki smak yerba *mate*, dalekie dźwięki tanga...

– Umiesz tańczyć tango? – zapytał niespodziewanie, a wyrwana z zamyślenia Mila popatrzyła na niego z wielkim zaskoczeniem. – Oczywiście! W końcu mieszkałam w Argentynie pięć lat!

– Wiesz, ja nigdy dobrze nie opanowałem kroków – brnął desperacko, nie zważając na jej zdziwienie. – Niby wiem, jak one idą, ale mam straszne kłopoty i ciągle wypadam z rytmu...

– Bo za dużo o tym myślisz – stwierdziła Mila. – Tango nie jest tańcem umysłu, tylko ciała. Znajomość podstawowych kroków powinna ci wystarczyć. Musisz po prostu poddać się rytmowi – wzruszyła ramionami, patrząc na niego ze zdziwieniem, gdyż nie rozumiała, do czego on zmierza.

– Pokaż mi – poprosił.

– Teraz? – pokręciła głową z niedowierzaniem. – Koniecznie teraz?

– Tak. Na pewno masz mnóstwo płyt z muzyką argentyńską, a ja chcę to zrozumieć...

– Co? Tango?

– Nie tylko. Wszystko chcę zrozumieć. I Diaza, i Aimara, i ciebie. A do tego muszę się nauczyć tanga...

Mila kucnęła przy szafie w rogu pokoju i wyciągnęła spod niej stary adapter na płyty analogowe. W wielkim pudle w szafie miała z kolei mnóstwo winylowych krążków, które zaczęła uważnie przerzucać.

– O! – powiedziała po chwili. – To jest dobry wybór. Melodia z okresu junty. Ma piękny tytuł *Luz de mi alma* – światło mej duszy. Grali to często w barze koło naszego domu, wieczorami muzykę było słychać nawet w oddalonych od ulicy pokojach. – Płyta zaczęła się obracać, a Mila podeszła do Witolda i położyła mu lekko rękę na ramieniu.

– No dobrze! Kroki znasz, a to podstawa sukcesu, tylko nie myśl o tym. – Ujął jej dłoń i postanowił nie przejmować się tym, że na pewno nadepnie jej na palce. Tak się jednak nie stało. Mila, która tańczyła po prostu doskonale, jakimś szóstym zmysłem unikała jego podstawionych nóg. Miała przymknięte oczy i śpiewała razem z latynoskim wykonawcą z płyty.

– Świetna jesteś – powiedział z podziwem. – Powinnaś startować w konkursach tańca.

Mila otworzyła oczy i popatrzyła na niego z uśmiechem.

– Wydaje ci się. Kiedyś nie umiałam wcale tańczyć, wstydziłam się, że ktoś może zauważyć, jak gubię kroki, liczyłam w tańcu...

– To tak jak ja teraz – westchnął ciężko.

– Cywilizacja – powiedziała Mila. – Jesteś ciągle człowiekiem miejskiej dżungli. Myślisz, że w każdej sytuacji ktoś cię ocenia. Stres cię zabija, przyjacielu. Trzeba być ponad to.

– Postaram się być ponad to, jeśli drugi raz puścisz tę płytę.

– Chwali ci się odwaga. – Mila przesunęła igłę na początek płyty i ponownie rozległ się zdarty głos jakiegoś *el Mañachi*. Tym razem szło mu dużo lepiej, zaczął nawet przewidywać jej kroki i przestał mieć denerwujące poczucie bezsensownego dreptania w miejscu. Chciał jej to właśnie powiedzieć, gdy drzwi do salonu otworzyły się z trzaskiem i stanęli w nich Albert z Wojtkiem. Prawdopodobnie pukali już od dłuższej chwili do drzwi wejściowych i zdenerwowani brakiem jakiegokolwiek reakcji postanowili wziąć sprawę we własne ręce. Zdenerwowany Galileo kręcił się niespokojnie przy nogach Wojtka. Obaj z Albertem zastygli na progu jak dwie żony Lota.

– Co wy tutaj wyczyniacie? – spytał Lipski, gdy już odzyskał głos. – Jakiś dansing dla samotnych? A od dwudziestu minut trwa mecz, w którym gra Wisła, transmitują z Krakowa, i jeszcze mi ucieknie jakaś ciekawa walka na trybunach!

– Daj spokój, może my lepiej ich zostawmy – mitygował Wojtek. Ale Albert wpadł już w trans i niczym nie dawało się powstrzymać oceanu wymówek. – Mecz leci, a ty, Mila, szkółkę tańców brazylijskich otwierasz! Wieczorem! Mało tego, pewnie jeszcze zaczniesz tu *capoeirę* ćwiczyć! A ty, Witold, to masz dwie lewe nogi. Zginasz kolana jak Adam Małysz w dojeździe do

progu! – Tu Albert uznał za stosowne zademonstrować Witoldowi popełniane błędy. Ten wyraźnie zdetonowany puścił rękę Mili i zatrzymał się na środku pokoju. Pani sołtys natomiast uznała pantomimę Lipskiego za zupełnie zbędną...

– No, to pokaż, co ty potrafisz – powiedziała zdecydowanie i popchnąwszy igłę palcem, stanęła naprzeciwko niego.

Albert, który zbyt późno zrozumiał swój błąd, nie miał wyjścia i musiał stanąć do nierównej walki. Teraz Wojtek i Witold pokładali się ze śmiechu, obserwując jego małpie skoki. Mila – jak zauważył z zadowoleniem Witold – zaprezentowała Lipskiemu program rozszerzony. Biedny chłopak dwoił się i troił, by nadążyć za jej krokiem i w odpowiednich miejscach robić zwroty. W końcu stało się to, na co wszyscy czekali – Albert poddał się z cichym kwileniem i błagał o litość. Mila triumfująco odgarnęła z oczu kosmyk włosów.

– Co powiesz, Wojtek? Który z nich tańczy lepiej? – zapytała matematyka, który wiał się pod lodowatym spojrzeniem Lipskiego.

– No... Obaj mają grację fortepianu... To znaczy Witold fortepianu... A Albert szafy gdańskiej czterodrzwiowej z nadstawką, lustrem i pasem do ostrzenia brzytwy... – Wydawało się, że biedny Wojtek nie uniknie śmierci, ale ocaliła go Mila, błyskawicznie wskakując pomiędzy niego i Alberta.

– Dosyć już! Podobno mecz trwa!

– A właśnie – przypomniał sobie Lipski, wygrażając zza jej pleców Wojtkowi. – Bym zapomniał, przecież w tym celu tu przyszliśmy. Pani Gertruda doniosła, że „minister jest we wsi”, więc mieliśmy nadzieję, że i nam udzieli audiencji...

– Smutno nam samym oglądać – wyjaśnił pocziwie Wojtek. – Albert nie ma się z kim kłócić, a jak zagrali hymn Ligi Mistrzów i Mila nie odśpiewała go razem z telewizyjnym chórkami, to prawie się popłakał.

– Wcale nie – zgromił go polonista. – A za tę szafę gdańską to jeszcze się policzymy! Stylista się znalazł, myślałby kto! Bierzcie kurteczki i idziemy do nas.

– Albert się na ciebie wścieka – wyjaśnił Witoldowi Wojtek, gdy znaleźli się na drodze. – Bo napuściłeś na niego Czarowne Czarownice.

– I co mu zrobiły? – spytał z rozbawieniem prawnik.

– Na razie nic, tak mi się przynajmniej wydaje, ale on uważa inaczej. Obiecały rzucić na niego klątwę, jeżeli nie dostaną dobrej oceny z klasówki...

– I nie dostały?

– Jakbyś zgadł – ucieszył się nie wiedzieć z czego matematyk. – Albert uważa, że rzuciły na niego klątwę *Asparagusa*...

– *Asparagusa*? – zdziwił się Mossakowski, zapalając w końcu papierosa. – Pierwsze słyszę o takiej... Ale może Alinka rozszerzyła swój repertuar... W końcu *Asparagus* to był jeden z *Kotów* Eliota...

– *Cruciatusal* – ryknął na to Albert. – Chodzi o najstraszniejszą w całym *Harrym Potterze*

klątwę *Cruciatusa*.

– E tam! – mruknęła Mila, kopiając kamień do rowu. – Najstraszniejsza była *Avada Kedavra*. Po niej się umierało. A tak – trochę ci się nogi potrzęsą i po krzyku. Choć oczywiście w tańcu to przeszkadza, ale ty i bez *Cruciatusa* tańczysz marnie. Poproś Alinę, żeby rzuciła na ciebie czar pląsających nóżek...

– Boże! Kto pilnuje piekła, kiedy ona tu jest? – jęknął zgnębiony Lipski.

– Jak dzieci – podsumował Wojtek. – U nich to chyba jakaś choroba...

– Pewnie *Asparagus*, ciekawe, czy to zakaźne... – mruknął Witold, wspinając się po schodach. Z mieszkania nauczycieli dobiegał donośny głos komentatora.

Po meczu wymówił się złym samopoczuciem i wrócił do domu. Ciągłe wspominał rozmowę z Milą. Współczuł jej. Wiedział dobrze, jak to jest stracić rodzinę – jego rodzice umarli, gdy był jeszcze w liceum. Teraz rozumiał doskonale, dlaczego przyjechała tutaj i zajęła się Spółdzielnią Wiejską Ida.

Ponieważ nie mógł spać, zajął się czytaniem jednej ze swoich pirackich opowieści, co zawsze dobrze robiło mu na nerwy. Było już po północy, gdy w szybie zobaczył dziwny odbłask. Minęło kilka długich chwil, zanim się zorientował, że gdzieś we wsi się pali. Wskoczył z łóżka i pognął do okna.

Nie ulegało wątpliwości – luna nad Idą znaczyła tylko jedno: wybuchł pożar. Witold doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co ogień może oznaczać w tak maleńkiej i stłoczonej miejscowości. Gdy jednak stał przy oknie, sparaliżowany pierwszym szokiem, w głowie tłukła mu się tylko jedna myśl – obawa o Milę.

Na próżno próbował odnaleźć jej dom w znajomym krajobrazie z okna. Wszystko, co leżało poniżej parku, zasnuwała mgła i dym rozświetlony poblaskiem płomieni. Jak szalony wybiegł z domu. Trasę do wsi pokonał w rekordowym tempie. W Idzie nikt nie spał tej nocy, słychać było gwar wielu głosów, bieganinę, krzyki. On jednak o to nie dbał. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy znalazł się przed domem Mili – koszmarna wieżyczka i cała reszta były na miejscu, przynajmniej na razie, bo dym niepokojąco zbliżał się do budynku.

Mili w domu nie było. Zostawiła otwarte drzwi i najwyraźniej wybiegła w pośpiechu. Witold także skierował się w stronę ognia. Płonął niewielki domek, kilkadziesiąt metrów dalej, niebezpiecznie blisko szkoły. Witold zauważył jasne włosy Alberta, który krzyczał do Wojtka kierującego strumieniem wody z podręcznej motopompy.

W chwilę później zobaczył Milę. Miała na sobie sweter narzucony na błękitną piżamę i absurdalne wieczorowe czółenka. Odgarniała włosy z czoła czarną od sadzy ręką, pozostawiając na twarzy żałosne ciemne smugi. Ona także krzyczała do Wojtka, wymachując ręką w prawo. Witold zrozumiał tę gestykulację – w motopompie zaczynało brakować wody, a trzeba było polewać ścianę szkoły. Mila myślała o uzupełnieniu wody z rzeki. Ale do rzeki było przecież

daleko... „Staw w parku!” – olśniło go i rzucił się w ich kierunku.

– Staw w parku! – wrzasnął do Mili, przekrzykując panujący tu zgiełk. Ona tylko skinęła głową i po chwili była już przy nim.

– Mamy drugą cysternę za szkołą! – powiedziała, po raz kolejny odgarniając włosy zasmoloną ręką.

– Tylko nie wiem, jak ją przetransportować do ciebie. Może traktorem pana Słobankiewicza?

Witold pokręcił przecząco głową. – Podczepimy ją do mojego samochodu. Chodź! – Pobiegli przez zamglony park jak duchy.

– Wiesz, czyj dom się pali? – zapytała Milla, gdy samochód z rykiem popędził przez zarośla.

– Wiem tylko, że nie twój – odpowiedział, skupiając się na wyteżaniu wzroku w ciemnościach.

– To dom Kowalów... – Witold nic nie odpowiedział, tylko zaklął cicho pod nosem. A więc palił się dom jego gospodyni... Nie wiedział, jak pani Gertruda to przeżyje... Mimo ciemności i fatalnej drogi przez park przyśpieszył. Gdy tylko samochód zatrzymał się na podwórku Kowalów, Witold wyskoczył, rzucając Mili kluczyki.

– Ty pojedziesz z cysterną! Zaczekaj, aż ci ją podczepimy!

Milla bez słowa przesiadła się na miejsce kierowcy. Zaciśnęła dłonie na kierownicy i z niepokojem oglądała się za siebie. Na podwórku tymczasem prawie nic się nie zmieniło. Płomienie szalały i trudno było już marzyć o ich ujarzmieniu. Było potwornie gorąco, a czerwono-pomarańczowy blask sprawiał wręcz upiorne wrażenie.

Witold złapał Alberta i razem z panem Słobankiewiczem i kilkoma innymi osobami pobiegli za szkołę. Tam w niewielkiej wiacie stała druga, pusta cysterna, którą Milla kazała kupić „na wszelki wypadek”. Przezorność ta okazała się jak najbardziej uzasadniona. Cysterna nie była ciężka, we czterech dość łatwo dotoczyli ją na podwórze i podczepili do samochodu Witolda. Milla ruszyła z miejsca, a Albert wsiadł do samochodu praktycznie w biegu. Witold odprowadził ich wzrokiem – Milla pędziła rowem, który wyznaczał granicę parku. Skręciła bezbłędnie i lawirując wokół przewróconych pni i ogromnych kamieni, jechała w stronę stawu. Pora była najwyższa, bo Wojtek wylewał już resztki wody. Pozostali mieszkańcy także nie próżnowali – czerpano wodę ze studni i podawano ją sobie wiadrami. Pan Kowal wyskoczył na cysternę, żeby zmienić Wojtkę, który niespodziewanie pojawił się koło Witolda.

– Nie damy rady – powiedział, ocierając pot z czoła. – Dom jest stracony... Żeby tylko udało nam się ocalić szkołę...

– Nie łam się. – Witold poklepał go po plecach. – Milla z Albertem pompują wodę do drugiej cysterny, zaraz tu będą...

– Akurat – jęknął Wojtek. – Do rzeki jest dobre pięć kilometrów. Zanim tam dojadą i wrócą, to będzie po balu, panno Lulu!

– Pojechali do stawu w parku – wyjaśnił Witold. – Będą tu za chwilę...

Matematyk popatrzył na niego z uznaniem.

– No... Że nikt jakoś nie wpadł na ten pomysł... Rzeczywiście ten staw jest bezcenny...

Witold przyłączył się do grupy polewającej wodą z wiader ścianę budynku szkoły. Woda w pierwszej cysternie się skończyła, ale Mila z Albertem nadjechali w samą porę.

– Witek! – wrzasnął Albert, wyskakując z samochodu, podczas gdy Mila nawet nie zgasła silnika w oczekiwaniu na podpięcie cysterny. – Jedź z nią! Ja muszę tutaj pomóc!

Witold bez słowa oddał swoje wiadro stojącej najbliżej osobie i pobiegł do samochodu. Minał jeszcze zapłakaną panią Gertrudę, która przytulała do siebie przerażonego Mireczka. Na ich widok przystanął i chciał coś powiedzieć, jakoś pocieszyć, choćby wykonać najdrobniejszy gest, ale Mila nacisnęła wściekle klakson.

Ruszyli z kopyta i popędzili przez mrok. Jeździła jak wariatka, co było dziwne, zważywszy że sama miała tylko malucha. Zatrzymali się przy stawie z piskiem opon i cysterny, która przez całą drogę klekotała z tyłu złowieszczo.

– W powrotną drogę nie możemy tak pędzić – usprawiedliwiła się Mila. – Bo woda... – dodała jeszcze, widząc jego nieprzytomne spojrzenie. Wyskoczyła z samochodu i szybko podłączyła pompę. Gdy cysterna powoli wypełniała się brudną wodą, oni w skupieniu patrzyli na ogień.

– Chyba się nie przeniesie? Jak myślisz? – spytała Mila, uprzedzając jego pytanie.

– Mam nadzieję. Co robi Albert?

– Poleciał z dziećmi wynosić komputery ze szkoły... Na wszelki wypadek... Jeśli ogień się przetrzuci, stracimy wszystkie książki – powiedziała, wpatrując się w czerwono-żółty blask do bólu w oczach.

– Kurczę blade! Nie można do tego dopuścić... – Miejmy nadzieję, że się nie przeniesie... – Pompa przerwała pracę, oboje jak na komendę rzucili się więc do jej odłączania i wskoczyli do samochodu.

Gdy Witold zastanawiał się nad tym później, nie pamiętał, ile kursów zrobili tej nocy. Przyjechała straż pożarna z Brzózek, a oni ciągle gnali z pustymi cysternami do parku. Wstawał już świt, kiedy wreszcie usiedli na progu szkoły. Z domu Kowalów pozostały smutne, zwęglone zgliszczą, ale żaden inny budynek nie ucierpiał. Albert razem z Wojtkiem i dziećmi wnosili z powrotem komputery i cały cenniejszy sprzęt, który wylądował w ogródku Mili. Ona sama wyglądała na śmiertelnie zmęczoną. Siedziała z opuszczoną głową, brudnymi rękami obejmowała kolana. Ani ona, ani Witold nie mieli siły, żeby się odzywać. Mossakowski był szczęśliwy, że nie spłonęła cała wieś. Patrząc po zmordowanych, czarnych od sadzy ludziach, zauważył panią Teklę. Pomagała opatrywać oparzenia, podawała wodę. Kiedy tylko ich zobaczyła, natychmiast podeszła.

– No, no – powiedziała, ściskając Witoldowi rękę. – Chyba właśnie dzięki wam Ida ocalała...

– Raczej dzięki strażakom z Brzózek – sprostował Witold.

Pani Tyczyńska pokręciła przecząco głową. – Nie. Gdyby nie wy, ogień pewnie przeniósłby się na sąsiednie budynki, straż z Brzózek, choć robiła, co mogła, przyjechała dość późno... To był

genialny pomysł z tym stawem...

– Żaby raczej nie podzielają pani zdania. – Witold uśmiechnął się blado. – Oraz nieliczne ryby, zmuszone od dzisiaj zadowalać się kilkoma centymetrami wilgoci...

Starsza pani machnęła ręką z uśmiechem. – Przyjdzie dobry deszcz, to i woda powróci... Że też ten głupi staw wreszcie się na coś przydał! Mój ojciec wybudował go, bo chciał urządzać przejażdżki łódką, jakie pamiętał z Oxfordu, ale mama się bała... Potem tylko był wiecznie zamulonym siedliskiem komarów...

Mila podniosła głowę i zmęczonym głosem powiedziała do pani Tekli: – Nie widziałas przypadkiem Witalisa albo Iwany?

Zapytana machnęła ręką w stronę pogorzelniska. – Witalis cały czas pociesza panią Gertrudę, a Iwana pomaga Albertowi w szkole... A po co ci oni?

– Trzeba jakoś pomóc Kowalom... Cały czas się zastanawiam, gdzie ich umieścić... Przecież zostali bez niczego... Myślę, że na razie mogą zamieszkać u mnie, a potem trzeba będzie podjąć jakąś decyzję...

– Witold przerwał jej w pół słowa. – Daj spokój! To chyba oczywiste, że zamieszkają u mnie! Przecież oboje u mnie pracują!

Mila spojrzała na niego z uwagą, a pani Tekla potwierdziła ruchem głowy. – Moim zdaniem powinni zamieszkać u Witolda. Ma w końcu tyle niepotrzebnych pokoi, prawda?

– Jak najbardziej! – dziarsko oznajmił prawnik.

– No dobrze – powiedziała przekonana do tego pomysłu Mila. – Tylko jak im to powiedzieć, żeby ich nie obrazić? – Popatrzyła z wyczekiwaniem na starszą panią. Ta wzruszyła ramionami.

– Myślę, że trzeba to zrobić po prostu, bez wstępów i owijania w bawełnę... I najlepiej idźcie od razu i razem...

Bez ociągania zebrali się z progu szkoły. Wstając, Witold poczuł, jak strasznie jest zmęczony. Ledwie powłóczył nogami, ale był dumny z tego, co zrobili.

Państwa Kowalów znaleźli niedaleko podwórka w towarzystwie popa, jego żony i Wojtka. Pani Gertruda nadal szlochała, podobnie jak Mireczek. Tylko pan Kowal był całkowicie spokojny, choć palił papierosa (Witold wiedział, że mąż gospodyni pali tylko w wyjątkowych wypadkach). Na widok Witolda i Mili podszedł do nich i uściskał im ręce.

– Panie mecenasie, porządny z pana człowiek! Dziękuję za wszystko! – powiedział, choć Witold starał się zrobić wszystko, by mu nie dziękowano. Pani Gertruda ze szlochaniem także ścisnęła jego rękę.

– Drodzy państwo – zaczęła Mila wśród tej powszechnej stypy. – Ponieważ wydarzyło się takie nieszczęście i nie mają państwo gdzie mieszkać, Witold zaproponował, żeby przenieśli się państwo do pałacu... Myślę, że rada wsi w krótkim czasie podejmie decyzję, co dalej z domem... Nie wiem, może go odbudujemy w czynie społecznym, albo jakoś inaczej się to załatwi, a na razie proszę skorzystać z gościny...

Mossakowski dołączył się do prośby pani sołtys. Oboje Kowalowie chwilę patrzyli na siebie

z zaskoczeniem, a potem pani Gertruda zapytała: – A... Nie będziemy panu przeszkadzać?

Witold przecząco pokręcił głową. – Przecież państwo tam pracujecie... Jesteście właściwie jak moi domownicy. .. Na parterze koło kuchni są dwa świeżo wykończone pokoje... Proszę nie dać się prosić i zamieszkać tam...

– W pokoju z werandą? – zgorzyla się pani Gertruda. – To przecież najlepszy pokój w całym domu...

– To akurat kwestia gustu – stwierdził Witold z uśmiechem. – Ale tym lepiej, że się pani podoba...

Pani Kowalowa jeszcze chwilę była niezdecydowana i popatrywała to na swego męża, to na Witolda. Mireczek jednak był najwyraźniej uszczęśliwiony tą propozycją. Od razu przestał płakać i zachwyconym spojrzeniem wpatrywał się w widoczną z daleka wieżę pałacu.

– No, nie wiem... – powiedział po dłuższym zastanowieniu mąż gospodyni. – Że też tak to się musiało skończyć... Ale nie ma co lamentować... Dom się odbuduje, moja w tym głowa, i niech się pani o to nie kłopotuje, pani Milu... A na razie gdzieś trzeba mieszkać, a skoro pan mecenas taki miły, to chyba należy się podziękować i przyjąć?

Witold skinął głową.

Mamy trochę rzeczy – chlipnęła gospodyni, pokazując kilka niezgrabnych thimoczków. – Jak się pokazał ogień, to wyniosłam nieco ubrań, naczyń... Możemy to zabrać?

– Oczywiście. – Witold otworzył bagażnik w swoim samochodzie. – Zaraz wszystko spakujemy, proszę się nie martwić...

– No i jest jeszcze krowa – przypomniał pan Kowal.

– Zupełnie nie wiem, co z nią zrobimy...

– Krowa może zostać u mnie – powiedziała Mila, która dotąd była jedynie milczącym obserwatorem tej sceny.

– Akurat! – usłyszeli niespodziewanie głos Iwany.

– Ty masz może nieczynną obórkę, ale na krowach się zupełnie nie znasz... Krasula zostanie u mnie, ja się nią dobrze zajmę...

Pani Gertruda podziękowała żonie popa wzrokiem. Bez ociągania wszyscy zapakowali się do samochodu Witolda. W ponurym milczeniu dotarli do pałacu, tylko Mireczek był uszczęśliwiony tą wymarzoną a niespodziewaną przejażdżką. Państwo Kowalowie rozlokowali się w pokojach na dole, a Witold, pożegnawszy się z nimi, wrócił do siebie. W pierwszej chwili myślał nawet o zrobieniu sobie kąpieli, ale w drugiej – zrezygnował. Zdjął tylko buty i w ubraniu rzucił się na łóżko.

27 sierpnia był dniem wielkich wydarzeń: Wielkiej Opozycji Marsa, urodzin Witolda i uroczystej inauguracji hotelu „Pod Graalem i Różą”. Taka zbieżność dat musiała być brzemienna w skutki i przynieść wielkie zmiany.

Właściciel nie mógł spać od świtu, obudziły go pierwsze promienie słońca i śpiew ptaków.

Ubrał się szybko i wyszedł przed dom. Prawie wszystko było już gotowe – przez kilka ostatnich dni robotnicy kończyli robić poprawki przy zdobieniach ścian, a dekoratorka dobierała ostatnie drobiazgi. Pomysł Mili polegał na tym, żeby odtworzyć historyczny wygląd pałacu, na tyle oczywiście, na ile było to możliwe. Oboje zamęczali panią Teklę nieustannymi wizytami, aż ta w końcu zaczęła wymykać się z domku myśliwskiego tylnymi drzwiami do lasu, ostrzegana przez Alinkę, która stała na czatach w ogrodzie ziołowym.

Dziedziczka powiedziała im, że, wzorem podobnych domów, w pałacu urządzono każdy pokój w innym stylu: był gabinet błękitny, salon mauretański, buduar różany, pokój chiński... Witold zaopatrzył się w pomoce naukowe w postaci katalogów salonów mebli stylowych i w ciągu kilku pracowitych nocy opracował układ całości. Efekt wyteżonej pracy kierownictwa, wynajętej ekipy i dekoratorki przeszedł najśmielsze oczekiwania. Nawet pani Tekla była szczerze zdumiona, bo jak – przyciśnięta do muru – wyznała, pierwotny wystrój wnętrza, który zapamiętała z dzieciństwa, wydawał jej się dosyć kiczowaty. To, co stworzył Witold przy pomocy dekoratorki, nie miało nic wspólnego z kiczem – była to elegancja na najwyższym poziomie.

– Pięknie – powiedziała z uznaniem pani Tyczyńska, gdy oprowadził ją po części domu, która miała teraz stać się hotelem. W wyniku podziału na strefę biznesową i prywatną Witold zmuszony był do kolejnej przeprowadzki. Wszyscy mieszkańcy domostwa zajęli teraz wschodnie skrzydło sąsiadujące z wieżą astronomiczną i kaplicą. Ogromny salon, w którym do tej pory wyświetlano filmy, miał pełnić funkcję sali bankietowej, a gdyby trzeba było – konferencyjnej.

Witold jednakże nie był zadowolony. Nie udało mu się wykończyć wszystkich pomieszczeń, a urządzenie ostatnich pokoi miało jeszcze potrwać, nie zdążył też uporządkować ogrodu, który teraz w sierpniu rozplecił się bujnie wszelkim zielskiem, zamieniając w dziką gęstwinę.

Problem związany z parkiem nie dawał mu spokoju do tego stopnia, że pewnego wieczoru zjawił się w domu Mili i wyciągnął ją na nocny spacer ogrodowy.

– Czy ty się aby dobrze czujesz? – upewniała się, wkładając sweter, bo wieczory bywały już chłodne. – Masz szaleństwo w oczach, ten hotel cię wykończy.

– Nie zdążę z tym parkiem, nie ma szans – mruczał do siebie, przedzierając się przez gęstwę krzaków. – A taki miałem fantastyczny pomysł.

– Jaki? – zaciekawiała się, przyglądając jednocześnie imponującej bryle pałacu. W prawie wszystkich oknach paliło się światło, pani Kowalowa przy pomocy innych kobiet ze wsi rozpoczęła sprzątanie, niewyraźne cienie postaci migwały w oknach, jakby tańcząc skomplikowany taniec.

– Chciałem zrobić tu labirynt ogrodowy, który nawiązywałby do tego z gabinetu. Czytałem o takim labiryncie w jednej z książek pani Tekli.

Była to prawda. W książce opisano ogród umysłu, w którym odpowiednio dobrane pod względem kolorystyki i zapachu rośliny miały oddziaływać na zwiedzającego. Wszystko było starannie zaplanowane – kształty, wygląd, gatunki, a nawet architektura ogrodowa. Także labirynt stanowiący centrum tego układu miał się składać z silnie pachnących roślin – ziół lub

mirtów.

– Kolejny labirynt – westchnęła Mila. – Ten na podłodze jest mało szkodliwy, ale w takim ogrodowym ktoś naprawdę może zaginąć.

– Labirynty są zawsze prawoskrętne albo lewoskrętne, nie można w nich zabłądzić – wyjaśnił jej.

Roześmiała się. – Chyba nigdy w takim razie nie byłeś w Hampton Court. Ja tak. Po trzech godzinach błądzenia i bezskutecznych skrętów w prawo błagałam o litość.

– I co? Uratowali cię? – zainteresował się idiotycznie.

– Jak widać. Było dokładnie tak jak w powieści *Trzech panów w łódce (nie licząc psa)* – najpierw błądziłam sama, potem spotkałam inne zagubione istoty, cztery razy minęliśmy skrzyżowanie z rozdeptanym lodem... „To na pewno ta uliczka” – emocjonował się przy każdym skręcie gruby pan, którego lada chwila mogła dotknąć apopleksja. Ktoś proponował, żeby zrobić piramidę i wyrzeć ponad żywopłot... Typowa popołudniowa angielska przygoda, o której miło wspomina się przy herbatce.

Roześmiał się szczerze. – Nie tragizuj. Mój labirynt nie będzie miał od razu czterech metrów wysokości, więc zgubić się będzie w nim mogła jedynie mrówka...

– Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałam – powiedziała Mila ponuro, gdy dotarli do ganku, a właściwie do tarasu, bo i on przeszedł gruntowną przemianę.

– Pięknie tu – powiedziała Mila, i był to szczerzy zachwyt. – Wiesz, gdy przypomnę sobie, jak ten dom wyglądał jeszcze rok temu... Groza, groza... A teraz – inny świat!

– Boję się, że zniszczę to miejsce – powiedział nieoczekiwanie Witold. Gdy odpowiedziała mu pytającym spojrzeniem, dokończył: – Zaczną tu przyjeżdżać różni ludzie, skończy się spokój.

– Tu zawsze przyjeżdżali różni ludzie – machnęła ręką. – Tekla opowiadała, że w pałacu miała miejsce jedna wielka zabawa, jej matka była bardzo towarzyska, a ojciec miał tych swoich szaleńców od Graali. Myślę, że niczego nie zniszczysz, obecność ludzi doda temu miejscu blasku...

– Blasku doda tylko Doda – mruknął Witold sentencjonalnie, a Mila poklepała go przyjacielsko po plecach.

Teraz, o poranku w dniu otwarcia, przypominał sobie tę rozmowę z uśmiechem. Wczesnym popołudniem spodziewał się gości – Mila wyjechała na lotnisko do Rzeszowa po siostry Rojas, miała się też pojawić Wanda z Markiem Wilczyńskim. Pat O’Shea przyjechał już parę dni temu i od tego czasu napelniał dom swym żywiołowym śmiechem. Przywiózł zdjęcia z operacji wydobywania wraku, a nawet pełnometrażowy film, który z przyjemnością wyświetlili sobie w sali konferencyjnej.

Tak jak Witold podejrzewał, władze amerykańskie rozpoczęły proces z właścicielami See Hole. Statek odnaleziono, ale do konsumowania zysków z przedsięwzięcia droga była jeszcze daleka, choć ojciec Pata nie zamierzał rezygnować.

– Będą się sądzić jak rodzina Rzędziana z Jaworskimi o gruszki w *Ogniem i mieczem*. Proces

potrwa osiemdziesiąt lat – powiedział Witold do Mili, po raz kolejny gratulując sobie, że nie był pazerny i wybrał ryczałową formę honorarium. Teoretycznie zarobili mniej, ale bez ryzyka.

Poza najbliższymi przyjaciółmi Witold nie zaprosił nikogo. Jego dawny szef z ministerstwa i tak nie miał czasu, poza tym zapowiedział swoją wizytę jesienią. Wszystko układało się dobrze. Odetchnął głęboko i spojrzął na aleję grabów prowadzącą od schodów pałacu do bramy. Nadjeżdżał nią samochód typu kombi z rejestracją z Rzeszowa, który z piskiem opon zatrzymał się przed gankiem. Drzwi od strony pasażera otworzyły się zamasyście i wysiadła z nich kobieta o latynoskim typie urody – miała smagłą cerę i czarne włosy o niemal granatowym połysku zebrane w misterną fryzurę. Ubrana była z wyszukaną elegancją w pastelowy kostium Chanel i pasujące do niego buty. Nosiła też beżowe rękawiczki z delikatnej skóry.

Druga kobieta, która z pewnym trudem wysiadła od strony kierowcy, była bardzo podobna do pierwszej, a jednocześnie zupełnie inna. Niewysoka, pulchna, z burzą ciemnych włosów i sympatycznymi oczami jak węgle, nosiła się z nonszalancką niedbałością. Ubrana była w luźną suknię, na którą narzuciła jedwabny szal. Witold przyjrzał im się uważnie i szybko zrozumiał, że ma przed sobą słynne siostry Rojas.

– Pan Mossakowski? – spytała po francusku ta w kostiumie Chanel, która musiała być starszą z sióstr, Józefiną.

– Tak, madame – powiedział posłusznie, całując jej dłoń z pełną rewerencją.

– Jestem Josephine Rojas de Arboleda, a to moja siostra Carmen...

– Witam panie, jestem zaszczycony wizytą – powiedział, od razu wchodząc bez najmniejszego trudu w rolę dyplomaty na bankiecie.

Carmen prychnęła śmiechem. – Cześć – powiedziała, ściskając mu rękę. – Nie przejmuj się nią. Ona zawsze jest taka sztywna, jakby miała kijek w tyłku.

– Carmen! – próbowała ją zgromić wytworna siostra, ale krnąbrna kobieta najwyraźniej nic sobie z tego nie robiła. Witold poczuł do niej sympatię, bo starszej siostry zaczął się autentycznie obawiać.

– Szukamy naszej siostry – wyjaśniła Carmen, uśmiechając się filuternie. – Millagros...

– Szukamy Emilii – sprostowała Józefina, piorunując siostrę wzrokiem.

– Wyjechała po panie na lotnisko – powiedział Witold.

– Pożyczyła nawet mój samochód. Najwyraźniej rozminęły się z nią panie, teraz trzeba będzie trochę poczekać... Zapraszam do mnie, zaraz przygotujemy kawę i obiad. Może chcą panie odpocząć? Na górze czekają pokoje.

Starsza z sióstr Rojas pokręciła przecząco głową, a młodsza miała minę, jakby odebrano jej cukierka. – Zatrzymamy się u Emilii, tak będzie dla nas wygodniej – stwierdziła Józefina, wytwornie pochylając głowę. – Ale chętnie odświeżymy się po podróży i skorzystamy z zaproszenia na kawę. Chciałam podziękować panu za zaproszenie na otwarcie tego pięknego hotelu – tu zrobiła wymowny gest urękawiczoną dłonią. – Przepiękny...

– Przestań się wreszcie puszyć – dokuczyła jej Carmen.

– Jesteś nie do wytrzymania, po prostu *bombastic*, jak mawiają Amerykanie!

– Tylko w niektórych kręgach tak mawiają – odezwał się wesoly głos Pata, który zszedł na dół zwabiony ożywioną rozmową.

– Mój przyjaciel, Patrick O’Shea – przedstawił go Witold. Starsza z panien Rojas ledwie musnęła Amerykanina wzrokiem, natomiast młodsza przyglądała mu się długo i natrętnie.

– Idziemy – popędziła ją Józefina. – Panowie wybaczą – skinęła głową jak angielska królowa i oddaliła się z godnością. Witold ledwie za nią nadażył, by wskazać pokoje.

– Wybryk natury – dziwił się Pat, gdy Witold wrócił.

– Kto to w ogóle jest? Skąd wytrzasnąłeś takie egzemplarze? A właściwie tę jedną, bo druga całkiem, całkiem...

– To szwagierki Mili – powiedział szybko Witold i nie chcąc się wdawać w wyjaśnienia, czym prędzej uciekł do kuchni. Tam od razu zatelefonował do pani Tekli, wzywając ją na ratunek. Obawiał się, że nonszalancki Pat w połączeniu z wyniosłą Józefiną może dać mieszankę wybuchową.

Pani Tyczyńska od razu zrozumiała groźbę sytuacji i po kwadransie zjawiła się na tarasie. Chwilę gawędzili o nowych gościach, gdy na progu pałacu ponownie ukazały się siostry Rojas. Józefina ubrana była w inny pastelowy kostiumik i kapelusz, Carmen za to miała na sobie spodnie i falbaniastą bluzkę w cygańskim stylu, dodatkowo obwiesiła się kolorową biżuterią, która pobrzękiwała dźwięcznie przy każdym jej kroku. Witold dokonał prezentacji. Józefina była wyraźnie zachwycona, że poznała byłą właścicielkę pałacu, którą uznawała najwyraźniej za przedstawicielkę tutejszej arystokracji o korzeniach iście królewskich.

– Piękne imię: Józefina – odezwała się pani Tekla.

– Jak cesarzowa Bonaparte...

Starsza z sióstr Rojas aż pokraśniała z radości.

– Tak, Pepita po prostu utożsamia się z tą nudną flądą – powiedziała Carmen, bawiąc się swoimi licznymi naszyjnikami i puszczając oczko do Pata. – Trafiła pani w sedno!

– Przestań! – mitygowała ją siostra.

– Przecież to prawda! Masz w sypialni portret cesarzowej naturalnych rozmiarów i ostatnio nabyłaś prawa autorskie do jej kolejnej biografii... Naprawdę, Pepe, mogłabyś znaleźć sobie jakąś bardziej sensowną idolkę... Sophia Loren – to jest coś dla ciebie... Zmarszczki, liftingi i dziwne fryzury. – Józefina zgromiła siostrę lodowatym spojrzeniem, ale nic nie uzyskała.

Miłą rodzinną pogawędkę przerwało pojawienie się samochodu Witolda, z którego wysiadła zdenerwowana Milla. Na widok argentyńskich szwagierek wielki kamień spadł jej z serca.

– Witajcie! Bałam się, że zabłądziłyście. Facet z wypożyczalni samochodów świetnie was zapamiętał!

– To oczywiste – stwierdziła Józefina, delikatnie całując szwagierkę w policzki.

– Zapamiętał starą żołą i ponętą Wenus – stwierdziła Carmen, ściskając Millę wylewnie. – Strasznie się cieszę, że cię widzę.

Mila rzuciła torebkę i szal na wolne krzesło i z wdzięcznością przyjęła filiżankę kawy. – Nie macie pojęcia, jak się przejęłam, gdy się dowiedziałam, że same wyruszyliście w drogę! Byłam pewna, że nie traficie.

Carmen wzruszyła ramionami i zrobiła lekceważący ruch dłonią. – Zapominasz, że pochodzimy z Argentyny. Żaden interior nam niestraszny, zresztą istnieje coś takiego jak nawigacja samochodowa...

– Po obiedzie zapraszam do mnie – rozpromieniła się Mila. – Nie mam tak wspaniałego domu jak ten, ale myślę, że będzie wam wygodnie.

– Czy ma pan tutaj kogoś do pomocy? – zapytała niespodziewanie Józefina.

– Mnie na przykład – od razu wyrwał się Pat, najwyraźniej chcący popisać się przed Carmen.

– Trzeba wyciągnąć z bagażnika serwis – powiedziała władczo Józefina i chwilę przyglądała mu się krytycznie. – Doprawdy nie jestem pewna, czy pan sobie poradzi, to ogromna skrzynia.

– Serwis? – jęknęła Mila, patrząc na Carmen z rozpaczą. Ta skinęła głową.

– Niestety tak. Uparła się i wlokła to przez pół świata. Miałam nadzieję, że się gdzieś zgubi po drodze, polecą do Moskwy na przykład lub do Sydney, ale niestety, trzymał się nas jak rzep psiego ogona.

– Długo się zastanawialiśmy – przerwała jej Józefina – co państwu podarować na otwarcie tego pięknego miejsca. Uznałyśmy, że nasz rodowy serwis będzie znakomitym uzupełnieniem eleganckich przyjęć – kiwnęła ręką w stronę Pata, który z niemałym trudem i przy pomocy męża pani Gertrudy wydobywał pakunek z bagażnika. Była to solidna drewniana skrzynia, którą od razu wniesiono do sali kinowej. Pan Kowal odbił wieko i zachwyconej publiczności ukazał się wspaniały serwis sióstr Rojas, obecnie już własność hotelu „Pod Graalem i Różą”.

Długo można by opowiadać o tym serwisie, a nawet napisać o nim wiersz trzynastozgłoskowcem, ale akurat tak się złożyło, że już to ktoś zrobił. Był to autentyczny Rosenthal na nietypową ilość osób, bo aż na trzydzieści sześć, wykonany z delikatnej zielonej porcelany ozdobionej rysunkiem w pęczki różyczek.

– Bardzo dziękuję – powiedział Witold, oglądając filiżankę. – Ale chyba nie możemy przyjąć tak drogiego prezentu.

– Musicie – wzruszyła ramionami Carmen. – W ogóle nie ma takiej opcji, że będę to z powrotem wiozła do domu. Już prędzej porzucę w jakiejś ciemnej ulicy.

– Tu nie ma ciemnych ulic – życzliwie poinformowała ją Mila.

– Słusznie. Tu nie ma żadnych ulic. Dobrze, to pojedę specjalnie do jakiegoś miasta i znajdę taką ulicę. Bo tu chyba są jakieś miasta?

– Nie w najbliższej okolicy, ale znajdują się – wyjaśnił pogodnie Witold.

– Obiad gotowy – zaanonsowała pani Gertruda, przerywając oględziny podarunku.

Po obfitym poczęstunku wytworna Józefina i krnąbrna Carmen wsiadły do samochodu i oddaliły się w kierunku domku Mili. Witold nawet nie chciał myśleć, jakie wrażenie na latynoskiej arystokratce zrobiła siedziba pani sołtys, czyli stodoła z przybudówkami.

– Niesamowite – ciągle nie mógł uwierzyć Pat. – Ta Józefinka to mi przypomina moją ciotkę z Dublina.

Rozumiesz – stara panna w pretensjach. Przedstawili ją królowej i z tego szczęścia normalnie jej odbiło... U niej w domu to ja się, stary, boję oddychać, bo to na pewno niegrzecznie... Przy tej czuję podobny ucisk na przeponie... Chyba muszę się napić! – I szybko przyniósł z kuchni swoją butelczynę, częstując wszystkich. Pani Tekla odmówiła z uśmiechem, chcąc – jak powiedziała – zachować siły na wieczorną uroczystość. Pożegnała się sympatycznie i w towarzystwie Alinki, która właśnie przybiegła ze wsi, poszła do domu przebrać się i odpocząć.

Witold także postanowił się przygotować. Właśnie kończył wiązać krawat, gdy przez bramę parku przejechali ostatni goście: Wanda i Marek. Oboje wydali okrzyk zdumienia, gdy wprowadził ich do świeżo wykończonych pokoi.

– To jest absolutnie fantastyczne – powiedziała w uniesieniu Wanda, dotykając pięknej toaletki w buduarze różanym, w którym umieścił ją gospodarz.

– Tak. Nigdy bym nie przypuszczał, że zrobisz z tego taki klejnot – kiwał głową z niedowierzaniem Marek.

– Powiem ci szczerze – zrobisz na tym interes życia, już ja się znam...

Jego dziewczyna w skupieniu obeszła cały pałac, zajrzała do kuchni i kaplicy, odbyła nawet małą przechadzkę po parku. Cały czas notowała coś w swoim elektronicznym terminarzu i robiła zdjęcia.

– Powiem ci coś – stwierdziła, rozsiadając się wygodnie w ogrodowym fotelu na tarasie. – Może uda mi się załatwić, żeby w zimie zaczęli tu kręcić film... Jest taki serial planowany dla wybredniejszego widza i telewizja już od dłuższego czasu szuka atrakcyjnych plenerów...

– No, ten jest bardzo atrakcyjny – roześmiał się Witold.

– Oczywiście – kontynuowała Wanda. – Taki serial to kupa kłopotów, ale pomyśl o reklamie! To jest bezcenne.

Witold zastanowił się nad jej propozycją. Tak, to mogło mieć sens. Pokażą się nie tylko w kolorowych gazetach, ale i w filmie. Jeśli serial chwyci, wielbicieli będą chcieli choć rzucić okiem na miejsce, w którym był kręcony. Uśmiechnął się.

– Zobaczmy, co z tego wyjdzie – powiedział. – Spróbuj to załatwić, ale mam jeden warunek: dewastacja nie wchodzi w grę! Jak mi tu cokolwiek zepsują, powyrywam im głowy z płucami!

Wanda i Marek się roześmiali. Zapadł już zmierzch i goście powoli zaczęli się schodzić. Witold zobaczył elegancko ubranych Alberta i Wojtka wraz z panią Tyczyńską i trzy „siostry Rojas” wystrojone na tę okazję w suknie w odcieniach różu. Najładniej oczywiście wyglądała Mila, w blad różowej sukience uszytej (jak mu zdradziła) przez Iwanę, która śledziła nowe trendy w modzie i bardzo udanie kopiowała znanych projektantów.

Witold zaplanował otwarcie nietypowo – nie było przecinania wstęgi, nudnych przemów i dekoracji orderami. Po zwyczajowym toaście wszyscy przeszli na piętro podziwiać

odrestaurowane komnaty. Potem pani Gertruda zaprosiła na przekąski i drinki wystawione w bufecie na tarasie. Punktualnie o dziewiątej wszyscy wygramolili się na wieżę astronomiczną, by podziwiać Marsa (tylko pani Tekla i Józefina odmówiły wspinania się po schodach), a godzinę później pan Kował rozpoczął pokaz sztucznych ogni. Dzieci były oczarowane, a dorośli dzielili swą uwagę pomiędzy bar oraz specjalnie zbudowany letni podest do tańca. Jak zauważył Witold, jego przyjaciel Pat O'Shea przyczepił się do młodszej siostry Rojas, z którą co chwila spełniał jakieś toasty, a potem szalał na parkiecie.

Gdy zagrali tango, Witek podszedł do Mili dotrzymującej towarzystwa starszej siostrze Rojas.

– Zatańczysz? – zapytał, a ona kiwnęła głową.

– Pięknie wyglądasz – powiedział, ujmując jej rękę i prowadząc na parkiet.

– Ty też nie najgorzej – uśmiechnęła się wesoło.

– Ale ja mówiłem poważnie – obruszył się.

– A ja to niby nie? – odparła. – Już od pewnego czasu cię obserwuję. Wyglądasz w tym stroju bardzo elegancko, jak jakiś księżę pan! Żywa wizytówka pałacu...

Witold westchnął ciężko. – Zawsze się ze mnie nabijasz... Poważnie nie da się z tobą rozmawiać.

Uśmiechnęła się do niego. – Nie gniewaj się. Mam dla ciebie prezent, sprowadziłam go specjalnie z zagranicy... Nie myśl, że zapomniałam o twoich urodzinach...

– Jaki prezent? – zainteresował się.

– Jak się skończy tango, to ci pokażę – powiedziała, robiąc skomplikowaną figurę.

Gdy muzyka umilkła, odbiegła w stronę tarasu i przyniosła zapakowaną w papier wielką paczkę. Kiedy rozwinął pakunek, krzyknął ze zdumienia. Była to książka, XVIIIwieczne angielskie wydanie *Historii najsłynniejszych piratów. Ich zbrodniczych czynów i rabunków* autorstwa kapitana Johnsona.

– Jesteś wspaniała! – wykrzyknął. – Zawsze chciałem to mieć! Podobno pod pseudonimem Charlesa Johnsona ukrywał się sam Daniel Defoe!

Mila skinęła głową. – Cieszę się, że ci się podoba – powiedziała, sadowiac się w fotelu na tarasie i patrząc na bawiących się wesoło ludzi.

Rozumiała doskonale, że dzisiejszy dzień otwiera w Idzie nową epokę. „Mam nadzieję, że lepszą”, pomyślała, przenosząc wzrok na Witolda, który zajęty swoim woluminem zapomniał o całym świecie. Egzemplarz *Najsłynniejszych piratów* był w nietypowym formacie folio i dosyć niewygodnie było nim operować.

– Uważaj – przestrzegła go. – Możesz wybić sobie oko! Uszczęśliwiony Witold złożył książkę i tylko wzruszył ramionami. – Czy wiesz, że wśród karaibskich piratów utrata oka uważana była za przynoszącą szczęście? Czytałem nawet, że za wybite oko bukanierzy dawali tylko sto marawedów – najniższe wynagrodzenie w ich osobliwie pojmowanym systemie ubezpieczeniowym.

– Kim byli bukanierzy, to jakaś specjalna odmiana piratów? – zapytała z zaciekawieniem i usiadła wygodniej z podwiniętymi nogami.

– Tak. Działali w XVII wieku i pochodzili, że tak powiem, z ludu. Byli to w przeważającej części służący z Europy, którym do cna zbrzydła praca u plantatorów i postanowili ją porzucić. Karierę można było wówczas zrobić wyłącznie u piratów, bo rady nadzorcze spółek nie istniały...

– Niewdzięcznicy – skomentowała wesoło Mila. – Ładnie się odwdzięczali swym chlebobdawcom...

– Bluźnisz – stwierdził rzeczowo Witold. – Ta służba była formą niewolnictwa. Plantator kupował sobie sługę na cztery lata i w tym czasie pilnie dokładał starań, by inwestycja zwróciła mu się wielokrotnie... Trudno się dziwić, że ciężki chleb pirata wydawał im się łatwiejszy do przełknięcia...

– Akurat był ciężki – zaprotestowała. – Piraci mieli jedwabne życie – mordowali, rabowali, palili i gwałcili; spełnienie marzeń każdego...

– Bukanierzy nie mieli łatwego życia – powiedział z powagą. – Po pierwsze, nigdy się nie myli, bo do ich etosu należało chodzenie w koszuli poplamionej krwią wroga (w tym momencie Mila wydała z siebie nieartykułowany kwik, który – zdaniem Witolda – miał oznaczać najświętsze oburzenie). – A po drugie, jadali tylko wieprzowinę z rusztu. Do ich głównych zadań należało nagle pojawianie się na brzegu wyspy z okrzykiem „Gdzie wieprze?”, co oczywiście powodowało zrozumiałą panikę mieszkańców...

– Idioci – skomentowała Mila.

– Wieprzowina jest wyjątkowo ciężkostrawna, zwłaszcza pieczona, więc może stąd ich rozmaite dziwne zachowania... Ale byli też przedsiębiorstwem zorganizowanym na sposób demokratyczny – wszystkie łupy dzielili po równo, chyba że ktoś został kontuzjowany, wtedy dostawał więcej, żeby mu wynagrodzić straty...

– Urocze – podsumowała Mila. – I ty oczywiście chciałbyś być jednym z takich piratów? Ciekawa jestem którym? Bukanierem od krwawej koszuli i wieprzowiny?

Witold zamyślił się głęboko.

– Chyba najbardziej podoba mi się Henry Morgan, XVIIwieczny korsarz, który ze swoim oddziałem zdobył Portobelo... Ten miał fantazję! Był brawurowy, ale i twórczy – postanowił odebrać Hiszpanii panowanie nad Morzem Karaibskim i prawie mu się udało... Miał tylko jedną małą wadę – był bardzo okrutny. Ponoć wieszał swych wrogów za kciuki...

Mila wzdrygnęła się na samą myśl. – To po prostu okropne! Myślałam, że historie o piratach są romantyczne...

– Ależ one są romantyczne! Poczytaj sobie choćby o Drake'u. To był marzyciel. Pieniądze interesowały go o tyle, o ile mógł sobie nimi zapewnić przychyłność Elżbiety. Tak naprawdę był opanowany żądzą przygód, chciał napadać na stada, wygrywać w bitwach morskich.

Mila przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu. Widać było gołym okiem, że nic nie rozpala go bardziej niż opowieści o piratach.

– Też jesteś opanowany żądzą przygód – orzekła w końcu. – Tylko masz małe szanse zabłysnąć w konkurencji, w której startował Drake...

– Taaa – powiedział, wpatrując się w bawiących się w parku ludzi – pewnie uznasz, że to głupie, ale od najmłodszych lat marzyłem, że prowadzę barwne i pełne przygód życie bukaniera... odkrywam nowe lądy, zakładam siedziby w niedostępnych zatokach...

Nikogo i niczego się nie boję... – zamyślił się na chwilę z dziwnie rzewnym wyrazem twarzy, który Mili wydał się bardzo zabawny.

– Dalej o tym marzysz? – spytała z zaciekawieniem, przypatrując mu się z boku.

Witold poprawił okragłe okularki i uśmiechnął się. – Nie, teraz myślę o czymś innym... Jestem już Henrym Morganem, który zdobył sławę i może nawet opłynął świat dookoła jak Magellan, kto to wie... I wracam do portu w Walencji, gdzie wita mnie piękna Hiszpanka o błękitnych oczach...

– To chyba jednak nie Hiszpanka cię wita, bo one nie mają błękitnych oczu – weszła mu w słowo Milla. – Schodzisz na manowce w tych marzeniach...

Witold pokręcił głową. – Ta, o której mówię, ma niebieskie oczy... Nie wykluczam jednak, że nie jest Hiszpanką... Tak mi się po prostu wydaje, gdyż mówi w tym języku, choć teraz mi uświadomiłaś, że z dziwnym akcentem...

Popatrzył na Millę, a ona odwróciła głowę, udając, że bardzo zainteresował ją Pat O'Shea całujący ukradkiem Carmen w szyję. Niezręczne milczenie trwało chwilę, ale Witold wystarczająco dobrze znał już Millę, żeby wiedzieć, że trzeba je po prostu przerwać.

– A ty o czym marzysz? – zapytał ją bez wstępu. Milla oderwała wzrok od drzewa i popatrzyła na niego z wahaniem. – Może... Może o tym, żeby ktoś zaczarował mój świat... Może chciałabym mieć własnego Harry'ego Pottera... Sama nie wiem, na ile to marzenie jest realne...

Witold wziął ją za rękę. – Twój świat już jest czarodziejski, ale do tego niepotrzebny ci Harry Potter, bo sama go zaczarowałaś... A jeśli Harry okaże się zaledwie piratem z Karaibów? Co wtedy zrobisz?

– Myślę, że jakoś to przeżyję – powiedziała z powagą.

– Chyba że powiesi mnie za kciuki, jak swoich wrogów... Tego bym nie chciała... raczej...

Roześmiał się. I właśnie w takich okolicznościach, na tarasie swego ogromnego domu, nie bez racji nazywanego pałacem, pocałował ją pierwszy raz. Z okna kuchni temu – bądź co bądź – epokowemu wydarzeniu sekundowała pani Gertruda i Mireczek, którego natychmiast przepędziła celnie wymierzonym uderzeniem ścierki. „Chwała Bogu”, pomyślała, widząc uszczęśliwioną minę swego chlebobawcy.

Milla i Witold spojrzeli na bawiących się w parku ludzi. – Chodź, pójdziemy zatańczyć! – chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku parkietu.

– Zobaczysz, teraz już wszystko się ułoży – wyszeptał jej we włosy, gdy zespół zagrał jakąś tragicznie rzewną melodię. – Kocham cię bardzo – powiedział niespodziewanie.

– Głupi pirat – roześmiała się, całując go z czułością.

– Głupi, ale też cię Kocham! I nie wiem, jak to jest możliwe, skoro nie odróżniasz lunety od teleskopu...

– Już odróżniam – pochwalił się, przytulając ją.

– Nawet nie spróbuję tego sprawdzić – roześmiała się. Zadarła głowę i chwilę wpatrywała się w pogodne niebo.

Witold także spojrział w górę i zobaczył rój spadających gwiazd. – To Akwarydy – powiedziała. – Nie myśl, że one spełniają jakieś życzenia, czy coś...

– Wszystkie moje życzenia już się spełniły – zapewnił ją i przez chwilę zastanowił się nad tym, co powiedział. Jeszcze rok temu jego świat wyglądał całkiem inaczej. Była w nim praca, ale nie było sensu. Żadnego. Potem kupił dwór i wszystko się zmieniło. Nagle otoczyli go ludzie pełni przyjaźni i życzliwości. „Jestem szczęśliwy”, pomyślał. „Najszczęśliwszy na świecie”. Roześmiał się, bo przypomniał sobie, co o życiu powiedział pisarz Jonathan Carroll: „Ostatecznie mamy do opowiedzenia tylko jedną historię”. Nie zamierzał zmarnować swojej szansy. Wziął Miłę za rękę i zbiegli z podestu między bawiących się ludzi, w całkiem nowe życie.